ISSN 2083-2494 02
9 772083 249003

# Migotania

## Gazeta literacka

Nr 1 M-e (62) 2019 kwartalnik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

„O oknie najwięcej mówi
to, co przez nie widać",
Roman Warszewski

**POLECAMY:**

- Stanisława Kopiec, wiersze
- Urszula M. Benka, o Mariannie Bocian
- Andrzej Katzenmark, Pierwsze słowo
- Andrzej Wołosewicz, o poezji Leszka Szarugi, książka kwartału
- Zofia Smalewska, proza
- Paweł Orzeł, proza
- Jan S. Smalewski, o poezjowaniu Renaty Paligi

**Pismo nie jest wspierane przez Ministerstwo Kultury**

Jan Stanisław Smalewski

## Siewcy strachu

A może chodzi tylko o to, żeby posiać strach;
nie jak się sieje zboże, ani świeże trawy,
ale tak zwyczajnie, najpierw w naszych snach,
a potem w całym życiu - strach blady.

Posiać go zwyczajnie, najzwyczajniej w świecie
w ogródkach naszych myśli, domach naszych dzieci,
przy pomocy radia i zwykłej kopiarki,
publikując w telewizji wymyślane bajki.

O tym że Kain zabił Abla całkiem przypadkowo,
że Motława przestała płynąć, albo że na nowo
posieją nam lasy i zasadzą drzewa,
tam gdzie się żółć goryczy z miodem serca zlewa.

Może na nowo każą nam się bać, drżeć o każde słowo?
Napiszą nam nową historię i religię nową?
Wszystko pod osłoną i ciężarem nocy,
żebyśmy sami sobie nie mogli udzielić pomocy.

*Gdańsk 8 stycznia 2019*

W numerze swoje prace artystyczne prezentuje Zbigniew Kresowaty
Plakat artystyczny: Zbigniew Kresowaty
Plakat poetycki: Urszula Małgorzata Benka

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2019

FELIETON

Marek Wawrzkiewicz

Dedykacje (1)

# ROMAN

Ostatnią książką Romana Śliwonika był tom wierszy z roku 2010r. Ślad. Dwa lata później poeta, ostatni z pokolenia „Współczesności", zmarł. Dedykację na tym tomiku napisała Barbara, żona Romana – on sam, od kilku lat walczący z postępującą chorobą, nie był już w stanie pisać. Wiersze układał w głowie i coraz bardziej niewyraźnym głosem dyktował je.

W tamtych zamierzchłych czasach 3 albo cztery lata różnicy to była przepaść pokoleniowa. Oni mieli swoje pismo, właśnie Współczesność, publikowali w tygodnikach i miesięcznikach, ba, wyszły już ich debiuty książkowe, a nawet byli autorami paru książek, o których mówiło się i pisało. My, trzy i cztery lata młodsi, niechętnie i zazdrośnie ich podziwialiśmy, bo znaliśmy ich twórczość, a oni niekiedy obdarzali nas protekcjonalną poufałością. Literatura była modna, a więc na tej glebie budowali swoje legendy. Grochowiak, Iredyński, Drozdowski, Brycht, właśnie Śliwonik... Składały się te legendy nie tylko z literatury, ale też z kłótni o wartości, awantur, skandali, alkoholu, bijatyk, miłosnych przygód. Brat Romana, profesor Lech Śliwonik opowiadał, że w tamtych czasach do ich wspólnego mieszkania przyszła pani, której wygląd nie budził wątpliwości. Przyszła z propozycją od grona koleżanek po fachu: chciałyby one zaprosić poetę na spotkanie autorskie, ponieważ przeczytały jego wiersz i bardzo się wzruszyły. Poeta w tym wierszu postulował, żeby wszystkim kurwom dyżurującym na zimnych ulicach ufundować kaloryfery.

A potem się wszystko zmieniło. Roman sklasyczniał, porzucił hulaszczy i awanturniczy styl życia, stał się literackim autorytetem. Choć po dawnemu był bezkompromisowy w sądach o dziełach i ludziach.

Znałem go od bardzo wielu lat, ale znajomość ta była ostrożna. Pamiętam jego ostatnie spotkanie autorskie: przywieziono go na inwalidzkim wózku w towarzystwie respiratora. Wiersze czytał wspaniale Jerzy Kryszak, jego przyjaciel od najdawniejszych lat, a Roman wzruszał się i cieszył życiem. Ale znacznie wcześniej wpadliśmy w przyjaźń: ten z pozoru oschły i nieprzystępny człowiek miał potrzebę nie tylko uznawania jego wielkości, ale też bardzo silną potrzebę przyjaźni. Obdarzał nas tym uczuciem wybiórczo, ale szczerze i mocno. I jeszcze jedna zmiana: zrewidował swoje bezapelacyjne sądy o poezji i poetach. Którąś z dawnych Warszawskich Jesieni Poezji inaugurowanej w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego ozdobił koncert poezji Jarosława Iwaszkiewicza w wykonaniu Adama Hanuszkiewicza i jego aktorów. Koncert był olśniewający, a po jego zakończeniu Romek podszedł do mnie i powiedział: Marek, kurwa, wzruszyłem się. Popatrzyłem – miał łzy w oczach.

Zostawił po sobie kilkadziesiąt książek – poezji, prozy, wspomnień z lat burzliwej młodości, a także artykuły, felietony, słuchowiska, szkice o poezji. Wiersze, wiersze są najważniejsze. Tak uważał i tak zostało. Poezja bardzo własna, bardzo suwerenna, nie do podrobienia. Oby nie uległa zapomnieniu, nie podzieliła losu wielu wielkich wierszy. Chyba tak będzie: przed trzema laty na odsłonięciu tablicy na bloku, w którym mieszkał był tłum ludzi.

Mam w ręku „Dom z wierszy", tom wydany w roku 2006. Jest w nim dedykacja, tak serdeczna i pochlebna, że krępuję się zacytować ją w całości. Więc tylko fragment:

*Wysoko cenię Twój talent....(opuszczam) Wiem, że ciężko dźwigać takie wartości, ale dzięki nim mam nagrodę literacką. Z ciągłą przyjaźnią – Roman. 1.II.2007.*

Rzeczywiście, z mojej inicjatywy otrzymał, jakże zasłużenie, nagrodę literacką Ministra Kultury. Bardzo wątpię czy teraz tę nagrodę by przyjął.

***Marek Wawrzkiewicz***

FELIETON

Marian Lech Bednarek

# BAJDURZENIE O BRAMIE

Wszelka brama wszelakości jest doskonałą imitacją naszego zamknięcia, choćby w najpiękniejszym wykonaniu, gdzie przebywamy pod skrzydłami bezpieczeństwa. Patrzę na te zawiasy jak na mocne ramiona Zeusa, że mnie obronią w razie niebezpieczeństwa.

Gapię się na bramę jak jakiś głupi bramolog, albo dziecko bramologa i dużo sobie obiecuję po tej dziurce od klucza – że dużo zapewnia, może więcej niż klamka? Wiatr przez nią świszcze jak złośliwe Eurosy, Notosy i Zefiry z Odysei, bo o innych rozrabiakach na mapie czasowej nie chce mi się na razie wspominać. No i cóż w tym zamknięciu robić? Ubrać się i pójść na spacer? To nudne. Ale może spróbuję jednak, właśnie dlatego że nudne. Wyrwałem więc bramę, wziąłem na kark i poszedłem sobie połazić, tak dla Czystej Formy. Zresztą i tak cały czas z nią łażę. Tylko nie wszyscy to widzą. Czasem ktoś spyta, coś taki przygnieciony?, przybity? Wtedy odpowiadam, że ciężka ta moja brama, za ciężka. Ten tylko pokiwa głową i odchodzi, myśląc pewnie żem jakiś stuknięty. I tak było tym razem. Ale gdy wróciłem ze spaceru, nie wierzyłem własnym oczom. Na karku nie miałem głowy, tylko bramę, taką upaćkaną od ptaków konstrukcję drewnianą z dziurkami, przez które można patrzeć na swoje podwórko. I oto resztę mojego życia można sobie wyobrazić. Wszędzie chodzę z bramą przy sobie i wszystko z powodu niej załatwiam i od niej uzależniam, od jej widzimisię. Jestem bramomanem. A jakie widzimisię ma brama, to każdy wie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Jutro znowu rzygnie na mnie jakimś listem z banku, bo skrzynkę pocztową ze sobą nosi. Kiedyś jak będę się przeprowadzał do jakiegoś innego, lepszego mam nadzieję bytu, to nie chciałbym jej ze sobą zabierać. Chrzanię to. Laski anielice lubią ogolonych, z poczochraną fryzurką facetów, bez żadnych bram. To mnie pociesza. Poperfumuję się trochę i szafffa mi zagra, mam nadzieję, szafa oczywiście przez trzy eF. Lubię ostatnio ZAZ, zwłaszcza „Que vendra", jak w żółtej koszulce tańczy na tych obskurnych uliczkach Paryża.

2

Druga część o bramie. Wyobraźcie sobie głupola krojącego chleb że niby rozwiązuje problem bramy. Narzędzia leżą obok w kształcie rzodkiewki, cebuli, pomidora i zielonych oliwek. Symfonia bramy zaczęła się u mnie w ten właśnie sposób, że zacząłem wcinać te przysmaki jak dziki zwierz. Wszystko się na mnie gapiło. No ale co miałem robić? Jakbym wyłączył światło, to by mnie ta brama wyśmiała za bezmyślność. Ach, pomyślałem, prawdziwa śmierć nadejdzie, kiedy braknie nam smaru ironii, wtedy będzie prawdziwa Apokalipsa, prawdziwy zgrzyt. A ciąg bram. Czy wiecie co to jest ciąg bram? Ja też nie wiem, ale palnę: to jest zbyt mocno wystraszona panienka. Wiem, infantylne trochę i trywialne, ale od czegoś trzeba zacząć to tworzenie nowej nauki bramologii, to studiowanie bramizmu, nie mylić z Brahmanem hinduskim, bo tam inaczej zawiasy trzeszczą. Ach, spadły już pierwsze śniegi. Czy wiecie jak brama mówi na śnieg? „Fuckwhite" – biała zapieprzajka, czy coś takiego. Nie wiem do jakich odkryć bramy jeszcze dojdę? Napis Dantego na bramie piekieł „Ty który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją" albo na bramie oświęcimskiej „Arbeit Macht Frei" nie za bardzo mnie napędza, choć ten drugi z Ewangelii Jana jest, płoszą tylko wyrzeźbione w bramie sarny i ptaki, które mi się nawet podobają, bo to brama myśliwska. Widziałem taką w internecie. Moja jest inna. Przypomina roztańczoną kobietę o secesyjnych liniach, z różnymi klejnotami z sęków. Mówi pisz pisz pisz, a ja będę dla ciebie tańczyć. O, dobrze, mówię, dobrze. Takie coś mi się podoba. Nie widziałem jeszcze tańczącej bramy.

Zbigniew Kresowaty

Spis treści 1/2019


Marian Lech Bednarek, Bajdurzenie o bramie, FELIETON str.2

Marek Wawrzkiewicz, Roman, FELIETON str.2

Andrzej Katzenmark, Pierwsze słowa, ESEJ str.3

Stanisława Kopiec, Do cierpiących, WIERSZE str.8

Zbigniew Kresowaty - Urszula M. Benka, Psychomitopoetyka, ROZMOWA str.9

Grzegorz Bazylak, WIERSZE str.12

Ewa Nowosławska, Nasz świat (2), PROZA str.13

Katarzyna Boruń-Jagodzińska, WIERSZE str.15

Paweł Orzeł, O niczym (z przeszłości), PROZA str.16

Karol Graczyk, POEZJA str.17

Zofia Smalewska, PROZA str.18

Urszula Małgorzata Benka, Marianna Wiedźma, ESEJ str.20

Kazimierz Brakoniecki, SATYRA str.25

Filip Paluch, Chrzestny, PROZA str.26

Maria Tepljakowa, WIERSZE str.28

Sem Simkin, WIERSZE str.28

Olga Postnikowa, WIERSZE str.29

Natalia Gorbaczewa, WIERSZE str.29

**KSIĄŻKA KWARTAŁU**

Andrzej Wołosewicz, Poezja w lustrze, o nowym tomiku L. Szarugi str.30

Zofia Zarębianka, WIERSZE, str.33

Katarzyna Nandzik, WIERSZE, Grzegorz Bazylak, Nierzeczywistość wizerunku, ESEJ str.35

Marcin Stępień, WIERSZE str.38

Jerzy Zdunek, WIERSZE str.39

Mirosław Holub, WIERSZE str.40

Jan S. Smalewski, O poezji Renaty Paligi, ESEJ str.42

Hubert Czarnocki, WIERSZE str.44

**RECENZJE** str.45

Roman Warszewski, Drzwi i okna.

Aneta Kielan-Pietrzakm Memento

Tomasz Pyzik, Maksymalizm w miniaturze….

Tomasz Pyzik, Za Toba klucze gęsi…

Zbigniew Joachimiak, Aneks do kalendarza (4), DZIENNIK str.48

Marek Jagielski, WIERSZE, str.52

Leszek Szaruga, Wyprasowanie (28) FELIETON str.52


Andrzej Katzenmark

# PIERWSZE SŁOWO

## I
## Sacrum i profanum

Wiara w potęgę bytu wcale nie ujmuje mocy i znaczenia wykrzyczanemu niegdyś zdaniu. Może nieco je ogranicza. Nie pozwala nobilitować, ukwiecić artystycznie czy transcedentalnie poszerzyć. Tak o łączności bytu i języka pisze Jaspers: „Zróżnicowanie sensu języka bierze się z rodzajów Ogarniającego. Stosunek znak – znaczenie jest zatem pewną abstrakcją wywiedzioną z czegoś, co wprawdzie w języku istnieje, ale go nie wyczerpuje. Język bowiem jest przeniknięty przestrzenią Wszechogarniającego"[1]. Z egzystencjalnej strony patrząc, język zanurzony jest w bycie, ponieważ przenika go do granic ludzkiego intelektu, do granic poznania; głębsza penetracja nie jest możliwa. Drzemią w nim o wiele głębsze możliwości i są one nieograniczone, lecz nigdy nie zapanują nad nieskończoną enigmą bytu. Byt jest w swej skończoności nieskończony, a tym samym do końca niezbadany. Język więc będzie jak dym płożył się nad kotlinami bytu gotów spłynąć w wybrane obniżenia, by je nazwać. Może uda mu się wpłynąć w otwarte otchłanie czy szpary, by powiedzieć, jak jest w głębi. Byt nie całkiem panuje nad swoim wasalem. Być może język dezorganizuje władzę większego nad mniejszym, tworząc coś na kształt zasady średniowiecznego senioratu: wasal mojego wasala nie jest moim wasalem. Wszechogarniające nie ogarnia już swej progenitury rozszczepionej na podmiot pytający i przedmiot poznawany. Język więc nazywa, posługuje się gramatyką czy fleksją, a władza bytu straciła nad tymi posunięciami kontrolę. Ba, język próbuje marszu poza swoją ostoję, poza byt. Nawet nie potrafię powiedzieć, czy to niebezpieczne.

Ta nieświadomość ludzka językowej transgresji, zupełne zaślepienie zalewem języka, przypomina ową Jasperowską ogarniającą siłę bytu. Język jednak działa po cichu, milczkiem i chyłkiem dokonuje rozszerzania swojego kondominium. Nie stosuje fizycznych nacisków bytu, zalewania, wstrząsania czy palenia. Nie trzyma się także tak zwanych praw przyrody. Gotów jest stanąć przeciwko nim, jeśli je uzna za sprzeczne ze swą logiką. Mimo to osiąga znakomite efekty, jakby działał poza wpływami bytu. Nie zapominajmy atoli o myśli, którą obrazuje zdanie. To ona prezentuje się w ten niezależny sposób. Owo pogranicze myśli i języka, myśli i rzeczywistości spaja tę antropoidalną parę w niekończącą się świadomą siebie konkwistę poszerzającego się świata. Czy walka o przetrwanie, walka o byt wystarczająco tłumaczy zapał człowieka do ciągłego powiększania wiedzy i umiejętności, w tym: do zdobycia najważniejszego fundum w humanistycznych zasobach, do posługiwania się językiem.

Wiele mówi się o piśmie jako o epokowym wynalazku, któremu niewiele innych może sprostać. Lecz ani pismo, ani druk, ani komputer nie są w stanie przesłonić wynalazku (odkrycia) mowy. Homo sapiens nie wpadł na nic ważniejszego niż język. Pismo, druk i komputerowy program do pisania można zaliczyć do osiągnięć miary kamiennej siekiery lub łuku z czasów paleolitycznych.

Teoretycy podstaw języka wciąż poszukują kamienia filozoficznego mowy ludzkiej, jej prapoczątku i ostoi. „Niedawno językoznawcy słusznie podnieśli, że współczesne pojęcie języka zakłada świadomość językową, która jest pewnym rezultatem historycznym i nie stosuje się do początków procesu historycznego, w szczególności do charakteru, jaki miał u Greków. Dokonała się ewolucja od zupełnego braku świadomości, jak w klasycznej Grecji, do instrumentalistycznej deprecjacji języka w epoce nowożytnej, a dzięki temu procesowi nabywania świadomości, zawierającemu w sobie zarazem zmianę postawy wobec języka, »język« jako taki, tj. w swej formie oderwanej od wszelkiej treści, mógł stać się samodzielnym przedmiotem"[2]. Odniosę się tylko do zamierzchłej przeszłości, której autor nie porusza tu głębiej, skupiając uwagę na niezbyt dokładnie czytanych świadectwach helleńskich. Współczesna deprecjacja języka może uchodzić za naturalne przyswojenie mowy i uznanie języka za przedmiot. Brak jednak wejrzenia w czas przedgrecki, czas narodzin języka, uchodzić może za profanum, skoro to wtedy, w czasach łupanego topora, powstała mowa i niewątpliwie stała się świadomym medium o sile głosu szamanów. Człowiek nie mógł już nie zgłębiać siebie, skoro miał w sobie siłę wychodzenia na zewnątrz. Stawał się niezależny jak wiszące nad nim gwiazdy. Nie kurczył się już przed wszechświatem, choć znaleźli się tacy, którzy mu o tym przypominali i będą przypominać, i będą wykorzystywać.

To wówczas człowiek zjednoczył myśl i zdanie w dźwięk kosmosu rozumianego potem przez Greków jako wszechświatowy porządek. Czy były nim myśl i zdanie, to nierozwikłany problem innej granicy. Foucault tak kontynuuje swoje widzenie granic: „język przeciwstawia się myśli jako coś refleksyjnego czemuś bezpośredniemu"[3]. Nie wiem, jak głęboki jest kanion odgraniczający myśl od języka, ale zbyt wielki, żeby jedno zastępować drugim. A jak zatem je oddzielić? Owa granica nie dotyczy bowiem funkcjonowania myśli i języka; tu nie można posadzić różnicującego żywopłotu. Problem dotyczy epistemologicznego zgłębienia mowy. I oto na przeciwległych brzegach stoi ten sam człowiek, nadaje i odbiera te same językowe sygnały. Nie dajmy mu zwariować. Funkcjonalnie myśl zespolona jest ze zdaniem. Badanie granicy skazane jest atoli na intuicyjne dotykanie gałęzi wspomnianego żywopłotu.

„Język przesłania myśl. Tak mianowicie, że po zewnętrznej stronie szaty nie można sądzić o formie przybranej w nią myśli. Kształtowaniu szaty przyświecają bowiem zgoła inne cele, niż ujawnianie formy ciała"[4] . Bardzo trafna uwaga na temat celowości. Język zamyka myśl w swoim ogrodzie, który widzimy z zewnątrz. Kwitną osty, lwie paszcze i floksy. Dostrzegamy więc wielobarwną ekspresję, a tajemnice kontaktów myśli i języka nikną w powodzi kwiatów. To nieodgadnienie kryjącej się myśli bierze się przede wszystkim z niezrozumienia roli i funkcji języka, z nieodpartej wiary w przyczynowo-skutkowe widzenie świata; hołduje tej teorii każdy, od profesora po hodowcę owiec. Język zaś nie ma filozoficznych skłonności. Jego logika jest bardziej wszechstronna niż myśl. Okazuje się to wtedy, kiedy filozof wychodzi poza utarte ścieżki myślenia. Ciężar tego przejścia spoczywa na języku jak na baktrianie, który dźwiga i myśl, i siebie, i cały świat.

Podobnie przemawia w kilku miejscach Foucault. Też schodzi po ścianach kanionu, przepaści, na której dnie płynie koniunkcja myśli i języka, lecz tu okazuje się, że przepaści nie ma, a rozłączność języka i myśli porośnięta jest łączącym oba klomby żywopłotem, który bardziej przypomina łatwą do przekroczenia kwiecistą rabatkę niż kolczasty mur krzaków. „Słowa nie są zatem naskórkiem dublującym myśl od frontu; odwzorowują ją i kierują ku niej, i to raczej ku wnętrzu, między owe reprezentacje reprezentujące inne reprezentacje. Język klasyczny jest o wiele bliższy, niż się uważa, myśli, którą ma za zadanie ujawniać, choć nie jest wobec niej paralelny; schwytany został w jej sieć i wciągnięty w wątek, jaki ta myśl rozwija. To nie zewnętrzny efekt myślenia, ale myśl sama"[5]. Pięknie myśli Foucault. Oddalił się znad przepaści czy raczej skurczył ją za pomocą mowy do rozmiarów kwiecistej granicy. Utworzył językowy most, zbliżył do siebie skrajne brzegi kanionu, połączył je, aby zdawało

cd. str.4

cd. ze str.3

się, że są jednym. Nie podjął więc próby zejścia na dno owego kanionu. To niemożliwe, stwierdził. Systemy korzeniowe obu klombów są tak splątane, że nie sposób ich oddzielić. Kiedy nie było języka, była myśl, uboższa o możność zgrabnego jej formułowania. Kiedy nastała era języka, myśl przywarła doń jak w miłosnym uścisku. Pamiętać jednak należy, że w tych amorach nadal język pozostaje językiem, a myśl myślą. Nie rozstrzygam charakteru odwzorowania, ale widzę w ciemności ową koniunkcję myśli i języka, niejasną jak dla krótkowidza pisana maczkiem instrukcja. Nikt nie dotrze na samo dno przepaści, żeby powiedzieć: tu właśnie się łączą. To miejsce podobne do przystani, do której zawija Charon. Można tam trafi, lecz nikomu nie uda się o tym opowiedzieć.

Z drugiej strony Foucault powiada tak: „[…] »słowa mają być znakami idei mówiącego – powiada Locke – i nikt nie może bezpośrednio używać ich jako znaków dla czegoś innego niż dla własnych swych idei«. Nie to odróżnia zatem język od wszystkich innych znaków i pozwala mu odgrywać decydującą rolę w przedstawieniu, że jest indywidualny bądź kolektywny, naturalny bądź arbitralny, ale to, że analizuje reprezentację zgodnie z sukcesywnym porządkiem: istotnie dźwięki mogą być artykułowane tylko pojedynczo, język nie jest w stanie przedstawić myśli od razu i w całości, musi wykładać ją stopniowo, w porządku linearnym"[6]. Locke poprawnie analizuje funkcję języka, ale znów nie patrzy w głąb przepaści, nie próbuje też rekonstruować splotu lin mostu, który łączy obydwa brzegi myślowo-językowego kanionu. Wnioski zaś Focaulta wydają się rykoszetem stwierdzenia Locke'a, nie konkluzją, lecz odległym odbiciem od dna problemu. Reprezentacjonizm Locke'a, idee przedstawiania pierwotnych cech ciał, obalało skutecznie wielu. Ten sposób postrzegania lingwalnego eksponuje umysł człowieka, wywyższa go do roli twórcy idei, lecz nie objaśnia owej przepaści dzielącej mowę i myśli.

Odrzucenie poetyckiego zarania dziejów mowy zakłada męczeńską drogę języka ku literaturze. Pierwszemu zdaniu przysługuje wysoki pułap wzlotu nie tylko z uwagi na pierwszeństwo, lecz przede wszystkim z uwagi na formę ujęcia wymówionej wówczas myśli. Wartość komunikacyjna lub informacyjna, lub polityczna języka jest wtórnym ucieleśnieniem językowych możliwości. „Jestem" wypowiedziane jako informacja wydaje się śmieszne i zbędne. A jaką komunikację mógł człowiek nawiązać, wypowiadając to zdanie? Tylko poezja mogła zmieścić w tym prostym zdaniu głębię świadomości istnienia, a zarazem zakarbować na zawsze w języku jego literacką werwę. U Elzenberga, który co prawda nie śledzi przedświtu mowy, taka pojawia się myśl: „[…] u nich [u poetów], jako artystów słowa, a więc bądź co bądź także myśli, utwór w sposób naturalny i mniej więcej konieczny staje się narzędziem uświadomienia sobie siebie samego"[7]. Człowiek z paleolitu marzył na zasadzie pewnej konieczności (marzenia te były uporczywe) o poetyckim otwarciu ego na świat, bo tylko w ten sposób mógł utożsamić całego siebie z komplikacją tego, co na zewnątrz, i powrócić w pełni świadomie do siebie.

Liryka wydaje się najbardziej wyrazistym rodzajem literackim, pozostałe zanurzone są do połowy w rzeczywistości jakby mimesis była tylko syrenim ogonem. Myśl epiki czy dramatu oscyluje pomiędzy tym, co rzeczywiste, a poezją. Puka w okna domów, zagląda do nich, podsłuchuje, śledzi, przepatruje… Liryka gardzi geografią, nie zwiedza krajów, nie kłóci się z nikim, na podobieństwo nauki i filozofii analizuje i zgłębia. W pierwszym „Jestem" zalśniła liryczna jaźń po raz pierwszy. Entuzjastycznie wypowiedziała światu swoje świadome istnienie. I w tym momencie nie pojawiło się echo, lecz raczej świat wpadł w gardziel jaźni; ona go połknęła. Tak wygląda tożsamość ego, na powracaniu z zewnątrz. Człowiek nie musi męczeńsko wdzierać się po nieswoje. Poezja jest jego własnością. Z tego pułapu można tylko sfruwać.

„Jestem" to twór artystyczny niosący przekaz o wiele wnikliwszy niż informacja, komunikacja, perswazja czy zaczepka. W tej formule zamyka się i otwiera tajemnica istnienia. To pierwsze zdanie, które wyprzedza myśl, ciągnąc ją za sobą. Język duszy dokonał wyłomu w empirii instynktu. Odtąd myślom coraz trudniej będzie otrząsnąć się z języka. Wiadomo, że dzisiaj wiersz o tak skąpej treści wzbudziłby zdziwienie i wywołał grymas zawodu, co najwyżej skłoniłby czytelnika do przemyśleń, skąd owa brachylogia przekazu. Zastanówmy się, jak wybrzmiałoby to zdanie w ustach myśliwego lub prehistorycznego garbarza, nie poety, nie malarza. Czy miałoby tę wzniosłą siłę, która potrafi rozwijać, trójwymiarowo poszerzać i patrzeć poza to, co powiedziane i co widziane? Zdanie to nie miałoby żadnego teleologicznego sensu; odnosiłoby się bowiem tylko do tego, czego człowiek doświadcza. Mówiłoby, powiedzmy, o topografii czy funkcji życiowej. To za mało. Dlatego musiało zostać wypowiedziane przez genialnego twórcę. To była jedyna furtka do krainy języka. Inne splątałyby nici mowy, nie otwierałyby jej ogrodów, lecz zatrzaskiwały się, a człowiek musiałby każdorazowo przesadzać płot lub rzucać furtianowi hasło, żeby coś udawanego powiedzieć lub usłyszeć. Nihil novi sub sole. Powstałby język kamiennego rzemiosła i nie wzbiłby się wysoko, ponieważ jego cechą byłoby ciążenie do jednostkowego konkretu.

Ponadto poezja wprowadza wszystko to, czego wymaga funkcjonowanie języka: znaczenie, metaforę, symbol, abstrakcję i idee. Przed łupaniem kamienia tych wynalazków nie było. „Opis krajobrazu przez malarza lub poetę nie ma nic wspólnego z opisem geografa czy geologa"[8]. Współcześnie może na ten temat rozgorzeć dyskusja. W tamtym czasie dyskusji nie było. Kto i z kim miałby dyskutować? Przede wszystkim brakowało medium. Nie było też akceptowalnej zgody pomiędzy tym, który mówi, a tym, który słucha. Dopiero mowa wprowadziła możliwość dyskursu. Również człowieka z samym sobą. Wielu jednak zagorzałych zwolenników działania instynktownego sprzeciwiało się mowie, która starała się stawiać przeszkody na drodze swobody i bezkarności. „Dramaturg, powieściopisarz i poeta liryczny wydobywają na światło dzienne nieskończone możliwości, których mieliśmy jedynie niejasne i tajemne przeczucie. Taka sztuka nie jest […] imitacją, ani reprodukcją, lecz prawdziwym objawieniem naszego życia wewnętrznego"[9]. Pierwsze więc zdanie człowieka wzniosło cały hipotetyczny gmach literatury albo inaczej: na skrzydłach literatury sfrunęło na ziemię pierwsze zdanie.

## II
## Między bytem i myśleniem

Żeby pojąć zdanie, które wczepia się tak kurczowo w myśl, że ledwie dostrzec można graniczną nić o głębokości górskiego parowu, umysł winien je przenicować, aby odsłonić niesioną myśl. To myśl pamięta za pomocą języka. W owym granicznym parowie ukazują się cienie zbudowanych mostów i kładek; łączą myśl i zdanie na różnej głębokości; zagłębienie wygląda jak przepaść Tartaru. Ileż to mostów runęło na dno parowu? Z pozoru przeskok lub przerzucenie deski wydają się proste, bo wąska to granica, lecz

Zbigniew Kresowaty

ponadto chwiejna i zmienna. Mimo to Schopenhauer bardziej wyraziście ją postrzega. „Sens mowy odbiera się bezpośrednio, chwyta dokładnie i ściśle, z reguły bez domieszki wytworów fantazji. To rozum przemawia do rozumu, pozostaje na swoim obszarze, a to, co przekazuje i odbiera, są to abstrakcyjne pojęcia, przedstawienia nienaoczne, utworzone raz na zawsze i w stosunkowo małej liczbie, lecz które obejmują, zawierają i reprezentują wszystkie niezliczone przedmioty rzeczywistego świata"[10].

Uchwycenie sensu mowy nigdy nie jest, a tym bardziej nie było ab initio, prostą absorpcją słów. Mówiliśmy przecież kiedy indziej, że zdanie jest atomem, słowa – nukleonami i elektronami, głoski zaś – różnobarwnymi kwarkami. Odbiór zdania u Schopehauera został rozczłonkowany na gałęzie drzewa jednej myśli. Człowiek słyszy słowa, ba, skupiwszy uwagę, słyszy poszczególne głoski. Tylko słyszy. Odbiera zaś zdanie, bo tylko zdanie przenosi myśl; słowa to zdaniowe konstrukty. Nasz prehistoryczny antenat nie rozważał, oczywista, tych teoretycznych podziałów, bez których mogła obejść się każda jego wypowiedź. Zaczął mówić w pełni językowej nieświadomości, a zarazem w przypływie niezbywalnego przymusu mówienia; tylko tak mógł wyjść z siebie. Cieszył się i był dumny ze swojej umiejętności, choć nie dostrzegał ogniw łączących ją z myślą i ze światem, z własnym ego i zewnętrzem, z sobą i z Innym. Genialna samoświadomość wynalazku przyszła później. Język musiał się upowszechnić. Ktoś odpowiedział lub powtórzył, doznając tego samego uczucia wyzwolenia z pęt siebie samego, z więzów instynktu. Nie wszystkim w smak była ta awangardowa nowinka. Wszak otworem stały też inne drogi: kontynuacja polowań lub rybołówstwa, lub garbarstwa, lub kamieniarstwa. Mowa nie była żadnym przymusem. Po co nowe, kiedy znakomicie funkcjonuje stare? Przeto język, co podkreślam nie po raz pierwszy, nie przetrwałby pierwszej sensownej wypowiedzi, a jeśliby przetrwał, pozostałby jedynie empirycznym bełkotem. Myli się u podstaw Schopenhauer, ale jak to często bywa, nieomylny jest w szczegółach. „W ten sposób mowę, podobnie jak każde inne zjawisko, które przypisujemy rozumowi, i wszystko, co różni ludzi od zwierząt, można wyjaśnić za pomocą jednej i prostej rzeczy jako jej źródła: za pomocą pojęć, przedstawień abstrakcyjnych, nie naocznych, powszechnych, a nie indywidualnych w czasie i przestrzeni"[11]. Passus dotyczący abstrakcji demonstruje nieomylnie podstawowy pierwiastek mowy ludzkiej. W najprostszych słowach ujmując wniosek pozytywny: nie trzeba tylu słów, ile istnieje rzeczy. To jedno z największych udogodnień mowy, a zarazem niezbywalny czynnik jej rozwoju. Myli się jednak niemiecki filozof w holistycznej ocenie języka. Nie wystarczy abstrakcyjne naznaczenie jedną nazwą wielu rzeczy. W tylekroć przywoływanym „jestem!" tkwi zarazem jednostka i plemię. To znacznie więcej niż tylko abstrakcja. To nie początek mowy. To jej początek i koniec. To są granice i istota języka.

Powszechność języka wydaje się więc imponderabilium językowego bytu. Tylko ona sprawia, że istotą języka może (musi) być dyskurs, możliwość ścierania się zdań, wypiętrzania się myśli, poszukiwania nowych rozwiązań ludzkiej mowy, heglowska dialektyka problemów. Nie chodzi tylko o interpersonalną dyskusję, ale o myślenie w sposób, który uwalnia dopiero wspólna mowa. Język wchodzi w dyskurs z samym sobą, rozszerza połacie nazywania, tworzy nowe znaczenia, fleksyjne uproszczenia i gramatyczne skróty. Na te zmiany nie ma wpływu żadne collegium ani żaden człowiek. Owszem, istnieje nowomowa, owoc partyjnej czy innej indoktrynacji, istnieją komitety językowe ustalające normy mowy i pisma na podstawie zjawisk wewnątrzjęzykowych. In brevi: bez wspólnego języka nie byłoby wewnątrzjęzykowego dyskursu. Dyskutowanie prapoczątku języka również zasadza się na wspólnym pojmowaniu możliwości mowy. Każdy historyczny rekonesans wymaga współuczestnictwa w lingwalnym dyskursie, w tym również, jeśli idzie o przeszłość wymykającą się historycznej kontroli albo tematy wychodzące poza możliwości języka, który zna swoje granice, ale też umie je poszerzać. Wedle Levinasa powszechność udziału w mowie jest niezbywalnym warunkiem korzystania z języka. „Oddzielone istoty myślące stają się rozumne tylko w tej mierze, w jakiej ich osobiste i szczegółowe akty myślenia stanowią momenty tego jedynego i powszechnego dyskursu. W myślącej jednostce rozum występuje tylko o tyle, o ile myśl pojmuje myślącego – w etymologicznym sensie słowa »pojmować« *(comprendre)* [łac. comprehendo, -ere] – to znaczy o ile go obejmuje"[12]. Nie upierałbym się przy tych etymologicznych objęciach, choć wiem, że to prawdziwe. Wydaje mi się jednak, że nie dotyczy istoty rzeczy, poruszanej przez Levinasa kwestii. Dalej bowiem francuski filozof powiada tak: „Ale uznając, że myślący byt jest tylko momentem myśli, ograniczamy objawiającą funkcję języka do jego koherencji, która wyraża spójność pojęć. W tej koherencji ulatnia się niepowtarzalne Ja myślącego bytu"[13]. Byłoby tak, gdyby istotą myśli był myślący podmiot. Istotą myśli jest jej treść, która grzęźnie w językowym gąszczu tradycji. I żadnej nowiny człowiek nie opowie, jeśli nie z zrzuci z siebie przesiąkniętego społeczną wędrówką płaszcza; resztę załatwi sama myśl. Obecność podmiotu myślącego zaznacza się jedynie przybijającą całość wypowiedzi pieczęcią: to mówię ja. Bez żadnych ostentacji, egzageracji i manifestacji. To mówię ja, i ta pieczęć wystarcza. Jeśli zaś idzie o ulatnianie się naszego Ja pod wpływem uspołecznienia języka, to, niestety, autor ma rację. Sztuką jest zatem trzymać się siebie samego na niezmienionym poziomie, na stałym kursie względem społecznego natarcia. To już nie tylko problem języka. A zaczynało się rewolucyjnie: człowiek szukał tej ekspresywnej siły, która ukaże jego indywiduum całemu światu, a on tę przestrzeń obejmie i westchnie nią dogłębnie, otwierając ego na to, co na zewnątrz. Dotąd był tuż pod powierzchnią siebie. Mowa go wyzwoliła, wylewając się zeń jak rzeka. Ego pozostawało głęboko w pierwotnym człowieku. Otwarcie na świat nie ułatwiło zgłębienia własnego Ja. Znalazło natomiast tożsamościowy derywat, ekwiwalent istoty siebie samego, odbicie siebie w kosmosie.

A contrario, u zarania mowy najtrudniejsze było uzyskanie powszechności. Wykrzyczane „jestem!" nie wystarczało geniuszowi mowy. Wyzwolenie wymagało jeszcze wysłuchania. Ludzi genialnych było wielu, lecz działanie ich często natykało się mur milczenia, na brak responsu, jeśli nie liczyć zdawkowej uwagi: głupi!. Nikt nie był skory do pochwycenia genialnej myśli. Przeto ów kantabryjski mędrzec postanowił wykrzyczeć siebie tak, żeby wszyscy go usłyszeli i zrozumieli. Geniusz jest jeden, pozostali to naśladowcy, ale bez mimetycznego echa mowa pozostałaby co najwyżej łoskotem łupiącego skałę Kromańczyka. Człowiek męczył się w granicach swojego ciała i instynktu. Zamknięty był w sobie na klucz. Sterczał tuż przy drzwiach, czekając na otwarcie. Nie mógł znaleźć klucza. Podobnie męczy się każdy pracownik ograniczony metodami zarządzania, zwłaszcza autorytarnego, i to stosowanymi przez kogoś, kto zarządzać nie potrafi. Mruczał, milczał, machał rękoma, a tu nic. Przecież mówię. Cha, cha, cha! Też mi argument! Jakby nikt go nie słyszał. Aż wreszcie: Jestem! Nie wszystkim przypadł do gustu ów otwierający świat okrzyk. Nie rozumieli własnych oczekiwań. Wątpiących wobec nowinki jest zwykle większość, a co najmniej połowa. Ryczeli, huczeli, pokrzykiwali jak wtedy, gdy próbuje się zagnać dzika w pułapkę. Aż oderwał się od ogniska stary malarz reniferów, który zrozumiał nowy przekaz. Powtórzył zdanie poety. Z tą samą intonacją głębi podwojoną jaskiniowym pogłosem. Poczuł, jak opadają więzy, jak rozjaśnia się obraz jego świata. Zrozumiał, że malarstwo pokazywało mu dotąd tylko część drogi na zewnątrz. Poecie-geniuszowi jego odpowiedź wydała się znacznie ważniejsza niż jego stwierdzenie. Niosła bowiem ze sobą powszechność i dyskurs. Spotkały się ego i Inny. Nie ma większej satysfakcji niż zrozumienie, prapoczątek dialektycznych tarć i uzgodnień. Poeta wyraził swoje uznanie dla oczekiwanej nowinki czymś w rodzaju laudacji – był to w końcu geniusz – i odpowiedział: jesteś!

Mogło też być inaczej: ów słuchacz czekał na te słowa, aby w ten sam sposób dokonać własnej autoeksplozji (wiedział, że zdanie to nadejdzie), która oznaczałaby narodziny jego podmiotowości. Jego genialność podjęcia wyzwania graniczy z cudem. Któż bowiem podjąłby się responsu? Dlatego powtórzył „jestem!". Słuchacz wiedział, do czego przystępuje. „Jestem!" odkrywcy nie mogło jednak być „jestem!" podejmującego dyskusję. Nie odbijało się czystym echem nowo narodzonej mowy. Nie było więc mimesis. Było indywidualnym akcesem w nieznaną sferę, a jednocześnie wyzwoleniem siebie z atawistycznych więzów. Respons malarza niósł ze sobą powszechność używania języka i nowe sposoby interpretacji oraz potwierdzenie metaforycznej siły zdania.

Respons malarza reniferów, jak by nie brzmiał, już u zarania przypieczętował stygmat powszechności. Tak zrodziła się lekkość i poetycka wzniosłość mowy, czytana później jako zbytnia swoboda i brak precyzji. „Język nie tylko nie zakłada powszechności i ogólności, ale dopiero je umożliwia. Język zakłada rozmówców, wielość. Ich obcowanie nie polega na tworzeniu wzajemnych przedstawień ani na partycypacji w powszechności, we wspólnej płaszczyźnie językowej. […] Stosunek językowy zakłada transcendencję, radykalną separację obcość rozmówców, objawianie się Innego dla mnie. Inaczej mówiąc, język mówi tam, gdzie między członami relacji nie ma wspólnoty, gdzie nie ma wspólnej płaszczyzny, gdzie taka płaszczyzna ma powstać"[14]. Transcendencja Levinasa jest bardzo wrażliwa na dotyk, jakby mocniej zależała od tego co wewnątrz niż od tego, co extra spatium orbis terrarum. Tak rozumiana znakomicie pasuje do wewnętrznej istoty mowy. Dopiero wychodząc z siebie, homo sapiens uświadomił sobie transcendentność zewnętrzności. Zależało mu na wyjściu z siebie, toteż brnął pod mglistą lampą sensu. To nie był przypadek, to nie była tylko zewnętrzna Ananke; był to napór ego. Podobnie wpatrywał się w swoje oblicze Narcyz, z tą różnicą jednak że jaźń nie poprzestała na patrzeniu i kontemplacji. Rozświetliła w tym odbiciu kosmiczne przestrzenie, które dotąd omijała. Ja nie jest próżne, lecz ciekawe reakcji na swoją istność.

To nie jest zabawa fleksyjna. To jedyna możliwa metoda odsłony narodzin ludzkiej mowy. Cokolwiek odpowiedziałby drugi geniusz, ów malarz reniferów, na to ludzkie echo, nie mógł powtarzać tego samego, nawet jeśli użył tych samych słów. Dyskurs ograniczyłby się bowiem do echoidalnej wymiany dźwięków. Albo kazałby jednemu słowu wcielać się w bezmyślne role coraz większej liczby znaczeń. Obaj zrozumieli, i poeta, i malarz, że mowa utknęłaby w martwym punkcie, gdyby nie podjęli śmiałej riposty: „jestem!" contra „jestem!". To trudniejsze od nazywania każdej rzeczy innym imieniem. Po owym responsie malarza droga obu geniuszy stała się powszechnym traktem, który przemierzali i wodzowie, i kmiecie; a przynajmniej stanął przed nimi otworem.

Levinas tak podsumowuje lokucyjne parowywanie Ja przez ową cieśń, którą utworzył język: „Osobliwy to wynik: język miałby polegać na usuwaniu Innego przez uzgadnianie go z Toż-Samym!"[15]. Paradoksalne podejrzenie francuskiego filozofa wydaje się trafną prognozą rozwoju języka i indywidualności każdego człowieka. Jak dotąd część Ja wymykało się osmotycznie, przez wspólne milczenie jaskiniowego społeczeństwa, przez kamienne rzemiosło czy myślistwo oraz malarstwo i ich zewnętrzną absorpcję. Przesączało się, lecz nie powracało responsem w oczekiwanym przez umysł rozumieniu. Przynosiła ulgę człowiekowi choćby najkrótsza wycieczka poza podskórne wyczekiwanie, przez wyniesienie Ja poza własną osobę, przez pochłanianie przestrzeni, przez połykanie świata. Aż zdarzył się cud języka, który wyrzucił człowieka poza siebie samego, godząc go z poniesionymi w tej ekspresji kosztami, jak powiada Lévinas.

## III
## Język i świat

Społeczeństwo zatopione jest w języku, nie odwrotnie. Powszechność mowy, zrozumiałość jej obecności i działania powoduje raczej oswajanie Innego niż Jego całkowite usunięcie czy wrogość. Usunięcie nie jest możliwe. Dla ukrytego ego zawsze będzie ja i ty, ja i świat, ja i to, co zewnętrzne, a nawet ja i to, co poza tym, co na zewnątrz. Chyba że Lévinas podejrzewa rokosz, który podstępny język zamierza wzniecić w obozie mówiących, by zawłaszczyć najważniejsze ich agendy: rozum, duszę i ciało. Gadamer też coś na ten temat napomyka: „Jeśli wszelkie rozumienie pozostaje w koniecznej relacji równoważności do swej możliwej interpretacji i jeśli rozumienie nie zna granic, to i ujęcie językowe, które doświadcza tego rozumienia w interpretacji, musi nieść w sobie przezwyciężającą wszelkie ograniczenia nieskończoność. Język jest językiem samego rozumu. […] Język staje bowiem wtedy tak blisko rozumu (co oznacza: blisko rzeczy, które ten nazywa), że staje się zagadką, jak w ogóle jest możliwa rozmaitość języków, w których przecież, jak się wydaje, występuje ta sama bliskość wobec rozumu i rzeczy"[16]. Bliskość nie oznacza tożsamości. Słowo i rzecz nie są tożsame. Możliwe zatem stają się różne mosty językowe pomiędzy myślą a rzeczą.

Nieskończoność jest właśnie granicą języka. Nigdzie dalej on się nie posunie. Gdyby jednak wyszedł poza tę granicę, stałbym się dumny ze swego człowieczeństwa. Gadamer zastosował zasadę pars pro toto do inadekwatnej sprawy. Język blisko rozumu? Zapewne, ponieważ transfuzja krwi lokucyjnej z rozumu do rzeczy odbywa się drogą mówienia. Ale nikt nie pozostawia żadnego uszczerbku na rzeczy uczestniczącej w zdaniu. Transfuzja bowiem jest wzajemna. To swoista cyrkulacja lokucyjnej krwi. Przykład Gadamera łamie pewne schematy, ale także pewne zasady. Założenie poprawne, ale pozbawione innych założeń staje się przyciężką tezą. Co bowiem zrobić z rozmaitością języków, która nijak ma się do konkluzji Gadamera? „To właśnie nasze rozumienie – takie, jakie posiadamy – tego, co znajduje się poza naszą powierzchnią, wskazuje, że świadectwa będą-

cd. str.6

cd. ze str.5

ce podstawą owego rozumienia ograniczają się do tejże powierzchni"[17]. Quine także przybliża język do rzeczy czy raczej rzecz do języka, czyniąc tym samym niewidzialną głębię rzeczywistości. Rezygnuje jednak z tej pociągającej wizji, stwierdzając, że refleksja ta „rodzi pewne wątpliwości logiczne: czy same nasze wypowiedzi o promieniach, molekułach i ludziach nie są tylko dźwiękami pozbawionymi znaczenia, po prostu wyrazem irytacji spowodowanej przez drażnienie naszej powierzchni?"[18] Nie pierwsza to po Berkeleyu imaginacja rzeczywistości zamkniętej w umyśle. Znaczyłaby ni mniej, ni więcej, że człowiek pierwotny wykuwał swój kamienny żywot w myślach. Quine, oczywista, odrzuca taki obraz świata, nazywając go „bezzasadną konstrukcją".

Levinas w swym hermetycznym eseju o zewnętrzności inną podaję genezę języka. Rozumowanie filozofa dotyka sedna sprawy, choć nie posuwa swojej genialnej wizji dalej czy głębiej. Powiada tak: „[Język] nie polega oczywiście na wzywaniu Innego jako bytu przedstawionego i pomyślanego. Ale właśnie dlatego zawiązuje relację niesprowadzalną do relacji podmiot-przedmiot: jest *objawieniem* się Innego. Dopiero w takim objawieniu może powstać język jako system znaków"[19]. Bardzo mi bliska refleksja. Wyjście z siebie, wyjście na zewnątrz, wyjście ku Innemu, jak powiada Levinas, to cel ludzkiej pierwotności, kontra wymierzona zamknięciu w sobie, instynktownemu opędzania się od much rzeczywistości. Może zbytnio urealniam filozoficzną chmurność, ale interesują nas zawiązki ludzkiej mowy. Człowiek chciał być inny niż jest. Chciał zrzucić z siebie skórę zwierzęcego instynktu. Dziejowa Ananke lub ciekawość (nie wykluczają się te przyczyny) wymuszała na nim kolejne kroki. Podstawą atoli było wyjście z siebie w stronę Innego, jak zewnętrzność określa Levinas. Pewnymi pierwocinami tej największej próby, lokucyjnego Big Bang, były wszelkie przejawy bywania na zewnątrz, nie do końca uświadamiane i raczej instynktowne. Malarstwo zaczęło ulegać rutynie, swoistej doktrynie: tak, bo tak. Dekadencja szalała jak burza wśród pierwotnego malarskiego światka. Brakowało wyjścia ku Innemu, rzekłby Levinas.

„Wysiłek rozumienia i interpretacji pozostaje zawsze sensowny. Przejawia się w nim wyższa ogólność, z jaką rozum wznosi się ponad ograniczenia każdego języka. Doświadczenie hermeneutyczne jest korekturą pozwalającą myślącemu rozumowi wydobyć się z więzienia języka i samo jest ukształtowane językowo"[20]. Trzeba objaśnić tę pozorną sprzeczność. Jak niemożliwe jest wyjście poza domenę języka, tak niemożliwe jest wyjście poza rzeczywistość; można rozszerzyć lokucyjną domenę i w ten pozorny sposób poszerzyć rzeczywistość. Granice świata są zakreślone: geodetą jest język, teodolitem – zdania, często wypowiadane intuicyjnie. Gadamer wciąż powraca do kwestii wielości języków. Zaiste niełatwo wytłumaczyć rozmaitą nazywalność rzeczy. Nadawcą i odbiorcą znaków mowy jest człowiek. Każdy podobnie odczytuje zdanie. Słowa odarte z kontekstu zdaniowego nie mają sensu. Przypominam o tym Wittgensteinowskim constans, żeby uzmysłowić sobie i innym, że dopiero na tej atomowej podstawie możemy mówić o słowach czy głoskach. Człowiek pierwotny nie mógł uruchomić mowy inaczej niż poprzez zdania.

Chłodno, z pewną nutą cynizmu podchodzili do mowy Schiller, Rousseau czy Talleyrand, co Jaspers spuentował następująco: „Mówienie jako takie prowadzi do nieprawdy, do czegoś innego niż to, co właściwie miało się na myśli. »Gdy dusza przemówi, to nie mówi już dusza« (Schiller). […] Powiedzenie Schillera zdawało sprawę z tej nieadekwatności, ale ignorowało zawsze jeszcze możliwą adekwatność"[21]. Mowa jest kłamstwem – takie stwierdzenie ucina dyskusję o subtelnościach języka, a zwłaszcza o jego komunikacyjnej roli. Homo sapiens u zarania mowy również doznał zawodu. Sądził, że wyjdzie z siebie jak motyl z kokonu i w ten sposób osiągnie wolność. Wolność człowieka zawsze hasa na pograniczu normy i wyuzdania. Nie istnieje wolność absolutna. Nie chodzi o żaden moralny niuans, ale o ograniczenia ludzkiej samoświadomości. Człowiek już nigdy nie zapieje jak kogut, nie zarży jak koń, nie zabeczy jak owca, a jednocześnie będzie tęsknił za naturą, jakby tam ukrywała się wolność. Wilk, niedźwiedź, borsuk – oto przykłady bezceremonialnej wolności, która nie jest przez te zwierzęta ani wymawiana, ani uświadamiana. Kiedy wilk poluje na łosia, nie myśli ani o konsekwencjach, ani o wolności. Idzie na całość, jak mówi młodzież. Potrafi atoli wycofać się z ataku, kiedy zagrożone jest jego bezpieczeństwo. Kiedyś uważałem wolność za swobodę wyboru i postępowania. Może niegdyś tak było. Nie ma duchowej adekwatności woli i języka, jest Schillerowska przepaść, rozerwanie pomiędzy mową a wolnością. Pogłębianie tej granicy nie ma natomiast sensu. I tak zakopani jesteśmy w języku do szpiku duszy. Ego milczkiem wygląda zza każdego zdania. Tak było od zarania ludzkiej mowy. Eo modo ego chciało ujrzeć swoje odbicie w zwierciadle świata.

Przeto z pewnością nie mechanika wytwarzania dźwięku, ani powietrzne skrzydła ich przekazu stały u źródeł języka. Były to bowiem zdarzenia czysto fizycznej natury. Słusznie Cassierer gani lingwistykę Platona opartą na mimesis, naśladowaniu dźwięków, prezentowaną często w sytuacjach praktycznej niemożności jej stosowania; pochodzenie nazw przedmiotów, rzek, ptaków, imion bogów i ludzi tonie w ignorancji; ze wstydem mówię to, co Cassirer ocenia w sposób bardziej otwarty: „W relacji Platona teoria, że wszystkie języki powstały z naśladowania dźwięków, kończy się karykaturą i parodią. […] Nawet najnowsza literatura fachowa bynajmniej jej nie odrzuca, choć teoria ta nie występuje już w tak naiwnych formach jak w „Kratylosie" Platona"[22]. Na tejże etymologii *lucus a non lucendo* pochodzi. Nieco cieplej, czyli z większą wiarą w żartobliwość etymologicznych sądów Platońskiego Sokratesa, wypowiada się Krystyna Tuszyńska-Maciejewska: „Sokrates w pierwszej części dialogu przyjmuje ton kpiarski i nabiera młodziutkiego odbiorcę"[23]. Rodzi się pytanie, po co grecki filozof oszukuje młodzieńca swoistym wykładem naiwnej etymologii języka greckiego. Chce go uwieść? Amicus Plato, sed magis amica veritas. Wie o tym Platon, wie o tym jego Sokrates.

Treść przekomarzań Platona jest dla nas interesująca tylko jako paradygmat negatywny. Człowiek pierwotny niczego nazwami nie naśladował. Prawie niczego i nie od razu. Szukał pięknego jak echo wyjścia z siebie, żeby powiedzieć światu o sobie; żeby świat o nim usłyszał; i żeby świat nań spojrzał i mu odpowiedział. To właśnie dusza gryzła swój munsztuk i szarpała popręgi. Chciałaby wyjść tym rwaniem uprzęży poza samą siebie, a wyszła tylko poza ludzką powłokę i to reprezentowana przez legatów, jakimi są zdania. O tych dusznych marzeniach sporo przykładów znaleźć można u pitagorejczyków, zwłaszcza w żywocie samego Mistrza, który snadź uważał, że język nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Nie tylko metempsychoza, co można, nie ujrzawszy, zaakceptować, ale też strzała Abarysa, proroctwa, rozmowy z bogami żywiołów i ze zmarłymi, translokacje duszy w czasie i przestrzeni cechowały profetyczny umysł Pitagorasa. Wszystkie te marzenia wychodziły poza moc sprawczą języka i skierowane były do wiary gminu. Podobnie przemawiali starotestamentowi prorocy, a pięćset lat później Chrystus i jego apostołowie oraz wielu po nim.

Odbicie twarzy Narcyza nie jest już jej odbiciem. W chwili, kiedy patrzy na siebie zmarszczki wody zmieniają jego konterfekt. To zmusza Narcyza do odwrócenia wzroku i spojrzenia na świat. Ekstrapoluje, żeby odnaleźć w świecie nie przyczynę zakłóceń, lecz prawdę samego odbicia. To niemożliwe bez słów. „Mowa jako wymiana poglądów na temat świata, język, który zawiera myśli ukryte i który porusza się między szczerością a kłamstwem, zakłada źródłowość twarzy. Bez niej spadałby do rangi jednego z wielu działań, których sens wymaga niekończącej się psychoanalizy lub socjologii i nie mógłby się w ogóle zacząć. Gdyby nie to, że w głębi słowa wciąż żyje ta sama obecność ekspresji, zrywająca ze wszystkimi wpływami, ta panująca pozycja mówiącego, niepodatna na żaden kompromis i na żaden wpływ, ta bezpośrednia prostota relacji twarzą w twarz, słowo nie wychodziłoby poza poziom zwykłego działania"[24].

Aby przemówić, musi odezwać się podmiot, którego lingwalini legaci, zdania, zdają się poruszać nasz świat. To na podmiocie spoczywa wyznanie wiary w zewnętrzność. Przemawia, żeby istnieć. Istnieje, żeby mówić i słucha, żeby mówić. A co było wcześniej, nim pierwsze zdanie wymknęło się zza ostrokołu jaźni? Ego niczym woźnica kwadrygi upajało się niewoleniem instynktu i w mniejszym stopniu racjonalnej intuicji. Warto skorzystać z geniuszu Levinasa, ponieważ dostarcza pewnych subtelnych wskazówek, jakby statycznych przesunięć kierunku rozumowania. Zaiste niewidoczna ekspresja zdania manifestuje się w nim od początku. Pierwsze zdanie oczekiwało responsu. Bez tego echa nie posunęłaby się dalej mowa ludzka Zdanie nie mogło pozostać samo i czekać kolejnych przypływów ewolucji. W blokach startowych pozostały bakteria, żółw i orangutan. W ich genach też odzywało się oczekiwanie. Pozostały jednak tam, gdzie są. Skoro ewolucja tak znakomicie rozwija różne istoty, należałoby się spodziewać niebawem gadających małp lub śpiewających żółwi. Czy wymienione gatunki w swym ewolucyjnym marszu nie dostrzegały korzyści płynących z języka? Odpowiedź jest prosta: nie. Niestety nie zajmują mnie mutacje w genomie bakterii ani postęp ewolucyjny goryla na przestrzeni ostatnich tysięcy lat, ani śmierć australopiteka lub homo habilis, lub homo erectus, którzy zniknęli z powierzchni ziemi, a o mowie mogą usłyszeć tylko dzięki uczonym. I to w zaświatach. „Mowa jest pierwszym wytworem i najważniejszym narzędziem jego [człowieka] rozumu. […] Tylko za pomocą mowy rozum doprowadza do skutku swe najważniejsze osiągnięcie, mianowicie zgodną czynność wielu jednostek, planowe współdziałanie wielu tysięcy, cywilizację, państwo, a dalej naukę, przechowanie wcześniejszych doświadczeń, zebranie w jedno pojęcie, co wspólne, przekazywanie prawdy, rozpowszechnianie błędu, myślenie i poezję, dogmaty i zabobony"[25].

Wykład Schopenhauera dotyczy tylko języka rozwiniętego, dumnie niosącego pióropusz postępu. Przede wszystkim pierwotnie język nie miał na celu niczego przekazywać z artefaktów, które rozważa się obecnie jako najbardziej istotne, nie kojarzył się z komunikacją czy z nauką. Człowiek z Altamiry nie myślał o państwie, o narodzie ani o cywilizacji. Przez głowę by mu nie przeszło tworzyć akademię, laboratoria czy klasztorne skryptoria. Nie marzył o tym, co przerastało jego wyobraźnię. Komunikacja, niewątpliwy atut współczesnego języka, pierwotnie nie służyła wymianie zdań, lecz stopniowemu uwalnianiu duszy. Wychodził z siebie, lecz nie wyzwolił się jeszcze, stawał na zewnątrz siebie, świadomie czy nie – patrzył z boku na naturę. Mgliście uświadamiał sobie swą wyższość nad innymi przedstawicielami ówczesnej fauny. Wiedział atoli, że każdy z owych przedstawicieli może być niebezpieczny. Walka stanowiła podstawę tej świadomości, już nie instynktu. Również w cieple plemiennego ognia każdy musiał być czujny. Przywództwo zawsze należało do silnych, ale już niekoniecznie oni sprawowali faktyczną władzę. Mowa była wybuchem indywidualnego geniuszu, niezwiązanego zupełnie z instytucjonalną teleologią Schopenhauera. Była samodzielnym wynalazkiem jednego człowieka szukającego w swoim otoczeniu pokrewnej duszy, która odpowie jego śpiewnemu „jestem". To sam język zatem okazał się plastycznym, jakby samoświadomym narzędziem, które zawarło w sobie to wszystko, czego brakowało używającemu go podmiotowi.

## IV
## Pierwsze zdanie

Pierwsze zdanie posiadało wszelkie gramatyczne, stylistyczne i fleksyjne atrybuty. Zawierało też w sobie miejsce na różnorodność nie tylko leksykalną i tę we wspomnianych powyżej dziedzinach, ale też multilingwalną, operacyjnie zwrotną, nazywającą to samo inaczej, homonimicznie sprawną, rozprzestrzeniającą się niczym promienie słoneczne we wszystkich kierunkach opisu wszechświata. Ta giętkość ludzkiej mowy jest fenomenem, który budzi skojarzenie z fantazją mitologicznych postaci, centaurów, sylenów, gigantów czy tytanów, które choć wzięły się znikąd, opanowały ludzką wyobraźnię od zamierzchłych czasów do dziś. Początek stanowiła implozja milczenia. To ona doprowadziła do wybuchu mowy. Wówczas to człowiek jak dżin z butelki wyzwolił się z zamknięcia wewnątrz siebie, a świat usłyszał jego wielkie obwieszczenie i modlitwę. Ta koncepcja zadaje kłam siedemnastowiecznym teoriom de lingua Adamica, nawet jeślibyśmy rozszerzyli czasowe granice raju. Adam z Ewą nie rozmawiał, a tylko korzystał z dobrodziejstw rajskiego milczenia, póki oboje nie sięgnęli po owoce drzewa poznania dobra i zła. Poznanie moralne i intelektualne wymaga języka. Parafrazując tę biblijną przypowieść i poddając ją mojej interpretacji, rzec można, iż człowiek z raju milczenia trafił do piekła mowy.

Język stopniowo poddawał się ludzkiej mrzonce o gatunkowej wyższości. Świat jest dla nas, czyńcie sobie ziemię poddaną, umysł ludzki ponad zwierzęcym instynktem, roślina nic nie znaczy. Wyższość ta atoli znamionowała i znamionuje zwyczajną pychę, której syk nieraz się odzywa: wiem, jaki był cel stworzenia świata; znam boskie plany; to mój, niczyj więcej świat. „Mam świadomość, że rzeczywistość aksjologiczną, o której mówię, znam. […] I można by bez absurdu postawić pytanie: czy nie byłoby lepiej sięgnąć do języka artystycznego?". Do dziś język poetycki potrafi więcej niż naukowy. To on otwiera lokucyjne wrota problemów, do których nauka nie ma dostępu; poszerza świat języka; szerzej już nie można; otwiera krainę marzeń i uczuć; wnika w tajniki ludzkiej duszy głębiej niż filozoficzny wywód. Jest odpowiedź Elzenberga na pytanie o język artystyczny: „Ale to chyba nie, bo to jest język: a) ekspresyjny, b) nastawiony na efekt, a – nie o to przecież tu chodzi. Marzy się o jakimś trzecim języku, – ale skąd go

wytrzasnąć?"[26]. Nie docenia toruński filozof słowotwórczej i mitotwórczej roli języka, a zwłaszcza jego intuicyjnej przenikliwości. Autor ulega odwiecznemu marzeniu o trzecim języku, któryby pokazał to, czego poszukuje religia czy metafizyka. Niestety, człowiek na język nie ma wpływu takiego, jaki ma na korzystanie z niego. Udowodniła to twarda postawa języka wobec dwóch totalitarnych systemów. Indoktrynacja języka, inwigilacyjne podsłuchiwanie mowy (odezwij się, a powiem ci, kim jesteś), nowomowa, prasowa presja komunistycznych i nacjonalistycznych instytucji nie zdołały zmienić zasad języka. Zawracano bieg rzek, lecz nikt nie zdołał zmienić biegu języka, albowiem rządzi się własnymi prawami; te narzucone są śmieszne, jakby byle deszczyk mógł zakłócić ustalony porządek życia wieloryba.

Filozofia, jak każda dziedzina intelektualnej aktywności, przystrzyga swój trawnik nożycami języka, ale też poszerza za jego przewodem swą połać. Nie ma źdźbła, może tylko mech, które wzrosłoby na filozoficznym kamieniu lub wokół niego bez pielęgnacji tym narzędziem. Tym samym język staje się zarazem ostoją i zewnętrznym instrumentem badawczym, owymi nożycami lub kultywatorem. Obsługa tych narzędzi nuży, toteż strzygący lub siewca używa przeróżnych sposobów, żeby urozmaicić lub uprościć swoją pracę. „Jeśli będziemy ją [filozofię] ujmować jedynie patetycznie, tak jak odnosimy się do religii, jesteśmy zgubieni, ponieważ tracimy »wolność ducha«, akrobatyczną odwagę i radość, bez których nie można poświęcić się tworzeniu teorii. Sądzę więc, że odpowiednim dla filozofowania tonem nie jest przytłaczająca powaga życia, lecz jowialny entuzjazm sportu lub zabawy"[27] . Ta przenikająca frazy naszego eseju dygresja, jeśli ją rozpostrzeć jak papirusowy zwój, łączy w całość ludzkie myślenie i mówienie. Nie ma nauk hermetycznych. Wszędzie wnika ciekawość człowieka, który, owszem, grywa tylko na poważnie w brydża lub szachy, lecz także lekko i ze swobodą w warcaby. Żeby dotknąć filozoficznego problematu, żeby obrócić go z każdej strony i ocenić, nie należy odwoływać się do boskiej istoty tego świata, ponieważ każdą religię ogranicza dogmat, zamykając z czołobitnością w szkatule liturgicznych sakraliów całą ideę poszukiwań. Religijna kryza może uwierać, a nawet pozbawić swobodne rozważania światłości oddechu. Stąd te „warcaby" Gasseta, które łączą waleczność i satysfakcjonujący uśmiech. Patos niszczy swobodę; nie daje wyboru. Początek języka pozbawiony był pychy i patosu, albowiem szukał swobody i wolności przeglądania się w lustrze wody istnienia.

Moc słowa zadziwiła pierwszych użytkowników języka. Chcieli wykrzyczeć światu opowieść o sobie. Szukali odbicia ego w gwiazdach, drzewach, górach i rzekach. Wszędzie tam byli, wszędzie tam zostawiała ślad ich stopa, wszędzie tam odciskała swe piętno ich dłoń. Symbioza z kosmosem otwierała przed nimi o wiele dalsze podróże. Zachłysnęli się tym utożsamieniem wnętrza z zewnętrzem, ego z Innym. Tak Wergiliusz przedstawia potęgę słowa:

*Carmina vel coelo possunt deducere Lunam;*
*Carminibus Circe socios mutavit Ulixi;*
*Frigidus in pratis cantando rumpitur anguis*[28].

Wergiliusz dostrzegł siłę mowy ludzkiej, a zwłaszcza tych jej słowospadów, które potrafią dokonywać cudów. Rzymski poeta zaznacza, że język nie kłania się nikomu. Śmiało defiluje po teatralnych kuluarach, spluwa bezceremonialnie na ulicę, warzy piwo w browarze, dokonuje napadów i gwałtów, wykłada na uniwersytetach, operuje w klinikach, celebruje msze. Nie jest ofiarą, nie ulega żadnemu przymusowi, sprzyja każdemu, kto nie chce go nadużywać. Jest idealnie obojętny wobec przestrzeni. Czas przykrawa go adekwatnie do myśli. Dłużej, krócej, przeciągle, głośno lub z pomrukiem. Lecz niech nikt nie próbuje na nim wywrzeć presji! Staje się wówczas szorstki, ciężki i niezgrabny, jakby opadał z sił, choć może pozornie ulegać indoktrynacyjnym sugestiom. Wergiliusz szarpie tylko jedną strunę języka, tę poetycką, której drgnienia mówią o duszy, o cierpieniach i szczęściu wnętrza w zewnętrznym odbiciu. Dużo wcześniej tę samą strunę szarpnął homo sapiens u zarania swej drogi. Poezja wydaje się zatem atawistycznym promieniem, który prześwietla czas hosanną radosnych uniesień. Homo sapiens zawarł w owym hipotetycznym „jestem!" również ten brzęk struny. Zupełnie inaczej odczytuje ten fragment bukoliki Cassirer: „Kiedy człowiek zaczął sobie zdawać sprawę, że ta ufność jest daremna, że przyroda jest nieprzebłagana nie dlatego, że nie rozumie jego języka – odkrycie to musiało być dla niego wstrząsem"[29]. Dążeniem człowieka był akces w świecie. To my i świat, to my-świat, zdawał się mówić owym „jestem" nasz mówiący protoplasta, odsuwając Inne w świadomej afirmacji życia. To język wskrzesił jego świadomość istnienia. To język pozwolił mu dostrzec i przekroczyć ową granicę, o której powiada Cassirer. Przepastna głębia między ego a Innym została zatarta przez postrzeżenie dwoistości świata, podmiotowo-przedmiotowego istnienia. Przeto odkrycie przepaści na zewnątrz ego nie musiało być wstrząsem. Świadome starcie ze światem a jednocześnie świadoma łączność z tym, co na zewnątrz, dla człowieka, który oswobodził z niewoli duszę, krzesząca dotąd tylko iskry instynktu, były raczej oznaką panowania nad sobą i nad światem. Z pewną rezerwą, oczywista, człowiek tę władzę pojmował. Lew nadal był zwierzęciem groźnym. Konsekwencje tej postawy widoczne są do dzisiaj. Tylko człowiek bywa dobroduszny lub bezczelny, uprzejmy lub nienawistny, poczciwy lub cyniczny. Dlatego na podobieństwo swych przywar i zalet ocenia Inność.

Rozpoczynając dyskusję o wnętrzu protojęzyka, na początek zacytuję znów Cassirera: „Mowa nie jest przedmiotem, rzeczą fizyczną, dla której wyjaśnienia możemy szukać przyczyny naturalnej czy nadprzyrodzonej. Jest to proces, funkcja ogólna umysłu ludzkiego"[30]. Nie odkrycie zatem, lecz wynalazek. Słowo „proces" nie uwzględnia jednak początku, bierze pod uwagę pełnię rozkwitu języka, jakby zapominając o tym, że kształt, kierunki, owa wertykalna i horyzontalna konstrukcja wnętrza języka proponowana przez Foucaulta, oraz głębia symbolu i metafory powstały u zarania rozwoju ludzkiej mowy. Dlatego „na język trzeba patrzeć raczej jak na *energeia* niż jak na *ergon*"[31], a nie z powodu tego, iż jest to proces. To ona rozświetliła mrok jaskini ową genialnym płomieniem, który od tlenia się przeszedł do połykającego wszystko ognia. Mam nadzieję, że energeia w umyśle Cassirera nie oznacza płynącej wody języka, ale sam nurt, nurt ograniczony do własnej autoidei, przenikający na wylot człowieka i jego postrzeganie świata. *Energeia* to środowisko i narzędzie, przyczyna i cel. Na jej drodze jest przeszłość i przyszłość, krainy wypełnione językiem. A teraźniejszość? Nie można odmówić trafności uwagi, że wypowiedź artykułowana jest teraz. Wszystko było albo będzie. Resztę rozstrzyga język. „Teraz" też jest jego wymysłem. Teraźniejszość, chwila obecna wypełniona brzękiem mowy, wciąż odpływa w stronę przeszłości, odbijając się echem responsu w toczącej się rozmowie.

Niewątpliwie instynkt w czasach swej prosperity sypał iskrami ego. Człowiek widział te iskry i może próbował je niekiedy wyłapać, nim dosięgną suchych rżysk Innego. Nie panował jednak nad nimi. Nie mówił, ale próbował łagodzić mordercze spory wewnątrz plemienia. Jak? Demonstrując swoją klatkę piersiową i bicepsy, budząc respekt, lub okazując spokój i koncyliacyjną postawę. Na zewnątrz obozowiska nie potrafił więcej, raczej mniej. Przypominam, że twórca języka, tylekroć zwany przeze mnie geniuszem, intelektualnie odpowiadał wybitnemu profesorowi uniwersytetu. A jego wynalazek przewyższał miarą większość dzieł największych uczonych w dziejach; język jest przecież podstawą sądzenia o tym, co lepsze lub gorsze. Foucault twierdzi, że można „przyjąć, że najbardziej spontaniczny porządek (wyobrażeń i namiętności) musiał poprzedzać porządek najbardziej refleksyjny (logiki) – tak oto zewnętrzne datowanie zostaje podporządkowane wewnętrznym formom analizy i ładu. Czas znalazł się wewnątrz języka"[32]. Z ostatnim zdaniem nie wypada się nie zgodzić jako z faktem osłabiającym poznanie. W pewnym obrazowym uproszczeniu stwierdzić można, że chronologia zawładnęła i logiką, i namiętnościami. Zdarzenia układamy nie w kolejności następstw logicznych czy afektywnych, lecz według upływu czasu; co gorsza podobnie wnioskujemy. Jednakże sekwencja spektakularnych wydarzeń ludzkości, podejmującej największe wyzwanie w dziejach, nie powinna być oceniana jedynie lekceważącym zdaniem o spontaniczności jakiegokolwiek porządku. To uwłacza i człowiekowi, i dziejom, i Bogu, jeśli wszystko z jego poduszczenia się dzieje. Wszak język odmienił świat i człowieka. W sposób naturalny po implozji milczenia nastąpił wybuch mowy. Nie rozpełzł się on jednak w zaułkach kosmosu, lecz powrócił do mówiącego dwiema drogami, poprzez słuchanie i poprzez refleksję; i dotąd powraca.

Język nie znosi próżni. „Wyobrażenia i namiętności" osiadły w logicznej strukturze świata nie stopniowo, lecz natychmiast. Innej mowy, niż sensownej nie było. Chyba że Foucault odnosi problem do świadomości człowieka, który nie od razu rozpoznał refleksyjno-poznawcze walory mowy mimo ich ciągłego stosowania. To świadomościowe przebudzenie nastąpiło dopiero po kilkudziesięciu tysięcy lat w małoazjatyckim Milecie. Ówczesne języki przeżyły już karuzelę wieży Babel. „Natomiast sama historia języków jest już tylko erozją bądź przypadkiem, wprowadzeniem, zbiegiem okoliczności i mieszaniną różnorakich elementów; nie ma właściwych sobie praw, procesów i konieczności"[33]. To wnioskowanie ex post, kiedy wiadomo, że powrót do protojęzyka jest niemożliwy. Przeto tylko marzycielowi śnić się może dyskusja w języku pierwszych mówców. Autor „Słów i rzeczy" też jest marzycielem, lecz skrywa swój sen.

***Andrzej Katzenmark***

---

*[1]Karl Jaspers, Filozofia egzystencji, PIW, Warszawa 1990, s. 208.*
*[2]Hans-Georg Gadamer, Prawda i metoda, PWN,Warszawa 2013, s. 545.*
*[3]Michel Foucault, Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych, Wyd. Słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2006, s. 85.*
*[4]Ludwig Wittgenstein, Tractatus logico-philosophicus, PWN, Warszawa 1997, s. 20.*
*[5]Michel Foucault, op. cit., s. 81.*
*[6]Ibidem, s. 84/85.*
*[7]Henryk Elzenberg, op. cit., s. 401.*
*[8]Ernst Cassirer, Esej o człowieku, Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998, s. 275/276.*
*[9]Ibidem, s. 277.*
*[10]Arthur Schopenhauer, Świat jako wola i przedstawienie, PWN, Warszawa 2012, s. 85.*
*[11]Ibidem, s. 86.*
*[12]Emmanuel Lévinas, Całość i nieskończoność, PWN, Warszawa 2012, s. 71.*
*[13]Ibidem, s. 72.*
*[14]Ibidem, s. 72.*
*[15]Ibidem, s. 72. Ibidem, s. 72.*
*[16]Hans-Georg Gadamer, op. cit., s.542/543.*
*[17]Willard V. Quine, Granice wiedzy i inne eseje, PIW, Warszawa 1986, s. 28.*
*[18]Ibidem, s. 28.*
*[19]Emmanuel Levinas, op. cit., s. 72.*
*[20]Hans-Georg Gadamer, op. cit., s. 543.*
*[21]Karl Jaspers, op. cit., s. 226.*
*[22]Ernst Cassirer, op. cit., s. 196.*
*[23]Krystyna Tuszyńska-Maciejewska, Wstęp do: Platon, Kratylos, Zakład Narodowy Ossolińskich, Wrocław 1990.*
*[24]Emmanuel Levinas, op. cit., s. 237/238.*
*[25]Arthur Schopenhauer, op. cit., s. 81/82.*
*[26]Henryk Elzenberg, op. cit., s. 205.*
*[27]José Ortega y Gasset, Ewolucja teorii dedukcyjnej, Wyd. Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2004, s. 284.*
*[28]Publius Vergilius Maro, Bucolica, London 1810, s. 90.*
*[29]Ernst Cassirer, op. cit., s. 193.*
*[30]Ibidem, s. 89.*
*[31]Ibidem, s. 208.*
*[32]Michel Foucault, op. cit., s. 92.*
*[33]Ibidem, s. 92.*

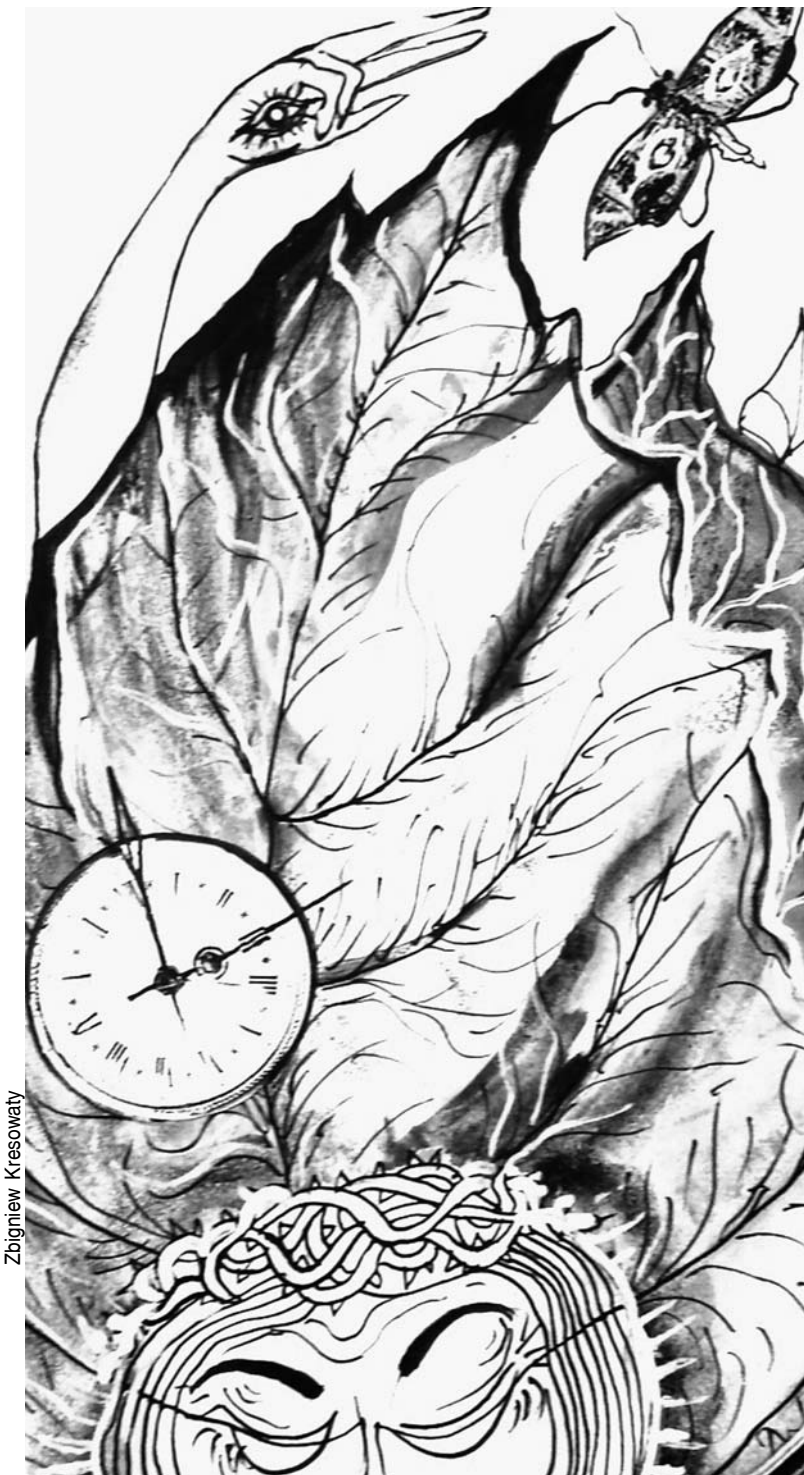

Zbigniew Kresowaty

# DO CIERPIĄCYCH

## Przesłanie Stanisławy Kopiec, chłopskiej poetki z Lubeni*

Stanisława Kopiec

### Współczucie

Moje kobiece współczucie
niezrozumiałe
nawet dla mnie samej.
Podzielone między obie matki:
Matkę Jezusa
opłakującą
cierniową koronę Syna.

I matkę Judasza
opłakującą sznur.

*(z tomiku Osty i róże)*

### Robaczywy owoc

*Zdrowaś Mario…*
Czyś jeszcze zdrowa?
Ja już jestem
do niczego.
Bolą stawy
i słabiutkie serce.

*Łaskiś pełna…*
Ja też na łasce,
ale łaska łasce
nierówna.

*Pan z Tobą…*
A ja bez syna.
Oddał mnie
do domu starców.

Robaczywy owoc
mojego żywota.

*(z tomiku Osty i róże)*

### Koci ogon

Miłość nieźle wyraża się kredkami,
więc sobie stoimy na kolorowym
obrazku:
mąż i ja, Ania i Małgosia,
Zbyszek, Sławek i Robert.
- Robert umarł – objaśnia
Małgosia – ale jest z nami.
Rzeczywiście.
Czeka na niego kawałek czekolady,
parę cukierków, mandarynka.
- Mamo, czy mandarynka nie zgnije,
zanim pójdę do nieba?

Miłość nie umiera, więc zawsze
stać będziemy na kolorowym
obrazku,
a córeczka dorysowuje
jeszcze dwie dodatkowe figury.
Widząc moje zdziwienie objaśnia:
- Tu z nami jest jeszcze kot
i Pan Bóg.

Zamyśliłam się.
Zapatrzyłam w szczęśliwe oczy
Roberta, potem w czerwone
oczy Pana Boga,
a w końcu w koci ogon.
Już niczemu się nie dziwię.

*(z tomiku Seans serdeczny)*

### Medytacja

Niedziela.
Mucha czyta Biblię.
Potem medytuje
na parapecie.

Kropla rosy
spływa
po szybie.

Ścieżka,
którą wydeptała,
jest nazbyt
prosta,
by zaprowadzić do nieba.

*(z tomiku Nie bój się, różo)*

### Piórko

Tak już zostanie.
Zrozpaczona matka
i syn
zaplątany w sieć
gwiazd.

Ratunku!
Pomocy!
I nic.
Czasem piórko anielskie
na wiersz.

*(z tomiku Ptasi mszał)*

### Przy kawie

Do księdza Jana

Mówiłeś, że mamy się śpieszyć.
Nekrolog zatrzymał mnie dzisiaj.
Twój wiersz, by choć trochę pocieszyć,
przysłała mi kiedyś Marysia.
Niech Pan Bóg przy kawie Ci powie,
jak bardzo mi wtedy ulżyło.
On sprawił, że w każdym twym słowie
jest Wiara i Mądrość, i Miłość.
I śmierć trzeba przyjąć pokornie,
gdy w życiu się sprawy tak mają.
Prorocy odchodzą pozornie,
bo Pisma po nich zostają.

*(z tomiku Ptasi mszał)*

### Przeprosiny

„…gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi…”
*(C.K. Norwid)*

Kim jest ten dziadyga
w poszarpanym ubraniu,
w dziurawych butach,
nieogolony, brudny?

Staje przed kontenerem.
W imieniu nas wszystkich
przeprasza chleb.

*(z tomiku Ptasi mszał)*

**Stanisława Kopiec** urodziła się 27 marca 1953 roku w Lubeni, pięknej wsi podrzeszowskiej, zmarła tamże 2 marca 2012 roku. Swoje zbyt krótkie, bo niespełna pięćdziesięciodziewięcioletnie, życie poświęciła Rodzinie i … Poezji. A że Rodzina była liczna, siedmioosobowa, gospodarstwo zaś ubogie, Stasia niemało musiała się natrudzić, żeby podołać obowiązkom gospodyni, matki, żony, no i … poetki. Bo poetką była z Bożej łaski, z Boskiego niejako nadania i ten szczególny nadobowiązek był dla niej źródłem i radości, i satysfakcji, i dumy, a bywało, że i pieniędzy (np. z prestiżowej ogólnopolskiej nagrody literackiej im. Stanisława Piętaka). Pracując ciężko w chałupie, w obejściu, a po wypadku męża także w polu, borykając się z biedą, z wiecznym brakami w gospodarstwie, pisała, pisała, pisała… Wszystko wokół było inspiracją, a nad wszystkim zawsze czuwał Bóg – powiernik, przyjaciel. Dzieci urodziła pięcioro, tomików poetyckich wydała siedem (Niebieska wieś 1987, Spod znaku Anny 1989, Osty i róże 1992, Znak wzruszenia 1997, Seans serdeczny 1998, Nie bój się, różo 2002, Ptasi mszał 2010; prócz tego jeden wybór Wielki Wóz 1997, a także kilka książeczek dla dzieci). Tragiczna śmierć najstarszego syna, 23-letniego Roberta, złamała ją, powaliła. Nieszczęśliwa matka wypłakała i wykrzyczała swój ból w trenach (Seans serdeczny), ale nie zamknęła swojego serca ani dla Boga, ani dla Jego cierpiących stworzeń. Do końca pulsowało współczuciem.

***Maria Jentys-Borelowska***

**Teksty cytowane wg: Stanisława Kopiec: Niebieski gościniec. Wiersze wybrane. Wybór, opracowanie i posłowie Maria Jentys-Borelowska, słowo wstępne Józef Baran. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 2013. Pełne wydanie dorobku „lubeńskiej wieszczki” – jak ją nazywają mieszkańcy wsi – ukazało się w roku 2017 nakładem Gminnej Biblioteki Publicznej w Lubeni pt. Puste miejsce dla anioła.*

Zbigniew Kresowaty

# PSYCHOMITOPOETYKA

**(rozmowa artystyczna z poetką, filozofką, eseistką oraz prozaikiemi wytrawnym krytykiem Sztuki, Urszulą Małgorzatą Benką)**

ROZMOWA

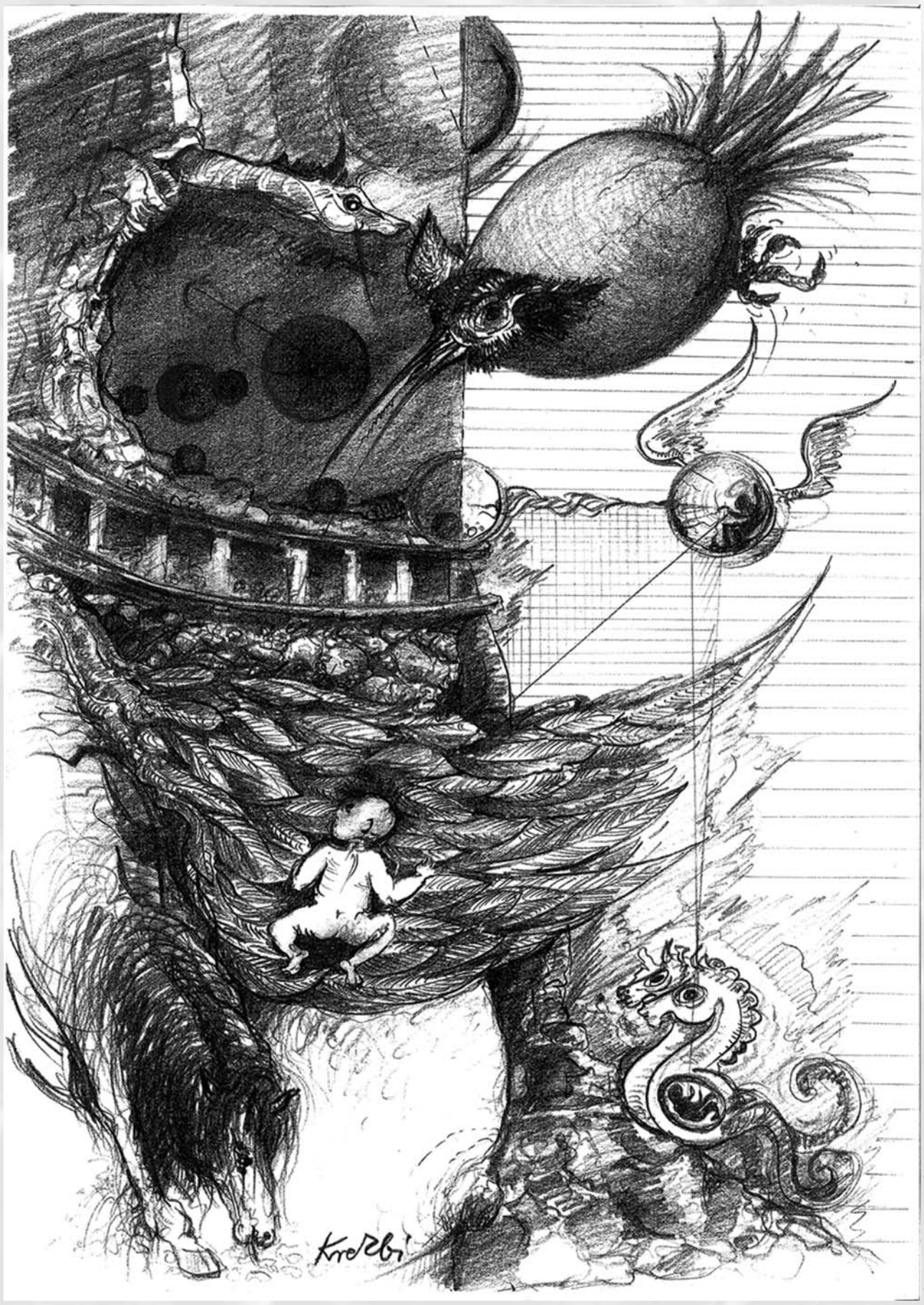

Zbigniew Kresowaty

**Zbigniew Kresowaty** – Ukończyłaś filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Studiowałaś także psychologię. W 1993 uzyskałaś tytuł doktora za pracę Charyzma władania, święty mord. Analiza symboliki i semantyki mitycznej w twórczości Henryka Sienkiewicza. Natomiast debiutowałaś jako prozaik w 1975 pod pseudonimem Krasińska na łamach czasopisma studenckiego Politechniki Sigma. W drugiej połowie lat 70. związana byłaś z formacją poetycką Nowa Prywatność. A w latach 1983-1987 przebywałaś we Francji na stypendium. W tym czasie publikowałaś m.in. w paryskich Zeszytach Literackich. W 1986 pojęłaś za męża wybitnego artystę malarza Andrzeja Urbanowicza i w 1987 wyjechałaś do USA. Na waszym weselu był Sławomir Mrożek, oglądałem fotografie. Później, o ile wiem w latach 90 wróciłaś do Polski (z córką i mężem). Poza tym byłaś stypendystką Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Karl Dedecius zamieścił twoje utwory w najważniejszej w Niemczech antologii Panorama poezji polskiej. Twórczość twoja była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, a nawet rosyjski. W utworach przedstawiasz wizje oparte o Psyche. Ponieważ masz tak pojemne i treściwe zaplecze, chcę cię pytać o zawartość tej psychologii w poezji opartej o mity a nawet o proroctwa zawarte w Piśmie Świętym. Powiedz, jak powstała książka Psychomitopolityka – która zaskoczyła.

**Urszula Małgorzata Benka** – „Sigmę" redagował Ernest Dyczek, pismo miało poziom i mir w środowisku. Ale poruszasz wiele spraw. Byłam związana nie tyle z Nową Prywatnością, co z kilkoma ludźmi. Nigdy nie czułam chęci łączyć się twórczo z jakimś programem, bo natychmiast w innych, alternatywnych, też znajdowałam ważne, fascynujące sprawy oraz ludzi.

Psychomitopolityka to zbiór esejów pisanych na przestrzeni 10 lat, kiedy weszłam trochę głębiej w historię XX w. oraz mit. To, co się działo w Polsce, decyzje flagowych postaci przed i po 1989, było jak wyjęte z mitu.

**Z.K.** Postrzegasz świat jakby przez zagadnienie starożytnego mitu, który zawiera duże ładunki filozofii, a ta koresponduje artystycznie i doświadcza osobowo, konfrontuje wciąż z otoczeniem świata współczesnego coraz bardziej skomplikowanego. Czy tak?

**UMB** – Mit nie zawiera konkretnych doktryn. Mit jest samym myśleniem. A świat dzisiaj nie jest chyba bardziej złożony niż w starożytności. O starożytnym świecie zazwyczaj wiemy piąte przez dziesiąte, w wielkim uogólnieniu, a jeszcze dodajemy od siebie sporo białych plam, to znaczy uniemożliwiamy sobie ujrzeć dawnych epok takimi, jakimi były naprawdę. Wzmacnia to powieść historyczna, film. Więc na miejsce rzeczywistych złożoności widzimy jakieś prościutkie obrazki.

**Z.K.** Jeśli pozwolisz zacytuję twój wiersz o mitycznej Studni, zdaje się z 1992 roku napisany w Katowicach:

## Studnia z demonem

Demon naszego ślubu zamieszkał
w blaszanym wiadrze u studni na skraju lasu
i odtąd idziemy tam
osobno
noc w noc:
ja spuszczam wiadro, ty ciągniesz sznur,
a gdy pijemy, nasze ręce z każdym haustem
oddalają się
i żaden głos
nie zmąci klarownego plusku,
gdy demon naszego ślubu
siada na powierzchni wody
obnażając się w miarę, jak widać dno
i podaje nam po wielkim parasolu:
pod twoim jest nasz dzień,
pod moim nasza noc,
więc ty bez nocy, a ja bez dnia
wracamy nic nie widząc przez płótno parasoli
i najpierw krążymy przy studni, gdzie on
tymi dłońmi,
którymi my nie umiemy dotknąć,
głośno wali w blaszane wiadro.

A potem, ogłuchli pod parasolami,
uśmiechamy się sennie i biegniemy do domu,
jakbyśmy siebie nie znali,
aby poznawać się wreszcie przemocą.

**UMB** - Oj, napisany ładną dekadę wcześniej, w Grudziądzu! - Acha, co się tyczy Sławomira Mrożka – tak! był świadkiem na naszym ślubie, w Paryżu.

**Z.K**. Każdy z twórców ma lub nawet powinien mieć swój oryginalny światopogląd. Ty masz już bardzo ukształtowany. Zakończyłaś poszukiwania siebie? Chociaż, wiadomo, szukamy wciąż siebie, ale, o ile się orientuję, poprzez twoją twórczość i to, że się znamy od lat, twoje widzenia świata jest dużo szersze, często oparte podskórnie o filozofie mityczne i podejście psychodeliczne , zwłaszcza jeżeli idzie o stosunek kobieta – mężczyzna, lub słowo miłość – u ciebie to wielka, czasem szalona gra...

**UMB** – Gra? Może stany. Jak w baśni, Zbyszku. Rąbie taki Ali Baba drwa, a tu pewnego dnia zwykła góra słyszy cię, dostrzegasz furtkę, wchodzisz w zdumieniu, a tam Sezam...

**Z.K.** Ponieważ znasz zagadnienia mitologiczne, to występowało także w twej pracy doktorskiej, w swojej poezji – dlatego ją lubię. Nie sposób nie zadać pytania, czym właściwie jest mit, dlaczego powstał? Czy była jakaś wcześniej próżnia „wiary", pytania, skąd pochodzę, co tu robię? - i dlatego urodziły się – czy powstały? Bo zbyt długo istniała próżnia bez odpowiedzi ?

**UMB** – Mit to nasze myślenie pełnią, łączy rozum, emocje, sprzeczności. Racjonalne i nieracjonalne, dopuszczalne i zakazane.

**Z.K.** Mit musi charakteryzować jakaś historia, gdzieś w niej trzeba było okazać pojęcie siebie – wizję?

**UMB** – W micie nie ma żadnego „trzeba", bo nie mamy tu wpływu. Dzieje mitu to dzieje psychiki. Dopuszczamy sprzeczności albo je rugujemy, w praktyce tylko tłumimy... Mit to myślenie, jakie uwzględnia także to, co jest naszym oporem wobec szanowanej normy, co po prostu nie mieści się w normie. Kiedy odgrywano mity w misteriach

cd. str 10

cd. ze str 9

ROZMOWA

a potem w teatrze, ktoś się wcielał w zbrodniarzy, widz się identyfikował z Antygoną, Edypem, Medeą. Inaczej mówiąc: wszem i wobec powiadamiał, że, owszem, są w nas i takie inklinacje. Tłumienie zabija kulturę, mit kaleki wypacza nas tylko. Nie możemy myśleć. Nie jesteśmy w stanie być. Ale ta drożność, dopuszczenie sprzeczności pozwala mitowi czyli myśleniu na różne przemiany.

**Z.K.** Czy poezję dziś możemy zaliczyć, w dużej części, do filozofii, chociaż mówi zawsze o współczesności? Czy jako poetka używasz mitu, żeby dopowiedzieć swoje symbole albo zmusić do myślenia a nawet sięgania do lektur, czy po to żeby wysnuć metaforę w oparciu o mit najbliższy prawdy naszego czasu?

**UMB** – Tak, poezja jest filozofią. Taką na jaką nas stać. Jest uprawianiem miłości z mądrością, to słowo właśnie to znaczy: miłość mądrości. A nie bycie mądrym, ha ha! Niczego nie sugeruję moim odbiorcom. Chcą, ciekawi ich, mogą sobie coś sprawdzić, kilku po prostu inspirowało się i pisało własne wiersze, niekiedy świetne. A do konkretnych mitów odwołuję się tylko w esejach. W wierszach to się zupełnie wymyka.

**Z.K.** Przy budowaniu wierszy zestawiasz celowo części mitologii powiększając wiedzę filozoficzną dla siebie? Choćby budując sobie światopogląd? Możesz to jakoś uporządkować?

**UMB**. Ze światopoglądem niczego nie jestem pewna. Ani czy powinno się go mieć, ani czy teraz jakiś mam. Po prostu zmienia się świat, zmienia jego obraz, w pewnych warunkach, sytuacjach ten obraz tak się uzupełnia, nawarstwia, że całość bywa nie do poznaki, albo kiedy skupiam sie na jakimś obszarze tego obrazu i wtedy on ożywa – i wymyka się. Jak żywa istota: po swojemu. Ty nawiązujesz do wierszy. U mnie są intuicyjne. Dam ci inny przykład: myślałam, że mam mniej więcej jasny obraz czasów przedstawionych w Nowym Testamencie, kiedy zabierałam się za powieść o Magdalenie. Ale chciałam napisać powieść żywą jak film; kultury, idee są zależne od swoich macierzystych krain. Próbowałam więc zrozumieć Galileę. Mieszkałam we Francji – czy można Francję zrozumieć bez spróbowania jej kuchni, erotyki, ciepłoty jej wód, albo Nowy Jork bez popróbowania tamtejszej paskudnej kawy? Jej smak wyjaśnia to, że nie tam zrodziło się kawiarniane życie, a na pewno nie kafejki na otwartym powietrzu pod markizami, i to, że w żadnej takiej nie wykwitły ogródkowe kabarety, natomiast zrodził się fenomen fast food., wiesz, hamburger, keczep, musztarda, płacić i nastepny! Tak więc, czy względnie bezpieczne głoszenie nauk Jezusa w wielojęzycznej, zhellenizowanej Galilei, gdzie osiedli jego dziadkowie, swoiści emigranci z południa, ma związek z tą różnicą, jaka dzieli klimat psychiczny Ewangelii od Starego Testamentu? Galileę południe lekceważyło, żartobliwie zbywano, że pochwalić się może tylko wyśmienitą kuchnią. Czy wyśmienitą kuchnię można robić bez uśmiechu? Zatem uśmiechnięta kultura. Czy więc aby mitologie galilejskie i judejskie (z bliska okazuje się, że tu i tam było ich wiele) były do siebie podobne? Ty pytasz cały czas o mit. Myśleć można tylko mitem. Powstał, ponieważ myślimy. Można natomiast odrzucać jakieś niechciane mityzacje, upowszechniać jakieś pożądane. Pożądanie mityzacji oddaje niezgodę na mit, ale go nie usuwa, a tylko odbiera mu klarowność.

**Z. K.** Mircea Eliade, wybitny rumuński historyk religii, filozof kultury, mówi tak: „Nie musimy znać mitologii, aby przeżywać wielkie motywy mitologiczne. Ale mit jest". Przecież pojmowany jako fikcyjne przedstawienie, jako „prawda" z dawnej świadomości. Kiedy patrzę czasem do Nowego Testamentu, który zapisywano po 60 latach od kluczowych wydarzeń, gdzie dany „fakt" przeszedł już swoje katharsis, nachodzą mnie skojarzenia z filozofią starożytnych, gdzie takie „prawdy" powstawały dużo wcześniej. Chrystusa zalicza Leszek Kołakowski do grona filozofów starożytnych „nowej ery" Poza tym dowiadujemy się z jego zestawienia, że najbardziej dwaj lub trzej z wielu: Platon, Sokrates, Jezus z Nazaretu, są najważniejszymi ze znanych w poszczególnych prawdach. To Sokrates, wierny naturze, uznał, że należy dociekać głównie tego, co jest niezmienne. Chrystus dociekał prawdy o dobru , choć to słowo względne. Poniesiono je do innej części świata, do Rzymu, co później wywołało różne reperkusje, choćby wiekowe prześladowania chrześcijan, aż do czasu cesarza Konstantyna.

**UMB**. – Prześladowano sporadycznie. To zupełnie osobna sprawa. Natomiast o Sokratesie i o Jezusie mamy wiedzę tylko od ich akolitów: uczniów, słuchaczy, znajomych. Co wcale zresztą nie oznacza, że należeliby do miłych znajomych. Zauważ, Zbyszku, obaj świadomie nie podjęli się zapisania swoich nauk, nawet fakt głoszenia „nauk" jest w gruncie rzeczy tylko świadectwem. Oczywiście, cenimy Platona i ewangelistów, nie mam zamiaru dyskutować tu z ich świadectwem, ale zwróć uwagę, że Nowy Testament pomija większość z owych Dwunastu aż 2/3. Mamy listy Judy, Jana, Jakuba i Piotra; Jakuba i Judy po jednym, Piotra 2 i Jana 3. Razem 7 listów. Ważna jest ta proporcja. Nowotestamentowe postylla zdominowało 12 listów, prawie dwakroć więcej, człowieka, który nie tylko nie stykał się z Jezusem, ale z wrogością traktował jego wyznawców, a po swoim nawróceniu współpracował raczej po wybojach. Bardziej by mnie ciekawiło, co wywoływało w nim wrogość a potem dlaczego nie stykał się, albo z ogromnymi przerwami i na bardzo krótko, z rodziną i najbliższymi przyjaciółmi Jezusa już jako apostoł, czemu nie byli mu potrzebni no, towarzysko. Paweł nie zamienił się przecież w stoika. I ciekawiłoby mnie, dlaczego Sokrates i Jezus nie zapisywali swoich myśli. Gdzieś mi wpadło, że ponoć Sokrates nie przywiązywał wagi do swoich poglądów. Miał żartować, że szkoda atramentu, atrament był faktycznie wtedy luksusem. Jakoś prawie nie sposób przyjąć, że Jezus też by nie przywiązywał większej wagi do swoich poglądów, słów. Ale, z drugiej strony, chyba jednak miał w sobie więcej z Sokratesa niż Platona... Platon był uraźliwy, bardzo pilnował, żeby żadna jego myśl nie została uroniona... Mściwy, posuwał się do chęci zniszczenia dzieł Arystotelesa i Demokryta. No, ale napisano już o tym całą bibliotekę, nie da się wyperswadować mityzacji bez rozwiązania problemu psychiki, który taką mityzację generuje.

**Z.K.** W poemacie Pasja tworzonym kilka lat aż do 2005 roku, przeniosłaś się jako kobieta w tamten czas - czego trzeba było użyć?

**UMB** - Pasja sama powstawała. Przez 20 lat! Może Słowacki dał impuls? Ktoś mi w Paryżu pożyczył Kordiana. Byłam tam z dala od ludzi komentujących mi teksty. Mój przyjaciel Libańczyk nie znał oczywiście polskiego. Przeczytałam mu fragment jednej z tych pierwszych części, po polsku, i był poruszony. Czuł, o co chodzi. Słowacki ma ten magiczny rytm. Ale rytm to jak duch, lata kędy chce i kiedy chce.

**Z.K.** Czy był jakiś trudny moment w twoim życiu?

**UMB** – Wiesz, życie to tylko trudne momenty. Dlatego każdy jest taki bezcenny. Prawda? Idziesz górami. A wspominasz z rozkoszą...

**Z.K.** W Chrystusa uwierzono i uznano za mistrza, który cierpiał męki fizyczne po latach. Tak samo z Sokratesem – skazano go na śmierć za głoszenie prawdy. Pozwolono tylko zażyć truciznę, która odjęła mu cierpienia czysto fizycznego. Zarówno Jeden i Drugi wzbudzał po latach podziw, dziś czasem budzi sprzeczności. Kwestie ich filozofii pozostają otwarte i budzą wiele dalszych pytań o ból, który przecież tworzy „nowe życie", co ma czasem w sztuce, jakby w ostateczności, odzwierciedlenie. Jak to jest?

**UMB** – Nie wiem. Sokratesowi głębiej współczujemy. Może też uczciwiej. U Chrystusa sama ta odczłowieczająca zmiana imienia ze zwykłego Jezusa na aż Chrystusa... Za każdym szczegółem zadawanej mu męki tyle proroctw stoi, że właściwie nic nie może być złagodzone. Gdybyśmy weszli do celi Sokratesa, moglibyśmy z nim pożartować, przytulić go, pobyć jak z drogim sobie skazańcem. A tu? Czy wolno zakładać Jego boski dystans? Pamiętać czy nie pamiętać w Wielki Piątek o rychłym Zmartwychwstaniu? Z Sokratesem jakoś odruchowo chciałoby się rozmawiać o pięknych chwilach na wolności. To Listy i nauczanie św. Pawła ześrodkowały 33 lata życia Jezusa na niecałych ostatnich trzech dobach. Uczyniły to życie ponurym jak Golgota. Nie sposób nosić na piersi czy wieszać w mieszkaniu figurki umierającego Sokratesa dlatego, że miał trudne ostatnie chwile. Ale potrafimy sobie uzmysłowić jego stan. Gdybyśmy po ludzku współczuli Chrystusowi, to pod żadnym pozorem nie stosowalibyśmy tortur, przecież nigdy nie wie się na pewno, kim jest ktoś wystawiony na publiczną hańbę.

**Z.K.** Czy mit wciąż będzie przewodził?, czy to tylko historie epickie, tak jak wspomnienie?

**UMB** – Ależ mit nie jest wspomnieniem. Będzie przewodził i robi to. Pytanie, w jakim kierunku pcha nas nasze myślenie. Fabuły mitologiczne to rzecz wtórna. Dobór wydarzeń, do jakich się odwołujemy, ich opracowania w określone fabuły. Piszę od dwóch lat eseje o micie polskim. Mam pewność, że każde odstępstwo od takiego nominalnego wydarzenia-matki ma wielkie znaczenie właśnie mitogenne. Ono gra trochę jak w recytacji zawieszanie głosu, modulacja głosu, tempo. Można ponurą elegię o Ludwiku Waryńskim przerywać refrenem z wesołą melodyjką i natychmiast zmienia się sens całości. Albo jak u nas w szkole, znienawidzonemu partyjnemu dyrektorowi, bało się go całe grono pedagogiczne, nauczyciele po paru miesiącach odchodzili albo się płaszczyli, chóralnie zaśpiewać z podniesioną głową „Ze strachu niechaj tyran drży"!

**Z.K.** A wspomnienia są jak słodki pokarm: bawią, tumanią, często przestraszają i prowokują... Pamietasz to:

## Uniesienie

W ramionach mężczyzny tracę rozum. Ta podwójna nagość jest jak grudniowa noc. Urodziłam się w grudniową noc obrzędu śmierci. Gdzieś nad wodami zarazem wschodziła czystość bestii srebrną świętą Luną.
To z krain wzroku bestii spłynęły ramiona mężczyzny,
a jego wola
od tamtych źródeł lśniła zimnymi jeziorami wśród bagien
Tam właśnie iść... I niech zamarzną ślady
szkląc się twardą purpurą mrozu,
niech księżyc drży odbijany w przezroczystych rafach
mego ciała, lodowej góry.
Wzrok bestii jak kolia
drogocenna — rozmieszcza błyski szczęścia
w tańcu bez słów, a gdzie dotknęła stopa,
szrony iskrzą szaleństwem i w zgłodniałych błotach
coś się pręży. Przenika ból:
Pamięć, zrozum, nie zdoła tych chwil zachwytu uchować
wola na bagnach bluźni, ściga cienie imienia,
gdzie księżyc przed nią rysuje w zmarzlinach rozumne bruzdy
i w obojętnym szaleństwie rylec jaskrawo mu pęka
W ramionach mężczyzny po ciemku wyczuwam wrażliwą sierść grudniowej nocy. I rodzę się nieskończenie obca.
A on zaciska powieki. Wie, że nie on. Że to bagno uwiedzioną w nie kocha!

**UMB** – Jasne, że tak! Waldemar Okoń puścił to niedawno gdzieś w internecie jako mroczną poezję. Hm, pierwsze słowa, które oddają mój stan rzeczy. Nie umiem zbliżać się do mężczyzny na spokojnie.

**Z.K.** Hm, Lauri Honko, profesor od religii porównawczej oraz od nauk folklorystycznych wymienia aż dwanaście współczesnych metod badania mitu i używania!

**UMB** - Ja nie badam mitu, a tylko analizuję. Intuicyjnie. Metody jedne znam, inne przypadkiem odkrywam.

**Z.K.** Mówisz, że mit współcześnie jest rozpatrywany jako źródło kategorii poznawczych, lub jako forma ekspresji symbolicznej, projekcja podświadomości, światopogląd i element ułatwiający procesy adaptacyjne, może nawet zbiór reguł zachowań, choć niektóre spośród sposobów pokrywają się ze sobą, zwłaszcza gdy go stosować w literaturze?

**UMB** Myślę, że poznanie mitu pod takim kątem coś daje dopiero przy samopoznawaniu. Inaczej jest tylko jedną z technik manipulacji. Mit to język. A język to nie słowa, tylko komunikaty innego rzędu. Co z tego, ze ktoś biegle włada angielskim, jeśli nudzi, obraża, żenuje. Anglista czy tam amerykanista wcale nie musi być zapraszany do domów w Ameryce.

**Z.K.** Przepraszam, że zataczam kręgi wokół twej „psychomitopolityki" twórczej, ale ciebie znam jako znawcę zagadnień mitu. Dziś nie wszyscy znają nawet główne postaci mitologii, bo przecież zawsze i wciąż „stare" odchodzi, a „nowe" ledwo przyjdzie, już z nowymi nawykami konsumpcyjnymi, i nie chce żyć na śmietniku mitu . Czy nie jest tak, że kiedy niektórzy sięgając po mit - będę prowokujący - ziewają jak na wieść o starej bajce lub na „Starą Baśń", a przecież tylko w bajkach jest prawda!?

**UMB** – Mówimy o dwóch rzeczach. O konkretnych fabułach mitologicznych i o micie. Powtórzę: pewne fabuły tworzą nieprzepuszczalne zawory dla treści nieuznawanych w danej społeczności. Mitygują moralnie o wiele słabiej niż kiedy istnieje wentylacja. Jeśli działa wentyl, ten na początku wspomniany „anty-mit", wiemy wyraźniej, co i dlaczego odrzucamy, i w jakich warunkach albo pod jakimi warunkami. To samo z baśnią. Pisano o tym wiele. Odcinamy baśniom krępujące elementy „nie dla dzieci" zupełnie jak zła macocha obcinała piętę i paluch swoim córkom, żeby wcisnęły stopę w pantofelek Kopciuszka. Z mitem to samo. Lepiej

pogodzić się z niezgrabną stopą i utrzymać z księciem-szwagrem miłe relacje, niż pozostać z okaleczeniem. W Pschomitopolityce chyba, albo później, znalazłam, że tak jak brzydkie siostry zaraz po okaleczeniu stóp zostały na domiar oślepione, tak król Edyp. Przekłuto mu stopy na samym początku, a potem sam się oślepił. Symbolika podpowiada, że naruszenie podstawy i zdolności do dynamiki kończy się naruszeniem percepcji.

Więc takie okaleczone uładnieniem bajeczki to trajdum bajdum i dobrze, że nudzą. Stara baśń pominęła problem wierności i miłości do rodzimej religii, i opisała tylko hipotezę historyczną. Gdyby pokazała pełnię sprawy, to dzisiaj dylemat, czy zostać przy „matcznej" religii, czy szukać nowych podniet, och, jakże racjonalnych politycznie, geopolitycznie, marketingowo, intelektualnie, moglibyśmy odnajdywać w tej wcale dobrze napisanej powieści.

**Z.K.** Ciebie zawsze jak wiem bardzo interesowało to przenoszenie się? Powiadasz: jak w życiu pojawi się w wyobraźni ta jedyna „furta", trzeba szybko przechodzić... Podoba mi się też twoje powiedzenie o „chatce księżyca" : nie należy w niej zostawać zbyt długo.

**UMB** – Tak, jest tylko etapem. Baśniowy bohater otrzymuje w niej poradę, jak dalej iść.

**Z.K.** A czy taką chatką jest... mesjanizm? Czym tak naprawdę jest mesjanizm – żydowski, gdyż jest obecnie w modzie zaciekawienie judaizmem, judaikami?.. Sam się nimi interesuję od lat... Bywam na Kazimierzu krakowskim, wstępuję tu i ówdzie. Ostatnio kupiłem „pięknego" Żyda z drewna. Stroi pracownię moją. W mej pracowni krzyżują się trendy sztuki mistyczne i symbole wiary: ikony prawosławne, które też wykonuję - piszę, zbieram żydowskie przedmioty, figurki i rzeźby z opcją mitologii, nawet mam symbol Indonezji: ptaka Garudę, który w oknie odstrasza złe moce. Powiedz jak ustrzec się przed demonem, który gdzieś pewnie się czai - a ja nie wiem. Czy wierzysz w ukrytą moc przedmiotów? – ich pochodzenie... znaki? – Pytam choć nie wierzę w demony.

**UMB** – Mesjanizm żydowski to wiara świecka, a tylko owiana taką sakralną romantyką. Wiara w odrodzenie ważnego państwa. Bardzo naturalna wobec faktu utraty ziemi ojczystej, rozrzucenia po świecie, kiedy to nawet mowa hebrajska zanikała, a życie bywało życiem ludzi drugiej kategorii. W tych warunkach Żydzi ocalili swoją kulturę, bo nie tylko wiarę. Judaizm przestał być religią w znaczeniu ścisłym, to jest wiarą połączoną ze sprawowaniem ofiar w sanktuarium. Po zburzeniu Świątyni nie mieli sanktuarium. Zresztą sama Tora w kilku językach i edycjach była przedmiotem dyskusji, powstał Talmud, trwało to kilka wieków, circa 1000 lat. Wciąż zresztą ortodoksyjni Żydzi myślą o odzyskaniu świątynnego wzgórza i wzniesieniu Trzeciej Świątyni. Mieliby znowu kapłanów; dzisiaj tylko rabbich – nauczycieli. To zupełnie co innego. To jak dla katolika ksiądz i świecki katecheta.

Polski mesasjanizm jest z Mickiewicza. Jest czymś innym, bo sakralizuje Polskę. Nie dąży do żadnego konkretnego celu – a jeśli, to do zajęcia faktycznie miejsca na jakimś krzyżu. To nie jest pragnienie oddawania czci i składania ofiar, ale przyjmowania czci i ofiar. Kto wie? Może twoje impulsywne skojarzenie z demonami jest całkiem całkiem? W rosyjskich baśniach diabeł nosi polski strój. Kiedy oglądałam w paryskiej Operze „Jezioro Łabędzie" w wykonaniu baletu Bolszoj, to te iskry krzesane podczas tańczonego mazura...

**Z.K.** Niesamowite. Janusz Styczeń też uwielbia horrory. Jego surrealistyczna poezja często jest horrorem. stroszeniem czułek, macek i scen – uwielbiam ten dreszczyk „kobietona" - Jak myślisz, na czym stoi Jego surrealizm? Byłaś osobą bliską jego sercu, dla której pisał, kiedyś powiedział mi, że dobrze jest pisać, a nawet trzeba pisać dla KOGOŚ – zapytałem w ty miejscu: czy ta osoba to była Urszula Benka? Tak! odpowiedział, choć pisał też dla Ewy Góral. I od razu: chcę żebyś powiedziała o poetce afirmacji życia – bytu. To poetka , która nie lubiła Janusza, a on jej wprost nie znosił – wiem!, a przecież oboje pochodzili ze wsi, tyle, że Styczeń wyrzekł się w poezji swej wsi, a ona weszła całym swoim romantyzmem i liryką do poezji i balansowała pomiędzy filozofią, Bogiem, a wiejskością – naturą. Co o niej myślisz?

**UMB** – Byłam dla Janusza jak lustro z Królewny Śnieżki. Uwiebiał być podziwiany. A mnie bolał jego „surrealizm", więcej w tym było niechlujstwa, w tych odstępstwach od utartych skojarzeń, niż wglądu w siebie, w sacrum, w cokolwiek. Janusz nie lubił spacerów, muzyki, za nic nie poszedł do filharmonii ani na jazz, ani do teatru, ani w góry, ani popływać. Kupował książki, orientował się, owszem, ale nie wczytywał, chyba że horrory. Odkrył w poetyce surrealizującej świetny unik od myślenia i życia na serio. Bardzo uważnie obserwował wariactwa Rafała Wojaczka, najpierw zwalczał poezję zbyt namiętną Rafała. Nie miał najmniejszej chęci wdawać się z cenzorami, tym bardziej bezpieką, w zwady, dobrze żył za to ze wszystkimi. I zaczął najpierw bezwiednie, a potem świadomie kreować własną legendę kochanka i małżonka Muzy jedynie. Był mizoginiczny do bólu. Może właśnie dlatego przypisuje mu się liryzm? No, i wygodnie jest takie raz uklepane konwencje podtrzymywać, z lenistwa samego. Janusz intelektualnie niewiele się różni się od środowiska. Ludzie myślący raczej się odsuwali. Wtedy on wmawiał sobie, insynuował ich wrogość. Już samo cenienie innych poetów doprowadzało go do pasji, a z kobietami sobie pozwala dalej. Marianna Bocian? Ja w okresie urzeczenia miałam 20 lat i nie wiedziałam, co studiować, i czy w ogóle. A Marianna była rocznik 42, tylko 3 lata od Janusza młodsza - miała dwa fakultety i jak sama w jakimś wierszu, z żądzy bycia poetką wyleczyła się jeszcze, że tak powiem, przed pierwszym swoim wierszem.

**Z.K.** Wiem - napisałaś o Jej osobowości i poezji obszerny esej wspomnieniowy, do szykowanej książki wspomnieniowej na ten rok. Ja tez pisałem. Proszę jeszcze raz o esencję tego o czym powiedziałaś, jako krytyk i osoba, która patrzyła na Nią jakby z oddali... Ja byłem bardzo blisko Niej od roku 1980, bywałem u niej na wsi w Bełcząccu na Podlasiu i często we Wrocławiu w domu.

**UMB** – Mocno mnie wciągnął właśnie ten jej romantyzm, o jakim sam wspominasz. Jej romantyzm, a zatem i punkt odniesienia, czyli romantyzm XIX wieku. Uważam, że zdewastował polską kulturę. Bardziej niż wojny. Złamał tożsamość. Odtąd mamy pozatykane mity, co na razie jak bulimik załatwiamy jakąś paniczną konsumpcją, jak nie zakupów, to hejtów.

**Z.K.** Wybacz, zaryzykuję pytanie o rewolucje twórcze – wiem że muszą one być, inaczej nie byłoby oryginalnych twórców, czy to jest literatura, czy teatr lub rzeźba. Zatem co powiesz o Jerzym Grotowskim jako poecie? – wiesz, że pisał wiersze? – to mnie bardzo interesowało i nosiło. Czym, lub kim, On był w Awangardzie polskiej? – wiem, że o mały włos byłby dobrym – powiadam „dobrym", uznanym poetą, był przecież nową „wielką myślą" – miał z czego brać, nawet ocierałem się czasem o Niego. Ale powtórzę - mało kto wie i wiedział, że pisał poezję i to od dzieciństwa! – Spotykałaem się ostatnio z profesorem Januszem Deglerem – witkacologiem, on stykał się z „Grotem" i wiedział (wcześniej zaufany mu także Flaszen), nawet dawał gdzieś te strofy drukować... Wiadomo, ze Grot nie łaczył poezji ze sceną. Mija obecnie w stycznia 2019 roku 20 lat jak odszedł – myślę umiał oddalić się wpierw, a później z klasą zejść ze sceny i odejść...

**UMB** – Też nie miałam pojęcia, że pisał.

**Z.K.** Wczoraj w 20 rocznicę odejścia Maga (15.01.1999) napisałem esej o tej Jego poezji, która mnie po takim czasie nosi – to tomik, którego nie udało mu się wydać, Pożegnanie barw . Otóż ze 20 lat temu otrzymałem z uniwerku Rzeszowskiego piękny album, gdzie pomieszczono moje wspomnienie o Nim, album poświęcony mistrzowi i reformatorowi teatru, jest w nim broszura z 13 wierszami – ciekawe! – bo to nie tylko obraz czasu, czy kolor, ale inna filozofia pojęciowa: mocne zmiany, w tym w literaturze, są wyborami umyślnymi, wiersze są jakby małymi apokalipsami. A może to raczej tylko rozbudzenie nadziei, nie zawsze dającej się spełnić i to jest dramat twórcy poety – nie wiem, czy taki stworzył, czy zamierzał, czy droczył się z komuchami – z cenzurą? – Myślę, że świadomie robił to, przecież chciał doprowadzić do wydania tomiku poezji w Poznaniu, tyle, że cenzura odrzuciła, ale krytyk wewnętrzny wydawcy stwierdził, że to dobra poezja.

**UMB** - Muszę poznać te wiersze. Obiecujesz?

**Z.K.** OK – dostaniesz te wiersze. Czy artyści powinni jasno w swej poezji lub malarstwie, rzeźbie, mówić o walorach politycznych? Ja tego nie lubię, ale Grotowski ledwo dotyka, umiejętnie wieszczy sedna tamtego czasu – mówi o czasie który nadejdzie na spotkanie władzy... Wtedy to miała być przecież sztuka mocno zaangażowana. Wielu twórców miało na kogo pisać i o czym pisać... To chyba tak trzeba rozumieć i zarazem Jego, jako myśliciela praktyka...

**UMB** – Zależy, co ktoś mówi. O polityce można tak jak o miłości, świętości... Mądrze, niemądrze.

**Z.K.** Twoje zbiory wierszy to: Chronomea, Dziwna rozkosz, Nic, Perwersyjne dziewczynki, Ta mała Tabu, Córka nocy, Kielich Orfeusza. Te tytuły i ta poetyka mi bardzo leży...

**UMB** – Miłe.

**Z.K.** Jesteś bardzo doświadczoną poetką, pisarką i eseistką. Dlatego pytam o innych artystów, bo sztuka przenika się przecież. Czego oczekujesz w sztuce?

**UMB** – Sztuka mi uwalnia sprawy, o jakich nie da się wiedzieć bez niej. Ostatnio bardzo dotyka mnie muzyka. Mogę słuchać jak nienormalna tanga. Chórów rosyjskich i Kazika.

**Z.K.** Pozwól zacytuję tu jeszcze jeden twój wiersz, pt. Penelopa. Możesz odnieś się do niego w dzisiejszej nowej odsłonie?

## Penelopa

Codziennie o świcie wychodziła nad morze
stawała na najdalszym falochronie i czarną
zdjętą z głowy chustką rysowała znaki
powietrzne
niedoścignione
(podobne do okrętów ze zmarszczonymi czołami
i ponurych koni i fałszywych grot
i wieszczb)
ptaki przelatujące nad portem zgarniały piórami to
nawiedzone powietrze:
gdzieś indziej na trasie ich lotu
stawały się eposy i glorie

wracając witała rosnące wkoło czarne skały
i z każdym dniem
stawała się coraz bardziej
nieregularna i uboga

**UMB** – Och, bardzo Penelopę pokochałam. Kiedyś mnie denerwowała, wydawała mi się taka potulna, podporządkowana. Obce było mi to jej wyczekiwanie, prucie utkanej sukni. Aż natrafiłam na wersję tego mitu, gdzie Penelopa oddaje się orgiastycznie wszystkim naraz zalotnikom i rodzi Pana, od którego imienia pochodzi słowo „panika". I od tego momentu Penelopa dla mnie ożyła. W wierszu zacytowanym przez ciebie nie zmieniłabym nic.

**Z.K**. Nie wiem - myślę, że ty jeszcze „czekasz" na Kogoś, na Coś ważnego, na to Coś? – o ile tak – odsłoń się - to na co? – Może przytoczę fragment innego twego wiersza, żeby cię sprowokować, pt. Rosa Księżyca o twoim ego?

## Rosa księżyca

Moja mała dziecięca Ja siedzi w lesie,
na kolanach tuli swoje To,
futro To błyszczy w księżycu
i w bagnie.

To grzeje się na łonie Ja, przebiera pazurkami
rozczulone zielenią i niewinnością,
mruży oczy, opowiada jej wiele
mową ciała.
(...)

**UMB** – Widzisz, tajemnica Penelopy polega na tym, że ona nie czeka, tylko jest. W każdej sekundzie coś cudownego się dzieje, zjawia, rozkwita. Coś bajecznie innego. I to się czuje i widzi.

**Z.K.** – Urszulo! - Bardzo dziękuję za tak treściwą „rozmowę artystyczną" podszytą erotyką, erotyka rządzi nami, naszymi sprawami, nie każdy sobie zdaje sprawę, to spotkanie bardzo nam przybliżyło twoją sylwetkę i pojęciowość twórczą oraz poetyckie „ja"... No i wybacz! Wiele się mówi w środowisku o tobie, jednakże niewiele osób, jak mi się wydaje, zna dobrze twoje poetyckie image... Uważam, że dopóki artysta pozostaje tajemniczy – jest interesujący!

**UMB** – Ostatnimi czasy natrafiam na ludzi ciekawych i tak głęboko, tak jakoś blisko mi rezonują to, co robię, że jestem po prostu wprost oszołomiona. I na domiar sami potrafią zachwycić sobą, swoim pisarstwem, malarstwem, życiem, pasją odważnych oryginalnych wyborów. Ja tobie też dziękuję, coś mi sie wydaje, że zupełnie niezwykła ta rozmowa, i o dziwo nie musieliśmy mówić o polityce.

**Z.K.** Bardzo życzę wydania kolejnych pozycji książkowych. Pozwól, że na koniec, jako kwintesencję tego o czym mówiłaś, zacytuję twój wiersz, który uwielbiam. Znajdziesz go na plakacie poetyckim w tym numerze Migotań.– nie mogłem sie oprzeć

*13 sierpnia 2012 r.*

*Rozmawiał Zbyszek Kresowaty*

Grzegorz Bazylak

## Beksiński ciągle stoi przed sztalugami w Sanoku

Czy dzień czy noc
wpatrzeni jedni w drugich jak języki ognia
w nowe twarze nad starym horyzontem
zbici opluci pomazani i oblani moczem
ciągną bez końca lalki i wilki do lasu wolnego
od gwiazd gdzie pstre kury Godarda rzucają kości aniołów
i wbijają pazury w szczeliny lustra bez dna
wsród gwałtownej symfonii przekleństw sączących się
między wybitymi zębami bardziej dla ich wilgotnej
dźwięczności niż wyzbytego znaczenia

Łaty i szwy rany i blizny sapanie i oddech
zza węgła dyszenie śmiechy i krzyki wyzwiska i żarty
poplątane z deszczem opony i błony symbole i sprzęty
światło i niepokój skoczyć i ugryźć ten orwellowski
salceson pełen drobnych kości pospiesznie ewakuować
synkretycznie stopione z zapachem kapusty wędzone piwo
jedyne dziedzictwo wśród wysypisk zgniłych wycieraczek
gdzie niemyte nogi z krwiożerczymi pazurami tańczą
flamenco corrido bolero mambo i walc nad brzegiem
morza bez fal jak atrapy żywiołu z pierwszej powieści
Mario Vargasa Llosy w porze nieustannej podróży
przez światy gdzieś w głębi w pół drogi prawdziwe

***Bydgoszcz, 27-12-2017***

## Poza dobrem i złem gdzieś między marzeniem a oszustwem

W przekonaniu Georges'a Bataille'a zakaz uświęca
a dostęp profanuje dlatego drżenie ciepłego powietrza
w lecie skłania bezpłodne kukułki Alana Pakuli
do grzebania w biżuterii dzieciństwa zdeponowanej
przez wędrowca z Tężniopolis pod krzewami
wawrzynka wilczełyko o trujących czerwonych owocach

W przekonaniu Franza Hessela patrzy na nas tylko to co widzimy
dlatego trzeźwy Sam Peckinpah wstaje nagle od pianina i kupuje
srebrną maczetę aby uciąć głowę kochanka swojej przyszłej żony
jaskrawoczerwonym challengerem dojeżdża do cmentarza
w Santa Monica rozkopuje jego grób a gdy zobaczy stłamszone
ciało stwierdzi że możemy tylko to na co i tak nie mamy wpływu

W przekonaniu Édouarda Moneta wszystko jest lustrzanym odbiciem
dlatego dzieci uchodźców gdzieś na przedmieściach Góry Kalwarii
palą białe skorpiony w kopiastych mrowiskach co sprawia
że widzowie w stanie ekstazy i przerażenia są tak samo nierealni
jak oprawcy którzy konno przejeżdzają obok i nie można ich
pokochać do końca bo nie są warci potępienia jak daremna agonia

W przekonaniu Bree Daniels tej zakamuflowanej w pogrzebowym
zakładzie szarej nowojorskiej dziwki (call girl) zahamowania mają
tę zaletę że tak przyjemnie się ich pozbyć dlatego Steve McQueen
jako Doc McCoy w chwili niespodziewanej tożsamości uderza kilka
razy w twarz Ali MacGraw jako Carol McCoy a oboje jak nieodwracalna
zbieżność przeciwieństw trafiają do wnętrza hałaśliwej śmieciarki
pełnej fekalnych odpadów zebranych w imię rozumu z ulic całego
miasta w drodze na wysypisko gdzie bezustanny intensywny
recykling będzie czyhającym na nich afrodyzjakiem zdefiniowanym
w umyśle André Bretona jako bezgranicznie samotny punkt
gdzie nic nie jest przeciwstawne „co się duchem udziela co się
na powietrzu spala jak garść lnu"*****

***Bydgoszcz, 06-12-2017***

***** *Stanisław Wyspiański, Wesele, akt II, scena 21*

## I nie wódź nas na pokuszenie

Na koniec mężczyzna jest tylko tym co posiada
dlatego James Joyce oślepł przy korektach
Ernest Hemingway strzelił sobie w usta
a samotny Samuel Beckett wpatrywał się
w śnieżący ekran telewizora leżąc w wannie
Jerzy Kosiński szczelnie obwiązał swoją głowę
czarną ogrodniczą folią a Kazimierz Kummer
wypłynął z Jastarni szybkim kraulem w morze
i już nie wrócił jak nagły podspojówkowy wylew
krwi dokładnie o północy z czwartku na piątek

Nieskończoność jest tylko stanem umysłu
dlatego Édouard Monet nigdy nie namalował
swojej uciętej stopy Tymoteusz Karpowicz był
jednorękim drwalem szczegółowo rozkładanych
kulminacji a wędrowiec z Tężniopolis chciał
uciętą suchą nogą przekroczyć dwoistość
światła wyssanego z rozlewisk nad Wisłą
podczas gdy Rafał Wojaczek najbardziej
był tam gdzie go nigdy nie było

Kuszeni i kuszący piętnem języka i egzystencji
co brzeg witając nowy w kontakcie z pozorem
ojczyzny która niezmiennie zaczyna się od cmentarza
ze zbijającą z tropu szybkością narracji stają się
wodospadem zamienionym w pokryte woskiem
lustro skąd w skręconej perspektywie nadchodzi
jak zwykle i bez końca tyle złego co dobrego
o wartości raczej bezczelnie rozdanej niż dodanej

***Bydgoszcz, 12-12-2017***

Grzegorz Bazylak – prof. dr hab. n. farm. inż., w latach 1998-2002 stały współpracownik i członek redakcji ogólnopolskich pism społeczno-kulturalnych: „PAL-Przegląd Artystyczno-Literacki", „Radostowa", „Awers". W latach 1997-2000 członek „Poetry Society" w Londynie (Wlk. Brytania). Autor zbiorów wierszy „Dwóch śpiących braci" (1974), „Za moimi rzekami" (1983), „Gdańska noc" (1998), „Dansing Polanica" (1999), „Wszędzie blisko" (2013), „Jedna tobie, druga mnie-wiersze i komentarze" (2014) oraz tomu recenzji teatralnych „Akcje, zwroty, odsłony. Sezon jubileuszowy Teatru Nowego w Łodzi 1999/2000" (2014, 2015). Redaktor pośmiertnego wydania w 2018 roku zbioru opowiadań i cyklu czterech powieści łódzkiego prozaika Zbigniewa Wilczyńskiego (1954-2008). Od 2004 roku kierownik Katedry i Zakładu Bromatologii na Wydziale Farmaceutycznym Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy.

# NASZ ŚWIAT

Ewa Nowosławska

## 1. Patykowa choinka

Jak co roku, dzieci i dorośli z niecierpliwością czekają na Wigilię, kiedy, zgodnie z tradycją, prawie w każdym domu ubiera się choinkę. Z reguły jest to drzewko zakupione w specjalnym punkcie sprzedaży lub przywiezione z pobliskiej leśniczówki.

W zależności od warunków, w jakich choinka była przechowywana, w warunkach domowych, stoi dłużej lub krócej zanim zacznie tracić igliwie. Z tym jest zawsze kłopot.

Z tego też powodu niektórzy wolą sztuczne drzewka. Ja nie jestem ich zwolenniczką, dlatego gdy, w okresie przedświątecznym, na jednej z wystaw sklepowych zauważyłam wiązkę patyków uformowaną na kształt choinki, pomyślałam że pomysł jest warty powielenia. Patyki, w kilku miejscach były związane rafią, a na nich powieszone tradycyjne ozdoby choinkowe oraz rozciągnięte światełka.

Pomysł był przedni, tylko nie wiedziałam skąd wziąć patyki, ale problem sam się rozwiązał.

W kilka dni później, wracając z przedświątecznych zakupów, zauważyłam, że panowie zajmujący się pielęgnacją drzew w pobliskim parku, w kontenerze składują przycięte drzewoodrosty. Gdy się im przyjrzałam, okazało się, że zupełnie przypminają te z wystawy. Uzyskałam pozwolenie by wziąć ich tyle ile chcę, pod warunkiem, że powiem po co są mi potrzebne.

Idąc przez centrum miasta, z wiązką pod pachą, zapewne wyglądałam dziwnie, ale zupełnie nie zawracałam sobie tym głowy ponieważ miałam poczucie, że robię coś dobrego dla środowiska naturalnego.

Przed wigilią, z pozyskanego materiału, uformowałam wiązkę na kształt choinki, powiesiłam ozdoby i lampki oraz ustawiłam ją na komodzie. Wiszące nad nią kryształowe lustro robiło wrażenie jakby patykowe drzewko świeciło podwójnymi światełkami.

Do końca nie wiem czy moja świąteczna konstrukcja przypadła rodzinie i znajomym do gustu, ale tego nie dociekam. Mam pewność, że z okazji Świąt Bożego Narodzenia nikt nie dostanie rózgi od Świętego Mikołaja, bo patyki zostały już zagospodarowne i związane kokardą z rafii, tworzą choinkę.

Od tego momentu, nikt w rodzinie, w czasie świątecznego sezonu, nie myśli o rózgach, tylko o świątecznych imprezach i oczywiście o prezentach. A oto przecież chodzi.

## 2. Ale kompocik

Nie, nie kompot z łodyg maku, nic z tych rzeczy, a normalny kompot z jabłek, śliwek węgierek z dodatkiem cukru i suszonych goździków. Wszystko to zalane wodą i ugotowane. Tak było i tym razem.

Kompot gotował się w kuchni *na gazie*. Gdy zadzwoniła komórka, upewniłam się kto dzwoni, po czym zasiadłam w wygodnym w fotelu, bo wiem jak wyglądają rozmowy z koleżanką ze studiów.

Ona mówiła i mówiła bez przerwy i, jak zwykle długo, a ja, od czasu do czasu wtrącałam krótkie *aha* oraz *hm*.

Po jakimś czasie zaczął unosić się zapach gotowanych owoców po w całym mieszkaniu, ale nie wzbudziło to mojego zainteresowania.

Znużona natłokiem informacji, nie nadążając za potokiem słów koleżanki, wstałam z fotela i w tym momencie przypomniałam sobie o kompocie. Wpadłam do kuchni, ale było już za późno, pozostał po nim tylko susz z owoców i trochę karmelu na ściankach garka, a w powietrzu unosił się zapach metalu.

Szorowanie nie przywróciło garnkowi połysku, jaki miał przed tym incydentem. Kompletnie zmatowiał, i wyglądał że do gotowania się już nie nadaje. Szkoda mi było go było wyrzucić, ponieważ kilka dni wcześniej go kupiłam. Póki co, postawiłam go wśród innych sprzętów w szafce, a miał być początkiem wymiany starych na markowe, nowej generacji.

Na nową kolekcję będę musiała poczekać, a następny kompot będę gotowała w jednym ze starego zestawu, i na wszelki wypadek, przed rozpoczęciem gotowania, wyłączę komórkę.

## 3. Z okiem na talerzu

Jedną z atrakcji nadmorskiego kurortu w którym mieszkam jest przystań rybacka. Źródła historyczne wspominają, że *żyje ona* od XIII wieku, a tradycje rybackie przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

Obecnie, jedynie garstka rybaków je podtrzymuje, wypływając regularnie na drewnianych łodziach, podobnych do tych z XIV wieku zwanych *pomerankami*.

Na wysokości przystani wybudowano stylizowane domki, w których rybacy sprzedają ryby z nocnych zaciągów oraz małe muzeum rybackie z oryginalnymi sprzętami. Pieczę sprawuje emerytowany *rybak z dziada pradziada*, który chętnie snuje opowieści o życiu oraz specyfice swojego zawodu.

Po sąsiedzku usytuowany jest również bar rybny, popularny wśród mieszkańców kurortu oraz osób przyjezdnych. Obsługę stanowią młodzi i energiczni studenci z lokalnych uczelni.

Podczas jednej z wizyt mojego brata z zagranicy, z całą rodziną wybraliśmy się na lunch do powyższego lokalu. Po konsultacji, w imieniu wszystkich, brat po polsku, z lekkim obcym akcentem złożył zamówienie. Gdy obsługa obwieściła, że zamówione dania są gotowe do odbioru, ochoczo poderwał się z miejsca i zabawił w kelnera.

W pierwszej chwili, wszystkim, wydawało się, że wszystko jest okay, ale okazało się jakieś *ale*. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, a brat stwierdził, że nie jest w stanie jeść zamówionego dania. Nastąpiła konsternacja, ponieważ danie było zgodne ze złożonym zamówieniem.

Gdy pojawił się szef lokalu, wyjaśnił, że problem polega na tym, *iż on nie jest w stanie jeść ryby bo ona na niego patrzy, a to jest co najmniej nieludzkie, by ją jeść na jej oczach*.

Szef zaskoczony obrotem sprawy, z powagą przyjął uwagi klienta oraz obiecał, że sprawę skonsultuje z *kuchnią* i wspólnie zaproponują danie alternatywne.

Podejrzewam, że dla niego jak i dla kucharzy, usłyszane obiekcje były newsem dnia, a może nawet sezonu. Możliwe, że zachodzili w głowę, czy nie są to żarty.

*Kuchnia* potraktowała sprawę *na serio* i w po kilkunastu minutach, szef powrócił z propozycją zamiany wcześniejszego zamówienia na danie z rybich filetów. Pozostali członkowie rodziny rozkoszowali się specjalnością lokalu – daniem z ryby z *oczami*.

Gdy opuszczaliśmy bar, szef lokalu puścił porozumiewawczo oko, a pozostali członkowie z obsługi, z uśmiechem, a może raczej z uśmieszkami, machali nam na *odchodne*.

Przez jakiś czas, na wszelki wypadek, nikogo nie zapraszałam na rybę do popularnego baru.

Obawiałam się powtórki z *rozrywki* z *oczami*. Tymi rybimi na talerzu i oczami personelu baru.

## 4. Bąbelki

Czy ktoś się zastanawiał, co to są bąbelki? Ja to zrobiłam.

Mówiąc kolokwialnie, to niewidoczny gaz uwięziony w cieczy pod ciśnieniem, ale wystarczy uwolnić zamknięcie, a zaczyna bąblować.

Najlepiej da się to odczuwać po wlaniu wody gazowanej do szklanki, wtedy szaleją tworząc mgiełkę, która unosi się ku górze, a w czasie picia zrasza nam twarz wywołując przyjemne uczucie, szczególnie w upalny dzień.

Istnieją również duże ich formy, które powstają gdy w „ramkę z rączkę", zmoczoną w specjalnym płynie, wdmuchujemy powietrze, wtedy tworzą się ich różne kształty, zwane bańkami mydlanymi. Gdy unoszą się w promieniach słońca opalizują tęczą kolorów.

Cały świat wita Nowy Rok musującym winem, zwanym szampanem. Ten, żeby powstał, fermentuje najpierw w kadziach jako wino niemusujące, by po dodaniu cukru oraz innych specyfików, leżakować w butelkach z wklęsłym dnem, zwanym *puntem*. Dzięki niemu, wypoczęty profesjonalnym kelnerom pozwala go rozlewać w wysokie kieliszki w efektowny sposób, tak, że trunkowi towarzyszą bąbelki a gościom, już po małym łyku, udziela się szampański nastrój.

Gdy bąbelki pojawiają się na taflach zbiorników wodnych to znak o obecności ryb. Profesjonalni wędkarze, są w stanie, z kształtu ich powierzchni, określić jakich ryb można się spodziewać.

Nie należy też zapominać o bąbelkach w formie piany, która tworzy się przez wprowadzenie do cieczy pęcherzyków powietrza. Dla ułatwienia jej powstawania, dodaje się substancje powierzchniowo czynne, np. płyn do kąpieli, a w celach spożywczych, do potraw pianowych (jak lody, bita śmietana, lub spulchniacze do ciast), wykorzystuje się właściwości białka kurzych jaj.

Bąbelki spełniają też użyteczną rolę jako opakowania małych paczek i listów, zwane kopertami bąbelkowymi.

Można powiedzieć, że istnieją by dorosłym oraz dzieciom uprzyjemniać i ułatwiać życie.

Więc bardzo proszę dobrze je traktować, bo chociaż małe, mogą nas zrobić w przysłowiowego balona i zniknąć.

A życie bez bąbelków? Co to za życie.

## 5. Szał(l) na balu

Święta Bożego Narodzenia tuż, tuż, a zaraz po nich karnawał, czyli okres zimowych balów, maskarad i zabaw.

Nazwa pochodzi z wł. *carnevale,* z łac. *carnen levāre*, co znaczy „mięso usuwać". Nazwy oznaczały pożegnanie mięsa przed rozpoczynającym się wielkim postem. Inna etymologia nazwy nawiązuje do kultów płodności oraz agrarnych w Egipcie oraz w starożytnym Rzymie. Kiedy to uważano, że im lepsza i bardziej huczna będzie zabawa, tym bardziej obfite będą plony. Wpływ na to miały mieć szczególnie skoki (ich wysokość) podczas tańca.

Współczesne bale w karnawale to w szale lub w szalu. Chociaż zdarza się, że w obu jednocześnie. Pierwszy wiąże się z emocjami, drugi (szal ), wykonany jest najczęściej z wełny lub pasma materiału w różnych kolorach, owijany wokół szyi w celu ocieplenia, estetyki, z powodów religijnych, a także noszony przez fanów sportu.

Żeby się dobrze bawić, oba nam nie muszą towarzyszyć. Jeżeli w czasie balu poddamy się szałowi emocji, to szal nie będzie nam potrzebny. Możemy zrezygnować z niego i udać się w tany. Jeżeli natomiast szał balu nie będzie nas zachęcał do zabawy, to nawet najwytworniejszy szal nic tu nie pomoże.

Wprawdzie taką sytuację może załagodzić je- cd. str.14

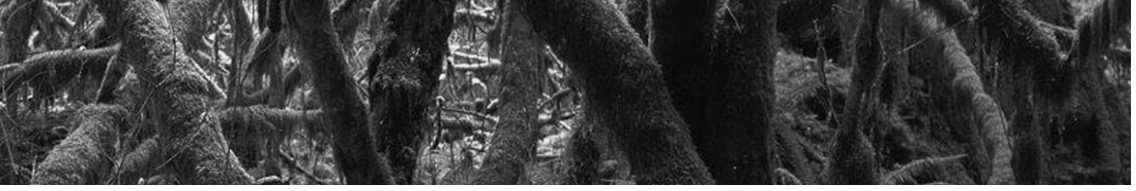

cd. ze str.13

dwabny szalik z frędzlami, jaki noszą eleganccy panowie w melonikach i w białych rękawiczkach. Ale nie o to chodzi, bo biały szalik jest jedynie widoczny tylko wtedy gdy przychodzą lub rozchodzą się uczestnicy balu, panowie ze swoimi partnerkami.

A co z tym szałem/szalem w czasie balu? Jeden i drugi jest pomocny. Jeszcze lepiej, gdy jednak oba są w naszym zasięgu, ponieważ prawdą jest, że bez szału lub szala nie udaje się żadna, nawet karnawałowa gala.

## 6. Czapka

Jestem mała, ładna czapeczka, ale gruba jak beczka. Zrobiona jestem z kolorowej włóczki ciekawym ściegiem, ale chcę być chudsza, a tym jest problem jak to zrobić. Chyba zwrócę się o pomoc w tej sprawie do osoby, która mnie zrobiła. *Tak też się uczyniłam, a pomoc nadeszła niebawem.*

Najpierw zostałam spruta. Było to dziwne uczucie gdy zaczęłam znikać. W mgnieniu oka z czapeczki stałam się nitką. Wyobrażacie to sobie? Przestałam istnieć jako czapeczka. Byłam jedynie nitką! Potem zostałam zwinięta w kłębek. Ale to nie był koniec mojego istnienia.

Zwinne dłonie dzierganiem zainicjowały moje odrodzenie. Z nitki zaczęły powstawać pierwsze oczka, a mnie przybywało w ekspresowym tempie. Ponieważ chciałam być chudą czapeczką, zostałam wykonana ściegiem typu ściągacz. Powróciłam do istnienia w formie o jakiej marzyłam. Nareszcie byłam chuda!

Powinnam być szczęśliwa, ale było małe *ale*. Wyglądem nie przypominałam dawnej czapeczki. Właściwie nie przypominałam żadnej czapeczki. Byłam ściągaczem, który wygląda jak mankiet od swetra. Jednak nie mogłam mieć do nikogo pretensji. Chciałam być chuda, to jestem.

Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że chudą pozostanę tylko wtedy gdy nie będę noszona, bo moje okrągłości wracają gdy się mnie założy.

Nie jestem już tą ładną czapeczką z ażurowym ściegiem. Mam nadzieję, że jak się uda przyczepić do mnie pompon wtedy będę ładniejsza.

Dla poprawy wyglądu, nie dam się ponownie spruć i przerobić. Raz spróbowałam i to mi wystarczy. Nie warte było to moje odchudzanie. Tego jestem pewna.

## 7. Pompon

Robi się coraz chłodniej, a zima rozpocznie się za kilka tygodni. Wszyscy powoli zaczynają ubierać czapki, chociaż nikt specjalnie nie lubi ich nosić. Ale z pomponem? Młodzi twierdzą, że te, z pomponem są *spoko*. A czy ktoś zastanawiał się co to właściwie jest pompon? Ja to zrobiłam.

Z materiałów źródłowych wynika, że *pompon to element, który może być ozdobą ubioru, wystroju pomieszczeń, ale też rekwizytem festynów, rewii mody lub elementem gier.*

Pompony mają różne kształty. Są kuliste lub pędzelkowe, zwane chwostami. Na ogół wykonywane są z włóczki, i są ozdobą szalików oraz czapek. Wykonane ze skrawków materiału lub sznurków są głównym elementem sprzętu do robienia porządków, zwanego mopem.

Pompony pędzelkowe są wykorzystywane w strojach ludowych lub narodowych. Mogą być też ozdobą nakrycia głowy lub być używane w nietypowy sposób, np. przywiązane pod kolanami. Kuliste pompony są często ozdobą butów lub papci.

Te o większych rozmiarach stanowią też ważny rekwizyt cheerleaderek. W mieszkaniach, znajdują zastosowanie przy upinaniu firanek.

Pompon powinien być puszysty i miękki, i dlatego na jego wykonanie nie można oszczędzać włóczki. Jego wygląd musi zachęcać do zwrócenia uwagi na element, do którego jest przypięty.

Nie sposób pominąć popularnego wśród młodzieży zastosowania pomponów. Chodzi o kulkę z włóczki obciążonej metalowym krążkiem, która staje się wtedy lotką do pobijania nogą, w zręcznościowej grze o sympatyczniej nazwie *zośka*.

Więc bardzo proszę nie tarmosić i nie ciągnąć na siłę za pompon przy czapce, bo to nie tylko miła w dotyku, ale i pożyteczna *kulka*, która ma szerokie zastosowanie oraz dodaje uroku. Jak również podskakuje, odbijana nogami przez zręcznych graczy.

## 8. Oficerki

Przed laty, dzieci na podwórku powtarzały tekst zaczynający się od słów *raz, dwa, trzy, cztery, idą oficery, a za nimi oficerki pogubiły pantofelki*, no i właśnie o oficerki chodzi, ale nie te w pantofelkach, a o buty skórzane z wysoką cholewką.

Takie, które ich właścicielom sprawiają czasem psikusy. Po prostu skrzypią, a wtedy trudno na to coś poradzić. Pół biedy gdy skrzypią oba buty, ale bywa tak, że skrzypi tylko jeden. Jak temu zaradzić? Szewc twierdzi, że do tego trzeba się przyzwyczaić, nie zwracać uwagi i maszerować.

Ta lakoniczna opinia szewca na temat skrzypiących butów nie dawała mi spokoju i postanowiłam zgłębić temat. Udało mi się ustalić, że skrzypią tylko skórzane buty, a dokładniej, ich podeszwa. Ponieważ składa się ona z kilku warstw skóry i gdy one są niedokładnie sklejone, w czasie chodzenia, wydają charakterystyczny odgłos, to nieszczęsne skrzypienie.

Życie pokazuje, że gdy w skrzypiących oficerkach maszeruje oficer, to pół biedy, ale gdy idzie damulka? Jeżeli jest atrakcyjna i lubi na siebie zwracać uwagę, to jest o'key. Ale gdy *nie szuka poklasku*, skrzypienie może stanowić problem.

Pewnego dnia, siedząc przy biurku, w pracy, usłyszałam, że korytarzem idzie ktoś w skrzypiących butach. To spostrzeżenie szybko uleciało mi z pamięci, ale gdy się powtórzyło, wzbudziło we mnie zainteresowanie i wyszłam na korytarz by *zbadać sprawę*.

Zbigniew Kresowaty

Korytarzem, w kozaczkach, maszerowała z gracją koleżanka z pracy. Buty nie były zwyczajne. Przypominały oficerki. Na cholewkach i piętkach miały nabite ozdobne metalowe ćwieki.

Gdy koleżanka zobaczyła, że zwróciłam uwagę na jej buty, powiedziała, że od długiego czasu miała na nie oko ale wstrzymywała ją dość wysoka cena. Ostatecznie jednak zdecydowała się je kupić.

Satysfakcja z tego zakupu nie trwała długo. Po kilku spacerach, buty zaczęły przeraźliwie skrzypieć. Więc ma z nimi kłopot.

Na razie nie wie jak się z tym uporać, ale ma nadzieję, że jakiś sposób musi się znaleźć.

Na odchodne, skwitowałam jej słowa stwierdzeniem, że przecież to są oficerki, a nie jakieś tam kapralki więc mają prawo skrzypieć.

Mam nadzieję, że z czasem, koleżanka przestanie się przejmować ich mankamentem. A może problem sam się rozwiąże i oficerki zamilkną? Czego mojej koleżance i innym posiadaczom skrzypiących, nie tylko, oficerek serdecznie życzę.

## 9. Nie tylko nie

Ktoś mógłby zapytać co znaczy po trzykroć powtórzone *nie*, a odpowiedź jest prosta, nie to znaczy nie, Spróbuję towyjaśnić.

Gdy byłam mała, na zadane pytania lub podsuniętą propozycję, zdecydowanym tonem, odpowiadałam *nie, nie, nie*. O wszystkim chciałam decydować sama i sama wszystko robić, taka *Zosia samosia*, nawet wtedy gdy sama nie potrafiłam czegoś wykonać.

To, *na wszystko nie*, nie było czasem dla mnie dobre. Tak jak w sytuacji gdy mama pytała *czy chcę czekoladkę albo mandarynkę*, a ja, z wyprzedzeniem odpowiadałam *nie*.

Zdarzało się, że mój brat zdążył zjeść większą część swojego przydziału słodkości, robiło mu się mnie żal, i wtedy namawiał żebym spróbowała chociaż kawałątek, ala ja trwałam przy swoim nie.

Jak w końcu dawałam się uprosić, wtedy wszystkich częstowałam tym co było właściwie przeznaczone dla mnie.

Podobnie było w czasie zabawy, podczas której dzieliłam się z dziećmi swoimi zabawkami. Wolałam się bawić tym, co można było wygrzebać z komórki na sprzęty do pracy, w okalającym nasz dom, dużym ogrodzie.

Gdy musiałam wracać z podwórka do domu, nie wiedziałam gdzie są zabawki, ale tym zupełnie się nie przjmowałam. Często mama, już o zmroku, zbierała je porzucone przez dzieci z sąsiedztwa.

Z biegiem lat, zauważyłam, że coraz rzadziej powtarzałam to swoje *nie*, aż w końcu gdzieś się ono zapodziało, a ja zaczęłam być *na tak*.

No i bardzo dobrze, że tak się stało, bo życie na tak, jest znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze.

## 10. Nie największe

Kraj, z którego pochodzę nie jest największym państwem w Europie, a ta, nie jest największym kontynentem na globie, a ten we w wszechświecie. Stolicą mojego kraju jest Warszawa. Miasto to, nie jest największą stolicą. Mieszkam w Gdańsku, mieście, które nie jest największym w kraju. Położone jest ono nad Bałtykiem, nie nad największym akwenem. Pracuję w urzędzie, instytucji nie będącej największą w mieście. Szkołę wyższą ukończyłam w Trójmieście, w nie największej uczelni w tym mieście.

Moje rodzinne miasto, leży na Pomorzu Zachodnim. Jest to miasto wojewódzkie, ale nie największe, w nie największym województwie. W tym mieście ukończyłam szkołę średnią, nie największą w mieście. Podobnie nie największą szkołę podstawową. Mój dom rodzinny nie jest największym w dzielnicy, a ta nie jest największą w mieście. Ulica, przy której jest on usytuowany nie jest najdłuższą w okolicy. Numer domu nie jest największy, tak jak numer mieszkania rodziców w tym domu. Mój pokój nie jest największy, tak jak i moje biurko w tym pokoju. nie jest największym meblem w tym mieszkaniu. Komputer na moim biurku nie jest największym sprzętem komputerowym w tym mieszkaniu. Ma on też nienajwiększy monitor. Chodzę w okularach, ale te też nie są najmocniejsze.

Osoba, która pisze ten tekst nie jest wielką pisarką, ale jest wielką niespodzianką dla samej siebie, bliskich i znajomych poniewa nigdy wcześniej nie parała się pisaniem. A teraz pisze i ma przy w tym wielką frajdę.

Największą z możliwych!

***Ewa Nowosławska***

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

## Opróżnij kosz. Opróżnij kosz głowy.

Rano ze snu opróżnij kosz głowy.
Głowa stoi pod wieszakiem. Nie moim.
Nie moja. Głowa wczoraj umarła.
Była już kiedyś taka inna, która w dzień po śmierci
leżała na krześle i spała czekając na ucałowanie.
Ta stoi czy siedzi - bo o samej głowie, to znaczy, gdy jest sama - trudno powiedzieć.
Mówię do niej:
Nie ruszaj się (tu pada męskie imię),
bo ci głowa spadnie.
Otwiera oczy, nie jest bardzo ponura,
tylko trochę, o tyle o ile, na ile tkwi się w mrocznym przedpokoju,
oparta na czarnych kołnierzach, na czarnych szalikach
(kiedy głowa jest sama, bez szyi, trudno powiedzieć czy to szaliki czy kołnierze),
I na ile pod nią jest druga, bliźniacza głowa, (jak stos czapek i kapeluszy),
która śpi i się nie rusza.
Nie są straszne, ta przytomna może trochę smutna,
tyle, na ile jest sama i już nie żyje ciałem.
Ta dolna jeszcze nie wie, do jej snu nie dotarł smutek.
Ta spodnia, o ile można tak mówić o głowie,
jeszcze wie, że się zbudzi.

Po roku znów spotykam głowy. Tę spod wieszaka i tę z krzesła.
Są na właściwych miejscach
- na szyjach i ramionach, żywych i w swoich najlepszych latach i przyjaźni.
Hej, (tu pada żeńskie imię).Wołają, żeby podejść do ich stolika.
Pod kieliszkami świecą białe kartki wierszy.
Jest jasno. Stolik stoi pod oknem w samym rogu snu.

## Oszukiwanie przedmiotów

(na marginesie rozmowy z Krzysztofem R. Górskim)

Syn nosi szlafrok ojca.
Szlafrok ojca nie wie
albo nie rozumie przedłużanej długiej
nieobecności bardziej wątłych ramion.

Naczynia spoufalone,
sztućce,
szklanki,
filiżanki -
inne usta wyciągają z nich gorycz lub słodycz,
chłodem lub ukropem
cudze zęby
zgrzytają po brzegach.

Z kieliszkami najłatwiej, one zawsze nienazbyt przytomne,
szły w krąg, w tan, w ruch, publiczne dziewczyny, upadłe,
nie do sklejenia związki,
rzadziej bywały wierne, „ulubione”.
Przeszłość spuchniętą oklepać, ociosać z nadmiaru.

Z ust innych słowa kryte w filiżance,
łyżeczka inną warg smakuje szorstkość.
Laska opiera się chwytowi dłoni nieznanemu.

Futro już nie głaskane
perfum nie czuje,
ostało się jako dera do sań
albo pod plecy, które już w innym miejscu bolą,
trupem pada a
służy wiernie do zatraty,
a my w zawiei
nie patrzymy za siebie.
Poooszło!
Wiemy, co na obrazku -
koński łeb, para z nozdrzy, wilcze ślepia.

PROZA

Paweł Orzeł

# O NICZYM (Z PRZESZŁOŚCI)

## 0-a

Właściwie nie jestem zainteresowany. W żaden sposób nie ciekawi mnie to. Lekko ironicznie przyglądam się ludziom, którzy mówili o czekaniu. O nadziejach. I podnieceniu. *Ni lo más mínimo* – nie dotyczy to mnie. „Rozczarowane komentarze. Zachwycone komentarze". W znużeniu i nudnościach zasiadam do tego.

Barbam video, sed philosophum non video.
Fortuna ipsa, quae dicitur caeca.
Stultum facit fortuna, quem perdere vult.

## I

Mężczyzna mówi, o którymś z filozofów. Trochę zasypiałem, nie rozumiałem, prosiłem go, by powtórzył pewne kwestie. Gdzieś w sobie czuję, że miał niemało racji, że miło było go słuchać. Może nawet czegoś nauczyłem się. Tylko po co? Chwilę później okazało się, że pan, który nas chronił, ukrył się. Postanowiliśmy go odnaleźć, dość nieskutecznie – hol, toaleta, winda, palarnia, aula wykładowa, klatka schodowa i inne pomieszczenia puste. (…) Zwątpiłem i *nieczytelne* wyjście z budynku. Musiałem skorzystać z toalety. Oddając mocz do umywalki, zobaczyłem tego pana, ochroniarza, tam, gdzie powinno być moje odbicie. Próbował się wydostać, czegoś się bał. Postanowiłem go zignorować.

Uwielbiam widok migającego księżyca z mojego okna.

## II

Zespół grał. Praktycznie nikt nie był zainteresowany jego wyczynami i dokonaniami na scenie. W powietrzu unosiło się coś trudnego do wymacania, obok zapachu moczu, potu, alkoholu i subtelnej *grzeszności*. Tak powinien wyglądać każdy dzień. Może jeszcze z dodatkiem woni spermy, ciężkiej i duszącej.

Ktoś pytał go o czas. Przeszłość, przyszłość. Nie o konkretną godzinę i jej konsekwencje. Po prostu – czy to przyszłość, czy przeszłość? *Ja* z całą moją niekonsekwencją i wszystkimi ograniczeniami intelektualnymi odpowiedziałbym, że *teraźniejszość, czyli nieistniejący punkt między przeszłością a teraźniejszością*. A nawet poprawiłbym się: *przeszłością a przyszłością*. I może nawet w innej kolejności: *przyszłością a przeszłością*. Ale wtedy zestawienie z teraźniejszością bardziej prawdopodobne i ciekawe.

„Potem uciąłbyśmy mu rękę".

## III

Coś zawiązuje się. Czuję się jak w domu:
jest tylko morze
kiedyś utopiłem się
cisza nad wyspą

Ktoś znalazł ciebie. Ktoś o ciebie zabiegał. Ktoś po prostu o tobie pamiętał. Jest w tym szczęście.

Spróbujcie jeszcze raz.

## IV

Pisałem to już wiele razy: otwierasz oczy – właściwie budzisz się – nie chcesz tego – nie uda ci się jednak wrócić do snu – wszystko ciebie boli – świat jest za oknem szary – znowu – musisz z tym pogodzić się – i wstać.

Pisałem (tak) wiele razy, aż znudziło mi się to: w biurze muzeum – jest inne niż je zapamiętałeś – teraz to zwykłe mieszkanie – nie wiesz, co z sobą zrobić – wszyscy uśmiechają się – odnajdujesz ukochaną – postanawiacie zagrać na podłodze w szachy – jest dziwnie spokojnie – jeden z kolegów prosi ciebie o pomoc – ukochana obraża się, gdy idziesz z nim – (…) – chcesz udobruchać ukochaną – znajdujesz ją w ostatnim pomieszczeniu – z resztą dziewcząt *nieczytelne* prawie w rzece – jest ładnie.

Nic dzisiaj nie wygrałem. Nie poznaję siebie.

## V

4 – Trudno odnaleźć się w pracy. Ktoś kłamie. By wejść do damskiej toalety, trzeba odpowiedzieć na zaloty jednej z kobiet. Nie wolno pałętać się.

2 – Nic nie wygląda znajomo. Zwłaszcza jego twarz. Myśli nie prowadzą jeszcze w żadnym konkretnym kierunku.

5 – Ona prosiła tylko o zapalenie papierosa. Tu nie wolno palić. Papieros za to jest pieniądzem. Będzie śmiał się do niej podczas gwałtu.

0 – Dobrze, że tu wciąż jest. Złota perła.

0 – *death and night and blood / death and night and blood* / (*death and night and blood*) / (*death and night and blood*).

0 – *Rien*.

## VI

Mężczyzna gryzmoli po dokumentach. Nikogo obok nie ma. Niebo w nim i gwiaździstość tego nieba na kartkach. Przed nim. Nie umie pisać i dzięki temu odkrywa tajemnicę. Tylko w ten sposób to możliwe.

- Nie rozumiem, jak do tego doszło – mówi ktoś.
- Doszło – odpowiada mężczyzna.
- Od tego momentu ja to przejmuję. Proszę, zachowaj to dla siebie.
- Dla siebie.

Była ładna, gwiaździsta noc. Teraz znów pada. Oglądaliśmy wspólnie wędrówki księżyca po niebie i w nas. Teraz mokniemy.

## VII

Ciężko to wszystko wytrzymać. Bardzo. Ciężko.

[…]

Osiągnął mistrzostwo w zamiataniu. Aż chciałoby się to sensownie opisać. Oddać jego ruchy, taktykę, sposób w jaki trzyma miotłę oraz pozy, zamyślenie wypisane na twarzy… Ale jeszcze o tym nie umiem pisać. Kiedyś.

Obiecuję.

## VIII

To właściwie temat na osobny tekst.

Jak przystało na tę cyfrę.

(…)

*Si!*

## IX

Piszę tylko dla siebie. Czasem odczytuję to po latach.

~~(…)~~

Do kogo to pisałem? Po co? Co miałem na myśli? Czego nie? Co autor miał na myśli? Czego nie miał? Czemu tak skrzętnie to ukryłem – w notatkach i głowie? Czy to na pewno podświadomość? Czy rozumiem cokolwiek z tego, co robię? Czy chcę rozumieć? Czy cokolwiek zależy ode mnie?

Czy?

A może to po prostu kolejna gra z nudą. *Moją* nudą. Kiedy czuję, że już nic nie dam rady zrobić. Piszę więc ~~niezbyt mądre~~ rzeczy. Pozwalam sobie odnaleźć je po latach. I myśleć dalej.

Kim jestem dla siebie? Kim tamten *ja* jest dla mnie? ~~M~~ Kim ja dla *niego*?

Jakie w ogóle ma to znaczenie.

Przecież tylko nudzę się. Oglądam serial. Nie chce mi się myśleć. Ani o sobie, ani o obowiązkach, ani powinnościach, ani o tym, co dziś jest podobno bardzo ważne.

Od tego wszystkiego powinno się umrzeć. Przynajmniej przez malowniczo-piękną eksplodującą głowę. O to właśnie proszę tuż przed świętami.

*Quot capita, tot sententiae.*

## X

Mały chłopiec ugania się za muchą. Podpala babcię, gwałci listonosza i robi inne wszystko byleby owada dopaść. Gdy w końcu udaje się to, rani się w policzek.

(Rodzice biorą go do lekarza).

(Rodzice albo jego przyszła żona).

Nieco już większy chłopiec przedrzeźnia doktora. Niechętnie poddaje się badaniom, robi wszystko, by ich wynik był jak najgorszy. Bóg jednak w swojej złośliwości lub poczuciu humoru, sprawia, że wyniki okazują się doskonałe. Znów trochę mniejszy chłopiec płacze, oddycha z trudem i prosi, by to ~~życie~~ już skończyło się.

(Narzeczona i jego dziecko – jedność i ta sama osoba – odwozi go do hotelu).

Dorosły chłopiec odbiera kolejne telefony z pretensjami. Leży na łóżku, rysuje poroża. Odbiera coraz głośniejsze telefony z pretensjami, sam mówi ciszej i ciszej.

Szeptem – *dobranoc*.

## XI

Ta melodia. Nagle pianista zaczyna inaczej grać. Wolniej, ciszej, już nie dla rozrywki.

Trzy panie w różowym [tak naprawdę w sukienkach typu „bomba", a jeszcze na prawdziwszą prawdę w czymś innym] odpowiadają bardzo wolno na pytania i prośby.

Nic nie dzieje się.

Pianista jest siwy. Gra z zamkniętymi oczyma.

Oni widzą róże i lampkę.

## XII

*Las* Vegas. I parę innych spraw.

## XIII + XIV + XV + XVI

Proces to:

(…)

Czuję symboliczne znużenie sobą. Nic już więcej nie wiem. Nie chcę też nic pisać. Chyba po prostu nie umiem. Co? Co?

To?

[*Protest to*…]

Kot przygląda mi się niespokojnie. Przed chwilą spadł z biurka przy jakimś moim skrzypnięciu. Może to krzesło? Zaskrzypiało. Znowu, znowu to się dzieje. Oglądam obrączkę, czy nie jest w żaden nieznośny sposób porysowana. Zastanawiam się, czemu tak rzadko dotykam kamienia, który miał pomagać mi w pisaniu. I czemu tak rzadko masturbuję się?

Wypadam z wprawy w każdej dziedzinie. Zabawnie i nijak. Czuję do tego coś w żołądku. Pieczarki migrują. Przeżywają małą wspólnotę i niewielki eksces.

[Kot znowu dobiera się do książki z antykwariatu.]

Na nie spada: - czosnek (…);

- feta (ser);
- oliwki (…).

Nic tylko włożyć widelec w gniazdko elektryczne.

## XVII

*Jeszcze nie odchodź. Proszę.*

JA.

## XVIII

.juhc op ,cin oP
.tórwdo an i elź oktsyzsW
.uT

## 0-b

W najmniejszym stopniu – *eso no me concierne*.

***11-12.2017***

Paweł Orzeł (ur. w 1985 r. w Madrycie) – prozaik, historyk sztuki. Wydał m.in. powieść *Ostatnie myśli (sen nie przyjdzie)* (2011), utwór eksperymentalny w formie jednego arkusza drukarskiego *Arkusz [^pi-^gmalion]* (2014) i dziennik-niedziennik *Nadgody* (2017). Od września 2017 roku pracuje jako redaktor prowadzący w Państwowym Instytucie Wydawniczym, odpowiedzialny m.in. za (kolejność chronologiczna) *Fragmenty. Szkice z teorii i filozofii sztuki* Wiesława Juszczaka, *Złotą pagodę* Yukia Mishimy, *Alfabetyczność. Teksty o literaturze i życiu* Henryka Berezy, *Drohobycz* Serhija Żadana (w przekładzie Jacka Podsiadły), *Dzieła zebrane* Andrzeja Łuczeńczyka, *Fikcję* Dariusza Bitnera, *Hipodrom* Miklavža Komelja (w przekładzie Adam Wiedemanna), *Jestem, tęsknię, mówię* Yuko Tsushimy, *Pamięć i ład* Pawła Hertza.

## Karol Graczyk

### *** (Urodziłem się nagi)

Urodziłem się nagi, ale owinięto mnie w ręcznik,
żeby wytrzeć ze mnie wspomnienia sprzed życia.

Urodziłem się nagi, lecz przyodziano mnie w szaty,
żeby zmyć ze mnie grzechy. Jakie to biblijne.

Urodziłem się nagi, ale wciągałem spodenki,
kiedy chłopaki wołali, żebym wyszedł na dwór.
Nie było nic wygodniejszego do biegania za piłką,
skakania do piłki i uciekania przed psami sąsiada.

Urodziłem się nagi i postawiłem na wygodę,
dlatego ubrałem dres, chociaż nie zapisałem się
do partii dresów, skejtów, ani prawilnych ziomali.
Niestety dziewczęta wolały tych w dżinsach,

więc chociaż urodziłem się nagi – ubrałem dżinsy
i to wystarczyło. Nadszedł czas podbojów i zawodów.
Okazało się, że wygoda nie jest najważniejsza w życiu,
więc tak już zostało, zdarzało się jednak, że nawet dżins

był zbyt nonszalancki, więc na okazje rzeczy ostatecznych,
jak liczne sakramenty (własne oraz cudze) zmuszono mnie,
bym wdziewał garnitur, chociaż urodziłem się nagi
i ze złośliwości (bo ludzie są złośliwi) w nim mnie pochowają.

### Wieczne sny

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
chociaż mój sen nie ma z nim nic wspólnego.
Może to wina syren wozów strażackich
tnących miejskie arterie, wołających dym.
Myślę wtedy o wszystkich, którzy mogli spłonąć.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
więc kiedy śpią inni czuję zapach nocy i wilgoć
powietrza. W zupełnej ciszy słyszę lekki wiatr,
deszcz. Kolory nieba zwiastują wschód słońca.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,
i ciągle słyszę kaszlącego sąsiada zza ściany.
Może jutro pójdę do niego, otworzy mi drzwi
i znajdziemy brakujące liczby na tarczy zegara.
Zapalam papierosa od świeczki, gaszę świeczkę.

Palcami.

### Retrospekcja

W zasadzie nie wiem, jaki był początek,
pewnie Bóg przechodził na czerwonym świetle.
(Później duży przeskok do moich sennych wspomnień).

To była wycieczka, jeszcze w latach szkolnych.
Patrzyłem na dziewczynę tak, jak ona na mnie,
ale – mam to w pamięci – wiedziałem, że nic z tego.

Później było różnie, z kilkoma imionami
zdążyłem się zżyć, kilka razy zniknąć;
sen jest zbyt pojemny, żeby iść w szczegóły.

Zainteresowało mnie śledztwo kryminalne
dotyczące kilku morderstw kobiet.
W końcu w sporym tłumie na stronę wziął mnie śledczy

i powiedział, że chciałby porozmawiać. Zrozumiałem wtedy,
że to mnie szukają i że w tej sytuacji robi się gorąco,
ale pozwolił mi jeszcze wziąć porządny prysznic

i zmyć wszystkie grzechy. Tylko jedna osoba stała wtedy obok,
a nawet zbliżyła się bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej.
(Całe mnóstwo rzeczy musiałem wziąć w nawias).

Wtedy się obudziłem, z ulgą, jak zawsze po koszmarze
i po sekundzie, doszło do mnie, że ten sen to prawda.
Z dziur w ziemi wyrasta woda. Zamyka nas na wyspach.

### Podróże

Mimo kilku dowodów ciągle wierzę,
że śmierć zdarza się w odległym gdzie indziej.
To miejsce położone gdzieś na krańcach mapy,
gdzie panuje głód, terror i tyrania, a w morzach
żyją wielkie potwory wodne udające wyspy.

Czasem nurkuję w tę ciemność, ale tylko do czasu,
aż wszystko stanie się jasne i umywam ręce.
Wtedy wychodzę na brzeg i trafiam na słoneczną plażę.
Biorę głęboki oddech i czuję się dużo lepiej.

Najchętniej podróżuję nie wychodząc z domu.
Znam dźwięk wiertarki każdego z sąsiadów,
rozpoznaję ich kaszel i kroki na schodach,
repetycje Beethovena grane przez sąsiadkę.
Zamykam drzwi, otwieram okno, wietrzeję.

### Odbicia

Stojąc przed lustrem oglądam swoje linie papilarne
i zastanawiam się, co muszę zrobić, by miały znaczenie.
Nie lubię, kiedy coś się marnuje. Za lustrem, za ścianą

wije się rzeka dzieląc kraj na dwie zazębiające się połowy.
Podobno płynie w nas ta sama rzeka – czysta z naszej strony,
zakażona z drugiej. Może przez ten dysonans wokół niej

kwitną cmentarze i asfalt; obwieszczają drogę
i jej zakończenie. Odbijam się od tafli w miejscu,
w którym słowa są krótsze, niż echo. Milkną.


# TWOJA KSIĄŻKA W SERII WYDAWNICZEJ
# Literatura XXI wieku - Współczesna poezja polska, Najnowsza proza polska

**Zapraszamy autorów chcących wydać swoją książkę pod patronatem „Migotań" w Fundacji Światło Literatury do nadsyłania propozycji.**

**Oferujemy:**

- Wysoką **jakość** wydania.
- Profesjonalną **redakcję.**
- **Oprawę graficzną i wydawniczą** (zależnie od potrzeb i koncepcji dostępna jest oprawa wydawnicza lub zamówiona u zewnętrznego artysty).
- **Recenzję wewnętrzną** (opcjonalnie na zamówienie autora).
- **Okładkę miękką** na długich skrzydełkach (lakierowaną lub foliowaną).
- Opcjonalnie: **rekomendację książki** w postaci recenzji w „Migotaniach" oraz reklamę wraz ze skanem okładki i/lub fragment książki na profilu Fb „Migotań".
- **Dystrybucję ogólnopolską** prowadzoną przez renomowaną hurtownię Azymut.
- **Standardowy format wydania**, publikacje w stałych seriach: **Literatura XXI wieku - Współczesna poezja polska, Najnowsza proza polska**

Łączny koszt wydania jest ustalany indywidualnie.

Propozycje prosimy nadsyłać na adres: **joalike@gmail.com**
w temacie wiadomości wpisując:
imię, nazwisko, tytuł książki, „Seria Wydawnicza"
Pliki tekstowe w formatach: „.doc", „.odt", „.rtf".
Prosimy o dołączenie krótkiej noty biograficznej.

PROZA

Zofia Maria Smalewska

# CÓRKA DWÓCH MATEK

(Fragment przygotowywanej do druku powieści „Córka dwóch matek"

Zawsze od niepamiętnych czasów liczba 13 była uznawana za pechową. Tak się złożyło, że i mną pewna trzynastka zakręciła wyjątkowo mocno. - Przyniosła mi pecha na całe moje pozostałe życie? Trudno powiedzieć, ale czasami tak myślę.

To wydarzyło się 13 maja 1962 roku. Tego dnia omal nie zwariowałam z nadmiaru szczęścia i obfitości. A tą obfitością było nic innego, jak wiadomość, że weszłam w posiadanie dwóch ojców i dwóch matek.

Zbliżały się moje imieniny Zofii - 15 maja. Korzystając z wolnych dni od nauki, jakie zafundowali nam nauczyciele z uwagi na trwające w klasach maturalnych przygotowania do matury, pojechałam pociągiem ze Słupska do Gdyni.

W domu jak zwykle atmosfera rodzinna niczego złego nie zapowiadała. Pech przyczaił się na mnie nieco później, gdy przeglądałam stare widokówki i kartki urodzinowo-imieninowe, którymi zamierzałam zainspirować się do wykonania kilku okolicznościowych rysunków.

Zawieruszył się wśród nich list zaadresowany znajomym mi pismem wujka Kazimierza, skierowany do moich rodziców w Słupsku.

Ciekawość i wścibstwo piętnastolatki były silniejsze, niż pouczenia dorosłych, że nie otwiera się czyjejś korespondencji.

Koperta była zresztą porozklejana, klej na jej obrzeżach powysychał i mocno pożółkł. Bez zbędnych ceregieli wyjęłam więc list, a raczej dokument spisany odręcznie przez... No właśnie. - Nie mogłam uwierzyć ani własnym oczom, ani czytanemu tekstowi, który początkowo wydawał mi się bardzo dziwny, a przez to i? Nieprawdziwy.

Przeczytałam go raz, potem drugi... Czytałam kilkakrotnie, chcąc najpierw coś z niego zrozumieć, gdyż nie tylko, że dotyczył mnie. On mnie stawiał w dziwnej, zupełnie nowej i całkiem niepojętej dla mnie sytuacji.

To chyba jakiś żart? - Pierwsze myśli kierowały się właśnie w tę stronę. - Żart, nie żart? Więc co u licha?

Pierwszy raz w życiu w ogóle spotkałam się z czymś takim. Pismo adopcyjne. Hmm. I to niby dotyczyło mnie..? Pismo adopcyjne spisane odręcznie pomiędzy dwoma małżeństwami i podpisane przez świadków i akuszerkę.

Rozpięłam bezwiednie sweterek, bo zrobiło mi się gorąco, i z włosów zdjęłam gumkę - frotkę uwalniającą mój koński ogon. Serce mi zaczęło walić tak głośno, że słyszałam go w uszach. Słyszałam też swój własny oddech.

Moja odporność psychiczna nastolatki rozsypała się w gruzy. Poczułam dziwne dławienie w krtani, a oczy samorzutnie zwilgotniały.

Moje długie kręcone włosy chyba się wyprostowały i zwiększyły ciężar, bo opadając bezwiednie na ramiona, zaczęły zakrywać mi twarz, i oczy.

Ja się chyba zabiję! To nie może być prawdą?!.

Że co niby? To ciocia Marysia nie jest ciocią, a mama Janka to nie moja mama? Byłam jedynaczką, a teraz mam... dwie starsze siostry i brata?!

I to wszystko stało się w jednej chwili?!

Los chyba ze mnie zakpił, a ten pechowy dzień - trzynastego - naprawdę musiał się zdarzyć?, odkrywając tak bardzo zaskakującą i tak dziwaczną dla mnie w tym momencie, nagą prawdę.

Z pisma jasno wynikało, że moimi biologicznymi rodzicami są Maria i Kazimierz Ligoccy, a siostra - starsza o dwadzieścia lat Janka - jest ze swoim mężem Józefem Piwowarskim, rodziną adopcyjną.

Mama Janka to nie mama, a ciocia to nie ciocia? – Ja chyba zwariuję!

Przypomniałam sobie, że niedawno koleżanki w szkole mówiły, że adoptuje się tylko sieroty i bękarty, czyli dzieci bez ojców... - Nie mogłam pozbierać myśli.

A może ja jestem takim dzieckiem, którego nikt nie chciał i ten dokument to następne wielkie kłamstwo?

Dziesiątki pytań i ani jednego sensownego wyjaśnienia. Pech, czy szczęście? - Mam dwie matki.

Wbiegając do sąsiedniego pokoju za rozsuwającymi się szklanymi drzwiami, spojrzałam na stary zegar z kurantami. Wujek mówił o nim, że jest z Kurowa i pamięta prababkę Laurę, i pradziadka Laszlo.

Zegar, przedmiot taki jak ja, można przewieźć i dać komu się chce bez zgody. W ręku trzymałam ten nieszczęsny dokument, który zadecydował o moim życiu.

Rzuciłam się na łóżko, nad którym wisiał przedwojenny aksamitny lanszaft przedstawiający wędrowca. Wlepiałam w obraz zapłakane oczy. - To ja siedzę teraz na tym kamieniu, przede mną wije się droga kręta i wyboista, zamek, rzeka, las... Co wybrać?

Odwracam się i walę kilkakrotnie głową o poduszkę. -Wszyscy okłamywali i oszukiwali mnie. Moje siostry, babcia i podwójni rodzice.

Czułam się, jak przekazywany sobie przedmiot.

W pewnej chwili odezwał się zegar, wybijając godzinę szesnastą. Spojrzałam w lustro na toaletce, zadając sobie nowe pytanie.

- Urodę pewnie mam po tobie, mamo? Mówią, że jestem mądra i bardzo odważna, to też zapewne twoja zasługa. Bo cóż może wymagać większej odwagi niż oddanie własnego dziecka starszej o dwadzieścia lat siostrze przyrodniej i szwagrowi? W nadziei i z wiarą, że dziecko będzie miało wspaniały dom i opiekę.

Eee. A może nie chodziło wcale o mnie, a tylko o spełnienie pragnienia o dziecku bezdzietnego małżeństwa?

Nawet nie wiesz mamo, że przez całe moje życie będę o tobie myślała... - Wyobrażałam sobie, że jak tylko mnie urodziła, musiała zebrać wszystkie siły i całą odwagę, aby podpisać ten dokument, że się mnie zrzeka na rzecz swojej siostry Janki.

- A może, mamo, ktoś cię do tego zmusił? - Wytarłam oczy i zasmarkany nos, aby spokojniej starać się zrozumieć zaistniałą sytuację.

- Co czuliście oboje, co Wami kierowało?Wojna skończyła się dwa lata wcześniej, był rok 1947. Mieliście dwie starsze ode mnie córki: Krysię i Jadzię, rodzina się odnalazła, nie było aż tak wielkiej biedy. Co więc kierowało wami? Miłość do siostry, czy miłość do dziecka?

Jak wielką musiała być Twoja odwaga przed tak wielkim wyborem. Nie wiem, czy będzie cię ktoś z moich znajomych potępiał, skoro nikt z rodziny dotychczas tego nie czynił. Ja nie dam rady i uszanuję twoją decyzję.

Powoli udawało mi się myśleć chłodniej. Ochłonęłam i opanowałam wzruszenie. I chyba zaczęłam pojmować główne przesłanki tej tajemnicy utrzymywanej przede mną. Przecież znam uczucia do mnie i moich... Tak, prawdziwych rodziców i tych przybranych. Kochali mnie po równo. U jednych i drugich czułam się zawsze kochaną. Zatem główną przesłanką adopcji była miłość.

Chyba niesłusznie w pierwszym momencie źle o tym wszystkim pomyślałam. Zaskoczenie było zbyt duże, nie pozwoliło mi na pełny rozsądek. Obiecuję mamo, że się postaram cię zrozumieć. Przecież mam dopiero w marcu skończone piętnaście lat.

A może aż piętnaście. To jednak dużo, zbyt długo na takie przetrzymanie mnie w niewiedzy. Niesłusznie. Niesprawiedliwie...

Skoro ona jednak przestała być dla mnie tajemnicą, jak teraz zmierzyć się z wyjawieniem, że ją odkryłam? Kiedy? Zaraz, czy jeszcze czekać, na stosowny moment, na jakieś rozsądniejsze rozwiązanie? Aż czas sam kiedyś da mi tą odpowiedź.

- A jeśli zostałaś zmuszona do tej decyzji?Podziwiam cię za odwagę, za miłość do dziecka, które nosiłaś pod sercem dziewięć miesięcy z myślą o tym, że nosisz go dla kogoś innego, dla swojej siostry, nosisz po to, by ją uszczęśliwić.

Przecież wiedziałam już, że moja rzekoma mama nie mogła wcześniej zajść w ciążę, pojawiłam się w jej życiu tak późno i... No właśnie, i tak długo z... wujkiem czekali na mnie.

Jednak trudno było mi opanować płacz. Zmuszona zostałam przecież was dwie matki oceniać, nie mając w tym zakresie żadnego doświadczenia. Byłam przecież jeszcze dzieckiem.

W kuchni myślą, że rysuję. A ja?.. Szukałam inspiracji, no to znalazłam, ale... przecież nie o taką inspirację mi chodziło.

Nadal nie mogłam skupić myśli na czymkolwiek innym. Skupiłam na cioci. To znaczy na drugiej mojej mamie. Ona przyjęła też wielkie wezwanie na owe czasy, wykazując się dużą odwagą, podejmując trud opiekowania się mną, karmieniem i wstawaniem po nocach. Byłam przecież od urodzenia bardzo chorowitym dzieckiem. Zawsze mi to mówiła, opatulając szalikiem, gdy wychodziłam na zewnątrz.

Raz jeszcze wytarłam oczy i zajrzałam w lusterko, poprawiłam włosy. Zegar akurat wybił godzinę dwudziestą. Musiałam wrócić do kuchni.

Odmówiłam kolacji wymówką, że boli mnie żołądek.

Ciocia... Marysia przyjrzała mi się uważniej. - No, nie wyglądasz najlepiej. - Podeszła do kuchennych naczyń i zaparzyła mięty, strasząc przy tym, że jak mi nie minie, to znaczy nie przejdzie do rana, będzie musiała naparzyć piołunu.

Brr... Tylko nie to świństwo. Przez noc muszę się pozbierać, z moimi rozczochranymi myślami.

Zresztą nie tylko myśli zachorowały. Wewnątrz wszystko mnie okrutnie bolało, a najbardziej dusza. - Mamo Janko co mam zrobić?Znałam cię od zawsze, od urodzenia, byłaś mi tak bliska sercu. Zrobiłaś wszystko, aby ukoić cierpienie młodszej siostry?

Kiedy poznałam prawdę, uzmysłowiłam sobie, jak walczyłyście o moje kruche zdrowie. Robiłyście wszystko, abym miała szczęśliwe dzieciństwo, ładne sukienki, zabawki.

Hmm... chyba jestem szczęśliwa - pomyślałam. Dobrze się rozwijam, jestem piątkową uczennicą i staję się coraz lepszą sobą. Obie matki są ze mnie zadowolone.

Tak, czułam, że kocham je obie, ale mój żal był większy od doznawanej miłości. Wiedziałam to, ale nie rozumiałam tej okrutnej prawdy, którą poznałam tego dnia. Tego feralnego dnia - trzynastego maja.

W salonie domu w Gdyni, jak tylko pamiętam stał stary, rzeźbiony motywami roślinnymi zegar. Był on dobrym duchem nie tylko tego domu, ale i moich pradziadków Laury i Laszla. Jego rodowód ciągnął się od Kurowa, od roku 1880.

Zegar odliczał minuty i godziny życia kilku pokoleń mojej rodziny. Podobno zatrzymywał się zawsze w godzinie śmierci któregoś z jej członków lub zaczynał bić bez powodu, kiedy w rodzinie coś bardzo ważnego wydarzyło się.

Zegar miał przeszklone drzwiczki ozdobione roślinnym akantem. Zamykane one były na malutki kluczyk.

Wewnątrz zegara znajdowała się skrytka, jak sama nazwa wskazuje - na bardzo ważne dokumenty, zdjęcia i inne sekrety.

# CÓRKA DWOCH MAT

Zegar ten wędrował z rodziną przez całą zawieruchę wojenną. Kiedy byłam już dorosła, zobaczyłam go w Szczecinie w mieszkaniu Macieja Możejewskiego. On pierwszy zmarł z całego rodzeństwa Możejewskich. Zmarł w Ameryce. W dniu jego śmierci zegar zatrzymał się i już nie dał się uruchomić. Pękła główna sprężyna. W takim stanie żona Macieja oddała go do Desy.

Wracając do tamtejszego majowego popołudnia, schowałam otwarty list do skrytki w zegarze, powierzając mu odkrytą przez siebie tajemnicę. I wtedy... kuranty zaczęły bić, jak na zawołanie.

Wystraszył mnie tym mocno, ale już po chwili wróciło jego miarowe tykanie: tik tak, tik tak... Wyglądało to tak, jakby zaczął odnowa odliczać dla mnie czas.

Miarowe tykanie zegara po chwili złagodziło mój szok, jakiego wcześniej doznałam.

Moje kuzynki w jednej chwili stały się siostrami, a kuzyn - młodszym bratem. Siostry były starsze i już pełnoletnie. Czy one wiedziały, kim jestem dla nich, czy też to było utrzymywane w tajemnicy?

Nigdy nie odczułam, że jest coś na rzeczy, choć bardzo byłam podobna do najstarszej siostry Krysi. Mylił nas czasami ksiądz Szulta, kapelan i proboszcz Parafii Witomina, przychodząc na kolędę, lub gdy był proszony na inną uroczystość rodzinną. Moim znakiem rozpoznawczym był pieprzyk na lewym policzku, a u Krysi, na środku czoła.

Myślę, że proboszcz wiedział o wszystkim. Był spowiednikiem rodziców i przyjacielem domu od czasów wojny.

Tajemnica i zakaz w całej rodzinie mówienia prawdy był wtedy dla mnie niezrozumiały. Nie byłam sierotą, ani podrzutkiem. Czego więc się obawiano?

Nie czekając do 15 maja, porannym pociągiem wyjechałam nazajutrz do domu w Słupsku. Nie byłam gotowa z kimkolwiek rozmawiać i poruszać ten drażliwy temat.

Co robić i jak postąpić? Sama sobie zadawałam pytania i szukałam odpowiedzi także przez cały czas tej podróży.

Byłam uczennicą pierwszej klasy technikum, świadectwo zapowiadało się z wyróżnieniem, a nawet z nagrodą. Mimo to mój poukładany świat nastolatki nagle rozsypał się w przysłowiowy drobny mak.

Kiedy wróciłam do domu, oznajmiłam że chyba złapałam grypę, bo źle się czuję. Uciekając w chorobę, pragnęłam przede wszystkim izolacji od tego zakłamania, jakie na mnie spadło, jakie dotknęło mnie.

Przeleżałam w swoim pokoju tydzień, nabijając ciepłą herbatą termometr do 38 C. Nie odpowiadałam na pytania rodziców, nie wychodziłam z domu. Nawet posiłek był dla mnie złem koniecznym.

Bolało mnie wszystko, a najbardziej dusza. Zawiodłam się na najbliższych. Już lepiej, abym była podrzutkiem, lub sierotą. Czy naprawdę ktoś mnie kocha i jestem na tym świecie potrzebna?.. Musiałam tego wszystkiego się dowiedzieć.

W końcu zdobyłam się na odwagę. Postanowiłam nie kluczyć. Zaczęłam od rozmowy z mamą Janką, zadając jedno proste pytanie? - Czy to prawda, że jestem adoptowana przez was, a moimi prawdziwymi rodzicami są ciocia i wujek?

Mama najpierw, jakby zaskoczona pytaniem, spojrzała na mnie swoimi ciemnymi, wyraźnie powiększającymi się w tym momencie oczami, po czym gwałtownym ruchem rąk przytuliła mnie mocno do siebie i wybuchnęła płaczem.

- Prawda córeńko. Prawda jest taka, że jesteś dla nas najwspanialszym darem niebios, a o to, co się stało, nie możesz winić ani mojej siostry Marysi, ani jej męża.

Miałam ci to powiedzieć, jak będziesz starsza. Za długo czekałam i... to był błąd.

Moja przybrana matka z trudem opanowywała wzruszenie, robiąc dłuższe przerwy w wypowiedziach. Nie zwalniała jednak przytulenia, jakby w obawie, żeby mnie nie utracić.

- Decyzja, jaką podjęliśmy, była najlepsza dla ciebie dziecko, bo oni nie mieli pieniędzy, aby cię leczyć i wychowywać.

Wyrwałam się z jej objęć i rozpłakałam spazmatycznie. I zaczęłam krzyczeć:

- Mamo! O tym wiedziała cała rodzina w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie! Widziałam podpisy świadków na dokumencie! Nawet położna! Ukrywaliście to przede mną tak długo, jakbym była jakimś przedmiotem. To było wstrętne!

Pogubiłam się, nie wiedziałam, co jeszcze wykrzyczeć. - Wierzyłam wam w każde słowo... - znów pozwoliłam wtulić się w jej ramiona. Łkałam coraz głośniej.

- Co miało być dla mnie lepsze? Odpowiedz! - Ale nie odpowiedziała. Ból, jaki sobie nawzajem zadałyśmy, nie pozwalał już ani jej, ani mnie, na jakąkolwiek dyskusję.

Sama odtąd, z dnia na dzień oswajałam się z nową sytuacją. Nikt ze mną już nie rozmawiał. I nie wiem, czy znalazłby się w tych czasach ktoś, kto udźwignąłby ten temat.

Skoro już dowiedziałam się, kto jest kim dla mnie, musiałam jednak wyjaśnić jeszcze to najważniejsze. Jak mam się zwracać do cioci i wujka, kiedy są mamą i tatą?

Kochałam też bardzo obojga przybranych rodziców i byłam tego pewna. Jak mam zamienić ich w tych rolach w bezpośrednim zwracaniu się do nich?

Miesiąc później odebrałam świadectwo z nagrodą i rozpoczęły się wakacje. Postanowiłam sama pojechać do Gdyni i sprawę wyjaśnić do końca.

Rozmowa z biologicznymi rodzicami była dla mnie bardzo trudna, a atmosfera napięta, wręcz o mało nie tragiczna.

Po oznajmieniu im, że znalazłam pismo adopcyjne i wiem już o wszystkim, mama Maria bardzo się rozpłakała i nie mogła odpowiedzieć na żadne moje pytanie. W pewnym momencie zrobiła się bardzo blada i złapała się za serce.

Interweniowało pogotowie i na szczęście po podaniu leków, wszystko się unormowało.

Wtedy podeszłam do niej i pierwszy raz powiedziałam: Kocham cię, mamo!

Tego dnia już więcej nie rozmawialiśmy na ten temat. Na drugi dzień ojciec Kazimierz zawołał mnie do swojego pokoju i poprosił, bym usiadła na kanapie.

- Gdzie Zosiu masz ten list? - zapytał.

- Tam, gdzie chowacie ważne dokumenty, w skrytce zegara.

Ojciec otworzył skrytkę, wyjął dokument z koperty i zaczął głośno i wolno czytać, tak abym go rozumiała. Tłumaczył każdy fragment, po czym wyjaśnił ze spokojem, że zrobili to z mamą po długim namyśle i rozmowach, dla dobra małżeństwa jej starszej siostry Janki i szwagra Józefa, którym bardzo ciążyła bezdzietność. Podpisując ten dokument, złożyli ślubowanie, że nigdy się nie rozstaną, a Józef od tej pory nie będzie pił alkoholu i zaopiekuje się rodziną. Po latach ojciec wie, że tej przysięgi dotrzymał.

Dla nastolatki wszystko stało się jasne. Byłam lekarstwem na zło czające się w tej rodzinie.

- Czy wujku mogę mówić do ciebie od dzisiaj tato?

Tatuś uścisnął mnie mocno i pocałunkami pokrył moją głowę.

Inaczej nie mogłam wtedy chyba postąpić. Historia, aczkolwiek z dramatycznym nieco przebiegiem, na szczęście dla wszystkich skończyła się happy endem. Mając odtąd podwójnych rodziców w jednej rodzinie, poczułam się wyróżniona przez los, który jednocześnie zdjął przysłowiowe fatum z liczby trzynaście.

***Zofia Maria Smalewska***

Zbigniew Kresowaty

ESEJ

Urszula M. Benka

# MARIANNA WIEDŹMA

By pojąć, w jakiego rodzaju paściach szamotała się Marianna Bocian, jedna z najdumniejszych twórczyń polskiej powojennej poezji, romantyczka – no, bo chyba tylko tym terminem dotknę istoty jej przesłania – miejmy na uwadze, że jej świat był światem męskim. Mężczyźni jako inżynierowie kształtowali materię cywilizacji natarczywie syntetyczną, toksyczną, a podręczne przybory: suszarki, golarki, zegarki, noże, zabawki, szczoteczki do zębów, notesy przestawiali na zasilanie nieodnawialną energią kopalin. Mężczyznami byli rektorzy wyższych szkół, formatujący kulturę myślenia oraz stawiania pytań, kulturę obcowania z niewiadomymi. Męskość poustalała kryteria mistyki i sztuki, wytyczała tory refleksji nad ich sensem i treściami. Sprawiła, że w stosunku do poezji i kobiecości utkwiło coś hieratycznego.

Zwykle pomija się milczeniem to, iż płynną świetlistą szlakę romantyzmu, poetyckich widm i tęsknot za przemianą ludzi w anioły wlewano w formę, jaką utworzyły świdrujące ucho odgłosy rewolucji technicznej, tryby i tłoki błyszczącej smarem maszyny parowej, jak pisał Karol Libelt, roztaczającej wokół „swąd węgla kamiennego". Romantyzm, sam przekonany o „równokształtności pejzażu naturalnego i pejzażu mentalnego"[1], utyłłany, umazany rzeczywistym swoim pejzażem zagłady naturalnego środowiska, śmierdzi zdechłą rybą jak zmieniona w przemysłowy ściek Sekwana, nawet jako twór czysto wirtualny. A poezja? „Służba  u tej ezoterycznej muzy jest rodzajem religii i z religijną czcią powinien ją traktować czytelnik"[2].

Poezja krzepła w wodzowską pięść, kult władzy nad duszami wraz z taśmową produkcją przedmiotów, wmaszerował do pejzaży *Pana Tadeusza* (pisanego bez oddechu psychicznego, natomiast w kąsanej biedą hałaśliwej kamienicy z nocnikami w szafkach, w zadymionym mieście dorobkiewiczów i zawziętych szpicli z *Nędzników i Komedii ludzkiej*) – nabrzmiał w Polsce. Wyczuwając ubezwłasnowolnienie, otępienie a wreszcie rozszczepienie umysłu, jakie wmuszała ta dewocja, Norwid spodziewał się epoki „normalniejszej". O szczyptę rozsądku upraszali Boy, Brzozowski, Gombrowicz, a Krzysztof Gąsiorowski pisał o bliskim już „końcu czarnego poloneza". Maria Janion odkrywała tymczasem pikający jak rdzeń w zepsutym reaktorze, kult wręcz mroczny. W oczach Marianny Bocian mroczne promieniowanie było atrybutem wyłącznie militaryzmu, konsumpcjonizmu, wreszcie wiszącej nad światem wojny jądrowej.

Zostawię na razie jej czarne przepowiednie i wrócę do realnej przestrzeni. Męska przestrzeń osadza psychikę pośród duchowych skrótów z natręctwem eliminowania fenomenów nieekonomicznych. Odkrycie za pośrednictwem sztuki stało się produktem jednorazowego użytku, inaczej traciło aureolę nowatorstwa – spadało w breję epigoństwa i twórczej impotencji. Z kolei nowość oznacza profanowanie wzorców kanonicznych, a przeto lęk, iż obraza tego bożyszcza ściągnie karę. Być może pogoń za oryginalnością kolejnych, coraz pośpieszniejszych, coraz płochliwszych, krótkotrwałych, coraz mniej wiążących profanatorskich nowości pozwoliła kanonowi przetrwać. Wykazała odporność kanonu. Kanon negował ciało. Nawet ciało sztuki jako artefaktu. Owszem, ciało stawało się jawnie obecne w migawkowej mgle doktryn, doktryn wszakże już tylko estetycznych, tedy w żadnej z nich nie zaczerpywało tchu do podjęcia fundamentalnego dyskursu.

Męską wyższość nad ciałem artefaktu, przyrody i kobiety współtworzyły oczywiście również panie, czy to czarując sex-appealem, czy też odżegnując się odeń. Już dopuszczone na mównicę, nabrały zwyczaju wyszarpywać mikrofon i rozkładać swoje życie uczuciowe na czynniki pierwsze, wprowadzać do każdej decyzji racje wyższe i głębsze, jednym słowem – niemiłosiernemu męskiemu prostactwu przeciwstawiać niemiłosierne komplikowanie spraw. Przykładowo, patrząc na rzekę, Bocian ucieknie się do sformułowań:

> ... Rozjarzasz mój umysł światłem tajemnicy
> Usiłuję w tobie odczytać podobieństwo
> Spełnień w czasie przemiany

Czym był romantyzm Bocian? Na pewno nie swobodą ekspresji tego, co w nas najprawdziwsze. Ani prawem do odrzucania Mickiewicza oraz pruderii., nie mówiąc już o odrzuceniu przemysłu – to właśnie brak cywilizacyjnych udogodnień był zmorą komunizmu Na gruncie płci i poezji wymagana była stylistyka zachowań, z sankcjami jak przy naruszaniu etykiety w dyplomacji: ośmieszenie, ostracyzm, odstrzał. Eliminowano zachowania intuicyjne, sentymentalne. Seksualność, zmysły a i wrażliwość na „tajemnice", są w niej środkiem do celu, jednym z narzędzi sprawowania władzy. Problem się zaognił, kiedy zjawiska kojarzone z kobiecością zaczęto programowo podważać, w tym rzecz tak sztuce bliską, jak reakcja fizjologiczna: zachwyt, dreszcz, łzy, podniecenie. Zastąpiono ją poczuciem racjonalnie uzasadnionej satysfakcji. Powściągano też bałagan odczytań zastępując go wiedzą, co już od tysiąca lat jest praktykowane w życiu religijnym. W kulturze męskiej więc, dzięki edukacji oraz mediom obowiązkowa i masowa, książka poetycka nabierała cech masy takiej, jak ją rozumieli Ortega y Gasset i Canetti.

Owocem tego stało się pojęcie kobiecej poezji, pobłażliwego a nawet litościwego pejoratywu – gdy mówiła o pokwitaniu i przekwitaniu, oddaniu, macierzyństwie, tym bardziej, gdyby szło w parze ze wstrętem. Chyba pierwszym wyłomem, budzącym nad Wisłą, choć tylko na krótko, męski respekt, był perfekcyjnie bezemocjonalny, wydany w 1972, 6 lat po debiucie Bocian, tomik Anny Świrszczyńskiej *Jestem baba*. Zadecydowało samo jasne postawienie sprawy, „przyznanie się", aczkolwiek bardzo nieśmiałe w porównaniu z dawno już wtedy powstałą a tylko wciąż niewydaną (mam na uwadze sam impuls stworzenia takiego dzieła, uwolnienia swojej kobiecej seksualności) *Deltą Venus Anaïs Nin*. Inne cenione poetki preferowały ikonę intelektualnego wampa, pokonującego mężczyzn ich własną bronią, och, udoskonalaną. Rangę kobiecemu nazwisku mogła nadać chyba jeszcze tylko wczesna śmierć, najlepiej samobójcza lub gwałtowna. Taką więc upozowaną na wampa literackich kawiarni Mariannę Bocian – o męskim pseudonimie Janusz Bełczęcki – powitano z zaciekawieniem. Była w  młodości wybitnie piękną, drobną blondynką. Na domiar wieśniaczką, na co aż oblizywali się lowelasi. Chodziła w czarnym kapeluszu z szerokim rondem: tak ubraną upamiętnia najlepiej chyba znany jej portret, Zbyszka Kresowatego. Postać na nim jednak jest już z okresu, gdy poetka we wrocławskich kręgach miała opinię starej wiedźmy.

Na początku lat 90' oblegało ją wielu młodych autorów, dopytujących o tajniki sztuki poetyckiej tudzież, znacznie dociekliwiej, o możliwości wejścia, zaistnienia. W odczuciu części z nich, choćby niezależnego Leszka Budrewicza, „była chodzącą wcieloną literaturą, papierosy na końcu lufki nosiła tak, jakby chciała każdym spalić przysłowiowy Paryż. Była daleko w wierszach i nie tylko, od tematów politycznych, pisała żywiołowo, często potem bez selekcji. Była jednak gotowa przepisywać za darmo cudze opasłe tomy, jeśli nie mogły doczekać się uznania u wydawców albo cenzorów". Ten szczegół – brak uznania ze strony wydawców – znam z rozmów z twórcą wysmakowanego warszawskiego Przedświtu, Jarosławem Markiewiczem: gdy otrzymywał jakiś śmietnik płodów poetyckich, odmawiał wydania. Jedna z autorek, ambitna uczestniczka wszystkich możliwych konkursów na wiersz, wielbicielka jurorów, chciała pokryć koszty włącznie z wynajęciem „swojego" grafika; owszem, miewała błyskotliwe, prowokatorskie zdania, spiętrzenia niekonwencjonalnych skojarzeń, ale Jarosław Markiewicz był nieugięty: papka buntowniczych wykrzykników to jeszcze nie piękno wiersza. Marianna znała jej twórczość, zachęcała do niezłomnej walki z byciem „cenzurowaną" przez „kogokolwiek". Jednak ci, co odnieśli sukces, po „etapie Marianny" szukali u następnych uznanych person pomocy a zwłaszcza szumnych recenzji. To już okres, gdy w charakterze recenzji wykorzystywano prywatne maile, po koleżeńsku entuzjastyczne, lub zlecano odpłatne laurki. Tym samym Bocian lokowana była już na bocznicy. Pisarze z jej pokolenia też zaczynali się dystansować, niegdysiejsze zestawienia jej z Szymborską i Hartwig zakrawały na żart. Prędzej już przychodził na myśl przydomek Robespierre'a: *incorruptible*. On wołał: „zdobyliśmy świątynię wolności rękoma wciąż skutymi kajdanami despotyzmu" – co Bocian zmieniłaby tylko na – „kajdanami podłości i chciwości." Wytykała, gwałtowna, brutalna, że zapełniają tamy pism i półki księgarń zamożni i udający takich, a funkcje redaktorskie obejmują pozbawione charakteru osóbki sprawne tylko w marketingu. Talent stał się zawalidrogą.

Jej odwaga okazana w stanie wojennym straciła glorię, nawet zaczęła trącić myszką, a dodam, że Bocian potrafiła się przyjaźnić z ludźmi pozostającymi przy marksizmie, ci zaś darzyli ją szacunkiem nawet, jeśli dyskusje przestały by możliwe. Marianna nie miała mieszkania, gdzie mogłaby prowadzić salon literacki i nie miała pieniędzy na kawiarnie, nie miała wyjściowych ubrań. Poza tym Empik zamieniono na sklep. Niezłomni marksiści natomiast tracili pracę i opuszczali Wrocław szukać chleba na prowincji. Łączyła ją z nimi postawa definiująca nasze, dzisiejsze, romantyzmu rozumienie jako maksymalizmu, jako pokusy zbliżania się do tabu, tyle że Marianna nie umiała wykrztusić słów de Lautréamonta: „Moja poezja nie będzie miała innego celu niż atakować wszystkimi możliwymi sposobami człowieka, tę dziką bestię, i Stwórcę, który nie powinien był począć takiego plugastwa." Ufała Bocian, że uda się wyminąć Marksowskie konsekwencje zakwalifikowania człowieka jako jednego ze zwierząt.

Uznaniem darzono ją jakby z dala. Poznań, Zielona Góra, Lublin, Gdańsk, Warszawa, tu i tam na Dolnym Śląsku.

Jeśli jednak wchodzę na grząski, przyznam, niesamowity grunt selektywnego romantyzmu idei, tak więc selektywnej odwagi, to czy przynajmniej odnajdę u Bocian, kobiety samotnej, wrzask i wściekłość ciała, które lepiej *rzucić wilkom w bór za borem niż nie zaznać pieszczot choćby nawet z potworem*, jak to postawił poeta z jej stron, zza Wisły, też gardzący kłębowiskiem żmij codzienności literackiej, też głodny cielesnej pieszczoty? Czy ona mogłaby od siebie powiedzieć jak Anais Nïn w *Kazirodcach*: „Pragnę zobaczyć, jak wszystko staje w płomieniach - i sama w nich zginąć. Mam cały czas uczucie, że życie mnie rani, rani dotkliwie, chcę je więc zniszczyć, spalić razem ze mną. Chcę oddać cios, oddać go tak silnie, że spadną głowy, roztrzaskam na kawałki, zmiażdżę całą doskonałość, cały kłamliwy spokój, całe sztuczne piękno, całą lakierowaną powierzchnię życia, jego fałszywą muzykę, barwy, kompozycję - jego oprawę, wszystkie parafernalia, którymi nas mami, zwodzi, obiecując rozkosze zmysłowe, wytchnienie. Nienawidzę walki, walki, jaką jest życie, chcę, żeby ostatnia walka była straszliwa, tak straszliwa, że stanie się naprawdę ostatnią. Tak, ostatnią, pragnę, żeby nadszedł wreszcie kres, z mojego ciała sterczą niezliczone banderille, zionę ogniem, jestem wściekła po prześladowaniach i pojedynkach, po paradoksalnie kulturalnych kłótniach - och, farsa, jaką są nasze kłótnie, nasze pojedynki w aksamitach i koronkach". Nie wiem, czy potrafiłaby, ponieważ musiałaby zakwestionować albo coś w sobie, albo w swoim płomiennym romantyzmie, a więc zgamagać się nie tylko z trupem odbiorcy, ale trupem natchnienia. Musiałaby też inaczej spojrzeć na romantyzm: jako na czas wstydliwej erotycznej samopogardy kobiety; madame de Staël mawiała przecież, jakże dowcipnie, przez mężczyzn oklaskiwana, że nie chciałaby być mężczyzną, ponieważ wtedy musiałaby poślubić kobietę.

Zbigniew Kresowaty

Bocian nie mogła nie wiedzieć, że fenomen ciała tymczasem jeszcze przed II wojną światową przykuwał uwagę kontestatorskich umysłów Zachodu jako przeciwieństwo dyktatur. José Ortega y Gasset pisał o topografii wielkich stref i regionów ludzkiej osobowości, których zarys i charakter wzajemnie się tłumaczą: „Pierwszym jest ta część naszej psychiki [wtopiona w ciało], którą winniśmy nazwać 'żywotnością', ponieważ z niej wyrasta to, co somatyczne i co psychiczne, co cielesne i co duchowe; to wszystko nie tylko z niej wyrasta, ale z niej też ciągnie niezbędne dla życia soki. Każdy z nas jest przede wszystkim siłą żywotną".

Oznacza to, że o różnicowaniu się kultur decyduje filozofia ciała, a problem kultury wolno rozważać jako problem ciała. Jest on oczywiście w naświetleniach poetyckich, zwłaszcza w poezji filozoficznej pełen niedomówień, niekonsekwencji, przeświadczeń umocowanych daleko poza świadomością i poza aparatem krytycznym, jakim rozporządza dzisiaj intelektualista. Mizoginia Zachodu przejawia się zwykle wielobarwną, nawet urokliwą schizofrenią czci dla kobiety zatracającej się w rozwirowanej erotycznej galaktyce (stąd uznanie Henry Millera dla Nïn), bądź zatraconej w źródle niewinności Narcyza – czcią zatem dla kobiety abstrakcyjnej, w tym żeńskich objawień „świętej żeńskości" jak Polska albo Matka Boska, jak prawda, godność, niepodległość, a wreszcie – sama w sobie płeć oraz śmierć. Bliską temu, choć próbującą wytyczyć inny wektor, w innej intencji, zjawiła się konstatacja romantycznego poety Gérarda Nervala: doszło do samookaleczenia – na poziomie ciała doprowadziliśmy do autoagresji. W jednej z wizji widzi on siebie „...w wielkiej kostnicy, gdzie krwawymi zgłoskami zapisano całą historię powszechną. Przed sobą ujrzałem wymalowane ciało olbrzymiej kobiety, ale pocięte, jakby szablą, na części; na innych ścianach piętrzyła się coraz wyżej krwawiąca plątanina ciał, członków i głów kobiet rozmaitych ras, od cesarzowych i królowych do prostych wieśniaczek. Była to historia wszystkich zbrodni, a wystarczyło wpatrzyć się w ten czy inny punkt, by ujrzeć jak rozgrywa się tragedia. – 'Oto skutki władzy udzielonej ludziom - rozmyślałem.- Krok po kroku zniszczyli i posiekali na setki kawałków typ odwiecznego piękna, toż ludzkość nieustanie traci siły i świetność...' I rzeczywiście na smudze cienia wpadającej prześwitem drzwi ujrzałem marniejące pokolenia ludów przyszłości."

Mariannę Bocian nazywano wprawdzie filozofką, jednak nie zdawała sobie sprawy z dokonanej na niej klitoridektomii, owego szczególnego zabiegu kastracji na artystycznej *clitoris*. Ta osobliwa kastracja pozwalała rozporządzać, co jest formalnie i merytorycznie stosowne, godziwe, a co – nie, przede wszystkim jednak tłumiła zmysłowość. Zakreślała jej obcy widnokrąg. Bocian powie w Zakochanych:

jest taka bezkresna miłość
która ciała wyklucza

Na co romantyk Karol Libelt odpowiedziałby może: „Miłość bez czynu nie jest miłością, ale samolubstwem, najbrudniejszym egoizmem". Gdzie indziej wszak prowadzi namiętny wywód:

Niegdyś ty ciało grzechem tu nie było,
Ani przeszkodą na ścieżce świętego,
Skoro Wieczne upostaciawia się tobą
Bezustanności w każdym teraz
I przeistacza czas oddechu
Duchowy w bezkresach kosmosu

Ciało – pierwotna bazylika Oddechu i Słowa,
Co w nim nadało myślom zbrodniczy kierunek?

(...) tak splugawione,w jakich to świętościach?!
Tak katowane przez umysły zbestwionych
i tak niepojęte w znoszeniu cierpienia

lub

Nie pytaj, kto tak bez ustanku pomnaża zohydzanie ciała
W mowie zbestwień, zwyrodniałym obrazie, plugawej muzyce

W płomiennym gniewie odrzucając manicheizm, Bocian tutaj mówi właściwie o ciele w pojęciu chemii; ciału już ludzkiemu natomiast

Pozostała droga ku Doskonałości

Ciało ludzkie – dopiero zdążające na sąd wielkiej niebiańskiej Porty – jak na razie nie ma tej rangi. Bocian tedy mówi zupełnie różne rzeczy jako filozof przyrody i jako człowiek społeczny. Co innego jako chłopka, zamaszyście żegnająca się pod figurą na cd. str.22

cd. ze str.21

rozstaju czy też po prostu majestatycznym drzewem, a co innego jako moralistka. Dla niej wspólnym mianownikiem ocen ciała względnie materii pozostaje ranga nadana cierpieniu. Ciało nabywa praw, ponieważ cierpi, a nie dlatego, że czuje słodycz, rozkosz. Rozkosz ocala godność dopiero, gdy jest scalona z mistyką.

Zdawała się Bocian bagatelizować bunt filozoficzny inny niż wymierzony w marksizm, wydawała się wręcz dezawuować bunt sakralny. Zbyt była, takie mam wrażenie, wpisana w widnokrąg Nowej Fali, gdzie w tekstach poetyckich prawie nie ma erotyków innych niż grzeczne a godziwe, a podmioty liryczne ustawiają swoje uczucia na bardzo wysokim stopniu sublimacji. Tworzyło to rodzaj dyktatu: powtórzę uwagę Ortegi y Gasset, że odejście od zmysłowości implikuje jakiś rodzaj „dyktatury"; mam na myśli problemy konkretnych osób, ponieważ to realni ludzie dali przyzwolenie dla emocjonalnej ekonomiki, opracowywali plany własnej artystycznej drogi, a właściwie należałoby rzec – kariery. I poprowadzili politykę kulturalną. Tekst niniejszy piszę mając lodowatą jasność, jak trudno ich narracji przenikać – bez wzajemnego zażenowania – do stref szukających odmiennego rodzaju autorytetów albo też odrzucających je w ogóle. Twórcy Nowej Fali są ustabilizowani w twardych strukturach. Są pracownikami akademickimi, cenionymi intelektualistami oraz redaktorami. Krynicki lata temu dzielił język na „grzeszny" i „świętą mowę"; poszukiwał czystej nuty, rzeczywistej barwy wyrazu, lecz terminy grzechu i świętości dawno obrosły grubymi liszajami świętoszkowatości, ba – przywodzą skojarzenie z bardzo selektywną wrażliwością na grzech, z bardzo ponadto teologicznie spętaną wrażliwością na *sacrum*. Sam wyraz 'grzech'w Polsce na ogół kojarzy się z łamaniem szóstego przykazania, jedynego, jakie Kościół traktował w miarę serio i na jakim skupił się w Polsce już kapitalistycznej, a przeto, jeśli Jasiek z Jagną poszli grzeszyć do stodoły, to na pewno nie podpalać stodołę ani nakraść tam, ani knuć, ani mścić się jak Kmicic nad Kuklinowskim. Stępienie zgrozy na Szósty grzech objęło większość Dekalogu.

Bocian tymczasem łączyła szczerość z hieratycznością, z nieugiętymi zasadami, apologię materii z wojtyłowskim wezwaniem do „u-sprawiedliwienia" cielesności ludzkiej: uczynienia jej „sprawiedliwą". Łączyła „wszystko co konieczne". Łączyła brutalnie. A w poezji zaniechała estetycznego buntu wobec raz przyjętych przeświadczeń, co wszakże nie mogło, właśnie pod nawałem „tego co konieczne" ulec wyzwaniu czystej, w apollińskim tego znaczeniu, formy. Bo nawet jeśli kosmos był „czysty, jasny i prosty", to zalegała w nim galaretowata zagadka ciał ludzkich, ich mianowicie degenerowania się w wypadku posłuszeństwa – ale też i nieposłuszeństwa zakazowi uwolnienia chuci. Owszem, ta galareta seksualności mąciła krystaliczność kosmicznego modelu. I zarazem nie pozwalała, by apollińskie światło osiągnęło swoje apogeum – ciemności absolutnej. Noc u Bocian pozostaje więc mdła, ani najczarniejsza, ani obezwładniająca, zachowuje swoje oznakowania, swoje gwiazdozbiory, swoje przewidywalne lunarne fazy jak książka z podkreślonymi linijkami, niemniej uosabia nieporządek, a poetka chce ją poddać „Prawu", „Bogu" i, jak Majakowski, zagryza w końcu gardło własnej pieśni. Inna sprawa, że wiedziona słuchem poetyckim dochodziła do niezwykłych wersów:

*... wszelka czerń żałobna ginęła*
*następowały cienie po cieniach*
*nie było nawet ciszy śmiertelnej ni milczenia*
*jakby wszystko przemieniało się w krzemień*
*który bity, tłuczony, odpowiada tylko głosem światła –*

i właśnie to przełamanie symboliki niemoty kamienia błyskiem skrzesanego brutalnie światła, czyni z nudnawego wiersza jakiś pionowy kształt geniuszu. Co natychmiast jednak jest unieważnione – przemówiła „tylko światłość", a poetka podąża w opis zewnętrzny jesieni, zbliżającej się agonii. Śmierć to śmierć, bezpłodność, jałowość, dezintegracja, podczas kiedy Bocian chce wielbić pęczniejące brzuchy nasion, pąków, chce wielbić ich innocencję, ich posłuszeństwo – sama by zapewne napisała to od dużej litery: Posłuszeństwo.

Zjawisko mnie intryguje, ponieważ pozornie przeciwstawny Nowej Fali, najdalszy od moralistyki Rafał Wojaczek o miłości cielesnej też mówi abstrakcyjnie: niby wiemy, że chodzi o żądzę, seks do bólu, ale czułość ma odcień tylko duchowy i autotematyczny. Opisany jest zresztą ból w większym bez porównania stopniu niż przyjemność. Ciśnie tu się kapitalna uwaga Fromma z *Zerwać okowy iluzji:* „Dlaczego jest tak, że mężczyzna, który dotąd wydawał się znacznie mniej zdolny do miłości niż dowolna osoba, obecnie zakochal się tak, że woli raczej umrzeć niż żyć bez swojej ukochanej? Dlaczego jest tak, że chociaż jego miłość jest wszechogarniająca, równocześnie najwyraźniej nie potrafi on zdobyć się na żadne ustępstwa, zrezygnować z określonych wymagań, sprzecznych z oczekiwaniami kobiety, którą kocha? Dlaczego, kiedy mówi o swej stracie, mówi głównie o sobie i o tym, co jemu się stało, a względnie mało uwagi poświęca uczuciom kobiety, którą tak bardzo kocha?" W wypadku Wojaczka oznaczało to unikanie pracy i alkoholowe ciągi tudzież zdrady, zresztą i napady szału, histerii, bicie pięściami, dziarganie sobie rąk. U duchownych oznaczało odmowę dyskusji nad piekłem molestowanych dzieci, kobiet nieakceptujących macierzyństwa, wreszcie prekariuszy. U Bocian respektowanie norm moralnych. Jej miłość do „Naturalności" wykluczała się z chaosem naturalności, z kompletną przypadkowością w naturze piękna i dobra. Bocian, stojąc na stanowisku „żadnych kompromisów!", przeżywała więc bunt ograniczony do komunizmu, i to jedynie w Polsce, względnie w pobliskim bloku państw w Europie, regionie, pamiętajmy, stanowiącym „Polskę prawdziwą", przedrozbiorową. Ceną buntu przeciwko niej byłoby wszak odrzucenie „prawdziwych wartości". Obrona oznaczała tym samym zwieranie szeregów. Istotnie, Prawda i Prawo, pisane przez Bocian od wielkiej litery, obsedują. Tak natarczywie są wskazywane krawędzie swobody, za jakimi zieje podłość i hańba, a w chwilach idyllicznych tak natychmiast pada cień Zła i wzniosłe „idź precz, szatanie", że bezwiednie liryk przeobraża się w homilię a komiczność, tragedii drugie ja, w bezczelność.

Po raz pierwszy przeżyłam głębsze poruszenie tym, co Bocian tworzyła, na wspomnieniowym już wieczorze w bibliotece jej imienia przy ulicy Chociebuskiej; recytowali wiersze Bogusław Kierc, emfatycznie, i Danuta Bednarek, cicho i spokojnie. Długie wiersze, które, wcale nie kryję, zwykle mnie drażniły racjonalnością, homiletycznością, usłyszałam wypowiadane bez deklamatorskich przerysowań, bez karcących pokrzykiwań, znaczącego zawieszania głosu z rozglądaniem się po publiczności z wyciągniętym palcem. I dzięki temu nie zostało zagłuszone to coś, co Bocian kiedyś ujęła jako siłę rozkwitłych jabłoni, wzrastających lasów. Ta siła, a nie urok ani wdzięk kwiecia, to przekroczenie estetycznej powierzchowności poetyckiego obrazu – właściwie sama pierwotność, jaka sprawia, że słowo również wzbiera czymś, co nazywano Logosem, co wikłano we wzniosłym pustosłowiu teologiczno-filozoficznym, i czego Bocian rozpaczliwie szukała, w imię czego odrzucała wszak wierszy literackość, ale uzależniała – od „wcielenia Słowa w Ciało rzeczywistości", chyba więc od chrześcijaństwa. . Pod koniec zresztą, w ostrych boleściach swojej śmiertelnej choroby, zanotowała wierszem o przytuleniu się do pnia wielkiego drzewa, orzecha, pewnie udami, łonem, brzuchem, piersiami, tchawicą, policzkami – właściwie jak wąż: coś jej stanowczo obcego – i o tym, że w ogóle się nie zastanawiamy, czy roślina cierpi, kiedy odrywa się od niej taka część jak orzech czy jabłko; większość bólu mijay w przeświadczeniu, że to nie ból.

Tym, co zostało uwolnione i w subtelnym czytaniu, i w rozkwitaniu jabłoni, i chyba nawet w nużących *Prostych nieskończonych*, była u Marianny kulistość skojarzeń, jakiś nadmiar przywołanych figur – a może duchów? Powinnam zapewne zaznaczyć, że nie utykuję na poruszaną kalejdoskopową tematykę, ale miała ona w sobie jakiś rdzeń, metaliczny albo też zbyt metaliczny, przydźwigany z żelaznej rekwizytorni mówienia o narodowym, kulturowym polskim sprzeciwie wobec zła.

... w tym wielobarwnym wśród narkotycznych podniet
elektronicznym łagrze świata
pośród ostrego bombardowania drwiną i szyderstwem

nie znajmy tworzonych zbrodniczonośnych urojeń
znajmy zwycięską uprawę życia w naszej wspólnocie

- ta próbka z *Orędzia Norwidowego* używa Norwidowskiej tonacji, minorowej, wieszczej, tyle że Bocian wyczuwalnie odrzuca druidyczność romantyzmu, jak gdyby przywalała tylko na ekstazę domyślną bo aż tak niedotykalną, omijającą wstydliwie biodra i brzuch, i oczywiście geniatalia, poprzedzoną mnóstwem warunków. To wymóg swoistej licencji na druidyczność. Norwid, tak jak Baudelaire i Mallarmé, sami ją sobie nadali, tak jak Hermes sam nadał sobie boskość, by przypomnieć wstrząsającą analizę Karla Kerényi'ego podobnie jak ważki w romantyzmie nurt neohermetyczny. Obcy Mariannie Bocian, bo sankcjonujący kłamstwo, obscena, fikcję a wreszcie czarostwo i komers, i tandetę w pozłacanej masce heroiczności. Kerényi podnosił wagę paradoksu, nie-racjonalności towarzyszącej przestępowaniu zakazanych progów, a kiedy rozwodził się nad konkretną symboliką mitu o samodeifikacji Hermesa, wiele uwagi poświęcił temu, jak bardzo, jak nieodparcie Hermes, wtedy jeszcze tytan, chce żreć surowe mięso dopiero co zarżniętych skradzionych wołów Apollona. Ponieważ jest w pełnym tego znaczeniu tytaniczny, ma i zachowuje całą niedoskonałość tytana. Składa te woły – przypomnę – w ofierze bogom, w tym dwunastą, bogu nieznanemu, jakiejś pulsującej sakralnej próżni, co nie ma nic wspólnego z sublimacją swojej drapieżnej tożsamości, z wyrzeczeniem się jej i usunięciem pod interesowną maską złożenia w ofierze czemuś wyższemu, a tylko równa się runięciu na kolana wbrew „wszystkiemu". U romantyków brak już tej naturalnej zgody na drzemiącą w nas bestię. Romantycy pisali raczej o rozdarciu, o ohydzie pokusy, filozoficznie renesansowi, nie licząc Lautréamonta, powtarzający za Mirandolą, że człowiek to brzmi dumnie.

Dla nich tym samym bestialstwo jest nieludzkie, zbrodniarz tym samym musi pokutować albo cierpieć piekielne męki. Krótko mówiąc, romantycy czerpali z mitologii średniowiecznej przez filtr renesansowego racjonalizmu oraz teologii już po jej zwycięstwie nad pogaństwem. To renesansowy a potem oświeceniowy paradygmat wyznaczył im zakres i metodę poznawania średniowiecza oraz pogaństwa. Gdy tymczasem New Age odkrywa w nim kosmiczną religię nagiej małpy, nie dającą nam wciąż spokoju. Właśnie w jej średniowiecznym, a więc ludowym, *bezumnym* kształcie bardziej niż antycznym, zracjonalizowanym.

Mariannę Bocian przenikała nieufność wobec ludzi chcących sie kojarzyć z wielkimi ideami. Raz uruchomiwszy to nastawienie, widziała we wręcz mikroskopowym powiększeniu wszystkie fałsze, narcyzmy, stępienia moralne. I, niestety, podobnie odniosła się do samych w sobie idei New Age. Traktując rzeczywistość w kategoriach socjopolitycznych, postulatywnych, sprowadzałoa *sensus sacralis* do już ukształtowanych formacji religijnych. Miały dawać rękojmię dobra – alternatywą był, ma się rozumieć, wybór zła, na razie kojarzony z komuną, nazizmem, rewolucją narkotyczno-seksualną lat 60'. Kościelność miała uświęcać rzeczywistość. Zapewne to upraszczam, bo w latach 80' na łamach „Zeszytów Literackich" pisał Adam Zagajewski o całej armii widm potrafiących wtargnąć nam w teraźniejszość, w wyobraźnię mieszkańców Środkowej Europy, z sugestią, że umarłych należy pozostawić umarłym. Śladowe polskie New Age, choćby ustami Henryka Wańka, który nazwał Góry Śląskie cmentarzem nieśmiertelnych, mówiło coś diametralnie przeciwnego: śmierć i widmowość to sprawy ogromnie względne a tajemnica i metafizyka to cechy rzeczywistości. „I tam, a nie w obrazach czy tekstach, należy ich szukać. Obrazy to tylko znaki na drodze, usiłujące w symbolicznej postaci powiedzieć coś, co w istocie znajduje się poza sztuką. (…) To świat jest tajemnicą, a dzieła artystyczne mogą o tym tylko skromnie przypominać"[3]. Co Bocian uznawała, ale tylko intelektualnie. Sama była pełna tych duchów i upiorów. Pierwszy z nich: polskość wolna od zła!

Istotnie, rynek kultury zasypały wtedy produkty sakropodobne. Napierały ze wszech stron. Koledzy (jednak zarazem rywale) z Nowej Fali byli częstokroć bardziej od Bocian precyzyjni, wyrachowani; dla nich podważenie „nowoczesności", też będącej dotąd spersonifikowanym autorytetem, przedstawiało się jako kolejna doktryna jednorazowego użytku albo po prostu sezonowa moda. Oni też nie byli gotowi na New Age. Widzieli New Age w kontekście tandety sakralnej, zagubionej młodzieży siadającej na macie w pozycji zen i obrywającej za byle przygarbienie twardym kijkiem, a potem szukającej pożyczki na przerwanie ciąży, no i szarlatanów „naturalnej medycyny". Uczestniczyli raczej w przemianie polskiej humanistyki w sklep sieci Biedronka dla zachodnich produktów kulturowych drugiej jakości. I mamy w rezultacie kram gotowych, estetycznych, o różnej świeżości i przydatności dań do szybkiej konsumpcji (inaczej ryzyko zatrucia), przy niewielkiej ofercie elementów wyjściowych. Znów więc myślę o Barańczaku, genialnym tłumaczu angielskiej barokowej mistyki i średnim Szekspira, zagubionym w potrzebie hołdowania autorytetom bez skazy, co wyznaczyło ocenzurowanie tematu skazy – tyle o niej wszak jako o złudzeniu optycznym mówił Blake, tłumaczony już dopiero przez Michała Fostowicza; o Kornhauserze z jego usztywnieniem, jeśli przyjąć, że najwięcej o mężczyźnie mówi jego córka. *Myślę o albo jesteś z nami, albo przeciwko nam*. Wybili się bardzo wysoko. Marianna pozostała uwikłana w swoją bardziej skomplikowaną, a to znaczy mniej logiczną, psychikę – uwikłana w kulistości. Bo była wieśniaczką. I żyła w pogłębiającym się ubóstwie. Tu wtrącę, że tak zawzięcie stający w obronie nieskazitelności autorytetów, pisarze z jej grupy programowej

Zbigniew Kresowaty

pozostawili ją bez pomocy. Pisze Stefan Rusin: „Choć nie oczekiwała wsparcia duchowego od kolegów po piórze, docierało ono do niej anemicznym strumieniem" – pozostała „*w skrajnej nędzy*" . Pamiętam, jak zdanie Anny Bojarskiej, że mężczyzna, który nigdy nie był głodny, nie zasługuje, aby być kochankiem, Marianna przyjęła entuzjastycznie, pomijając tylko z niesmakiem aspekt pójścia do łóżka. Ale może zbyt wielu znajomych obrońców wolności już wtedy dźwigało przed sobą wypasione brzuszyska i dlatego, patrząc na nich, miala uspokojone libido?

Gdy używam określenia New Age, chodzi mi po prostu o najnowszy czasowo nurt sztuki i myśli, którego czas przypadł na uwolnienie spod cenzury komunistycznego państwa kultury polskiej, o nurt przywracający przednowoczesną swobodę wykorzystywania tradycji kulturowej, swobodę cytatów, inspiracji, rozwijania ich następnie niedostosowawczo do mód i kryptocenzur, i autocenzury, a o tę wolność Marianna Bocian walczyła jako o warunek *sine qua* non autentyzmu duchowego. Nazwa New Age, tak jak Era Wodnika, wnosi powiew romantyki, powiew, jaki nawet stęchłym zaszłościom kulturowych kompleksów szkockich czy irlandzkich nadała czarowności. Uwolnienie duchowe? Kobiecość do tego czasu nabrała wielu praw, miała swój wymiar polityczny, ale także filozoficzny. Camille Paglia pisała o cielesnym aspekcie polityki i politycznym pojmowaniu ciała. Powtórzę: sztuka wydobywa jakieś żeńskie energie bez względu na płeć twórcy i odbiorcy. Ale płeć pod ciągle męskim patronatem, w tym męskiego również (Hermes w powszechnej świadomości utracił właściwości androgyna!) pieniądza w Polsce nabrała innych treści. Marianna odsuwała się od studiów nad mrocznością kobiety, nad mrocznością ideałów.

New Age dojrzewało za ostatniej dekady PRL. Mariannę bezsprzecznie ciekawiły wątki ekofilozoficzne, uczestniczyła w wykładzie na ten temat w Kłodzku, prowadzonym przez Henryka Skolimowskiego, przypomniał mi Dariusz Sas, ciekawy, ostry poeta. Chichot historii wszakże zespawał nas wtedy z umysłowościami kierujących Kościołem oraz Solidarnością, a oba te ośrodki okazały się istnymi wirami racjonalnego niedomówienia. Poezja żądająca dosłowności i skończenia z tępotą nieustającej mowy Ezopowej, z tępotą pogoni za Europą ze snobizmu i tajonego onieśmielenia, wreszcie – z zawiści, sama siebie skazała na potulność wobec najbardziej dyskursywnych wtedy kwestii, zarazem marginalizowana przez rynek kulturalny, pod kapitalizującym się mecenatem oznaczała dla twórców i zresztą także mediów kulturalnych, udrękę ubóstwa. New Age tylko z pozoru reanimował hippisowskiego trupa i wdychał dalekowschodnie kadzidełka. Przywoływał tę rekwizytornię, aby badać przyczyny intelektualnego krachu romantyki totalnej wolności, przekształcającego się w korporacjonizm jako mentalność folwarczną, w multikulti (ten termin znakomicie oddaje powierzchowne „obcykanie" bez zakorzenienia w niczym). Dostrzegał w marszu ku wolności, także wolności ducha, paniczną od wolności ucieczkę. Chciał zrozumieć ją już w innym pryzmacie niż uczynił to Erich Fromm w latach 40' XX wieku. Fromm diagnozował lęk przed autentyczną nowością w kreacji i poszukiwaniach, a także decydowaniu o sobie, jako efekt apatii sakralnej, ale pozostawał cały czas wierny wartościom kulturowym Zachodu jako najwyższym, co z perspektywy New Age nazwano kulturowym narcyzmem. Myśli Fromma były Bocian bardzo, aż za bardzo bliskie. Polskie lata 70', 80' i 90' wydają się biegunowym przeciwieństwem rutyny religijnej, a pomimo tego ucieczka od wolności była faktem, zresztą wcale nie tylko u nas. Białoruś, Rosja, Ukraina, Węgry, Rumunia, dołączyły Turcja i Stany Zjednoczone. Intelektualistka chcąca myśleć bezkompromisowo po prostu tkwiła w tym żywiole. Rozporządzając Frommem i… potrzebą autorytetu.

Jak przyznawali ludzie różnych światopoglądów, a z tytułami naukowymi, miała solidne wykształcenie, ponadto była jak mało kto oczytana, wszechstronna, zdolna prowadzić dyskusje bynajmniej nie tylko literackie i plotkarsko-polityczne, ale przyrodnicze i ekonomiczne; jeszcze przed stanem wojennym podejmowała się animowania kultury chrześcijańskiej – jak to określano, zawsze kładąc akcent na rezerwę wobec prądów ateistycznych, materialistycznych. Robię to zastrzeżenie w roku 2018, kiedy jest już oczywistym ówczesny wektor, utożsamiania u nas chrześcijaństwa z katolicyzmem, zresztą jedynym szerzej znanym Polakom przesłaniem wyrosłym z Ewangelii. Bocian należała do nielicznych mających tu pewną wiedzę. Tak przynajmniej mówili mi o niej pisarze niechętni wobec Kościoła – jeden z nich, podający narodowość śląską, sympatyzował z protestantyzmem.

Przywołuję sprawę religijności, ponieważ Bocian pochodziła z podlaskiej wsi, a wieś jest zawsze religijna; przechowuje wrażliwość na *sacrum*. Na wsi wszakże nie wiedziano, że Marianna para się pisaniem poezji. Ukrywała to. Nie znam powodów. Utrzymywała z rodziną żywy kontakt i spędzała przy żniwach każde lato. Nie sugeruję tutaj fałszu. Wprost przeciwnie. Nie chcę więc zgadywać przyczyn tej podwójnej tożsamości na użytek rodzinnego domu, tyle że z dalszej, czyli mojej, perspektywy widać żyłki łączące te dwa światy; wieś podlaską i rozentuzjazmowany sobą Wrocław. Narzuca mi się skojarzenie Bocian z Jerzym Nowosielskim, on też od samego początku nosił w sercu przekonanie, że najbardziej twórcza jest sytuacja jakiegoś pogranicza: konieczność ciągłego definiowania własnej tożsamości. Tadeusz Różewicz, przyjaciel Nowosielskiego, mówił: „Malarstwo Nowosielskiego, to rozpięte ramiona miłości niebiańskiej i miłości ziemskiej. Rozdarty przez te dwie miłości, malarz przypomina czasem anioła, a czasem nietoperza wiszącego w podziemiach opuszczonej świątyni. Nowosielski jest rozdzierany nie na powierzchni płótna, deski czy muru, ale w podświadomości, poza ramami obrazu". Bez wątpienia, Nowosielski powiązał swoje malarstwo z czasami, w których przyszło mu żyć i oglądać okrucieństwo, patrzeć na mord, na całym pasie pogranicza polsko-ukraińskiego i białoruskiego. Odreagowaniem przeżyć okupacji stało się, po prostu, poszukiwanie przeżyć malarskich. Nie wiem tedy, czy Bocian, mogąc powiedzieć słowo w słowo to samo o swoich stronach rodzinnych, posiadała strategie; urodzona podczas wojny, wyrosła wśród podobnych traumatyków, konkretnie wśród przemilczeń, złowrogich cieni, niejasnych poczuć. Wrocław powojenny czy jak kto woli, peerelowski, był metropolią uchodźców, wcale nie tylko z Kresów, bo także z Warszawy, powstańców i żołnierzy AK. To kontrapunkt dla moich uwag o New Age, bez niego nie da się wydestylować nic w polskim amalgamacie wielkości i małostkowości; te skrzydła nietoperza chrzęszczą jakby tylko przykryte anielskimi.

Dla mnie po powrocie do Polski było to zagadkowe. Też mam rodzinę na wsi za Wisłą, ogromnie mi drogą. Stykałam się jednak we wrocławskim środowisku z odwrotną postawą: utajania raczej niskich progów ojcowskich przez osoby po wyższych studiach. Czym dawano bez wątpienia rozgrzeszenie, jakieś usprawiedliwienie elitom Polski 'prawdziwej', poniewieranej tylko przez inteligenckie ledwie w pierwszym pokoleniu masy, do jakich mało kto się przyznawał.

Moje rozmowy z Marianną były nieliczne, ale długie, wielogodzinne. Pierwszej, niezapomnianej, z udziałem Jerzego Pluty, Ernesta Dyczka i ich oczytanych żon, Magdaleny i Krystyny, przysłuchiwałam się, oszołomiona mnóstwem nowych dla mnie nazwisk, tytułów, terminów. Drugą prowadziła z moim ojcem u nas w domu, o amerykańskim nobliście z ekonomii, o mikrofizyce; ja z trudem nadążałam za ich znajomością tematyki. To trwało do późnych godzin, proponowaliśmy Mariannie nocleg, wymówiła się jakoś i wzięła nocny tramwaj. A potem już we dwie, po moim powrocie z Nowego Jorku, czyli po 1991 r. W kawiarni Empiku spierałyśmy się, aczkolwiek w obu nas była ciekawość faktów, prawidłowych interpretacji, potrzeba nazywania po imieniu stanu rzeczy bez uciekania w eufemizmy (powodowało to cd. str.24

cd. ze str.23

mimowiedną zaczepność). Oto jedna ze spraw: szukałyśmy, odmiennymi ścieżkami, odpowiedzi na pytanie o powód zastoju w polskiej powieści. Rozmowa miała miejsce w Trzebnicy. Byłyśmy zgodne, że wydarzenia rangi – hasłowo powiem – roku 1989 nie zaowocowały żadną ważną powieścią porównywalną z *Przedwiośniem ani Nocami i dniami*, podobnie z *Popiołem i diamentem* (film leciał jako stały punkt repertuaru w jednym z koneserskich kin na Manhattanie). Jak zresztą utyskiwał Stanisław Lem w jednym z ostatnich wywiadów, wolno uznać powieść (a ja dodam, że i dramat) za listek lakmusowy stanu samoświadomości społeczeństwa, poczynając od elementarnego konsensusu względnie mitu, co wymaga oczywiście wyjaśnienia bliżej, bo właśnie z Marianną w tym punkcie rozmowa urywała się, ona się denerwowała, a kończąc na wspólnej – czyli rzesz czytelniczych – potrzebie poznawania faktów, nawet za cenę przeżycia zaskoczenia. Zdaniem Lema, utknięto na „scenkach rodzajowych" i obrazkach, bo nie były to nawet nowele. Tak to oceniał Lem. Podkreślał, iż proza szuka tematyki dalekiej od historii współczesnej, bo w rejonach fantasy,gdzie tylko drugoplanowo nawiązuje się do tzw. realiów. Ernest Dyczek nie znajdował wydawcy ani zrozumienia krytyków. Namawiano go, aby formę mało poczytną dostosował do oczekiwań kolorowych pism. Zresztą, powieść i nowelistyka rychło ustąpiła telenoweli. Scenarzystka jednej z nich w wywiadzie zapewniała, że scenariusz ma najwyższą jakość artystyczną, skoro jest oglądalność. Wygadywała komunały, operator kamery tv pokazywał natomiast jej śliczny ogród, rasowego kota.

Oczywiście, nie pojawiły się też syntezy poetyckie w rodzaju, przykładowo, *Pana Cogito* – z syntezami przestano dyskutować, po prostu je dezawuowano. Przy osobliwym spadku czytania ze zrozumieniem, a nawet zapamiętywania informacji dopiero co obejrzanych w telewizji, tworzył się grunt dla kultury postprawdy. Lem nazywał to bezrefleksyjnością. Bocian stawiała akcent wyłącznie na zaburzone morale: chciwość i próżność, egoizm, jakich skutkiem stawało się nie tylko znikanie księgarń sprzedających książki współczesnych polskich autorów, w tym tomiki poezji, ale także domów wydawniczych mogących w części wypełnić lukę z epoki PRL, jeśli chodzi o dzieła objęte cenzurą. Ona sama, pracując dłuższy czas w Bibliotece Wojewódzkiej we Wrocławiu, na pewno poznała te spośród nich, które wydawał Polski Instytut Literacki Jerzego Giedroycia. Duże biblioteki, w tym polonistyki uniwersytetu, miały zastrzeżone księgozbiory, udostępniane do prac naukowych po złożeniu specjalnych pisemnych wniosków. Ja zresztą dowiedziałam się o takiej możliwości czystym przypadkiem, koleżanka robiła magisterium z Czesława Miłosza, wtedy jeszcze, przed Noblem, praktycznie u nas nieznanego poza kilkoma wierszami w antologii Grochowiaka i Maciejewskiego; miała też niektóre przynajmniej takie publikacje biblioteka Związku Literatów Polskich w Warszawie – tam dostałam do rąk „Transatlantyk" Gombrowicza.

Giedroyc oczywiście skupiał się na tym, co dotyczyło Polski i regionu; była to kropla w morzu wolnej myśli na świecie. I skoro o tym – od połowy lat 70' Marianna Bocian angażowała się żywo w ruch wydawniczy poza cenzurą, redagowała, zdobywała materiały, osobiście kolportowała. Jednak – wciąż (a w okresie Solidarności i stanie wojennym zwłaszcza) nasiliła się polonocentryczność tego II obiegu, nasiliły się jej martyrologiczne wątki. Z perspektywy nowojorskiej z jadowitą jaskrawością odbijał obieg trzeci, zwalczany, sekowany, ignorowany w kręgach Solidarności, w tym wydawnictwo KONTRA, krytyczny wobec Kościoła, wobec zwłaszcza zbyt naiwnie ufnej współpracy świata niezależnej kultury z polskim episkopatem i samym Janem Pawłem II. Tych dzieł i polemik Bocian w większości nie znała, dożyła natomiast zastrzeżonych działów bibliotek publicznych, gdzie wypożyczyć można książkę tylko za wysoką kaucją.

Co ciekawe wszakże, a mnie do niej zbliżyło wewnętrznie, przyjaźniła się przez cały czas z wybitnie niezależnym umysłowo Ernestem Dyczkiem, zastawałam ją u Ernesta na herbatce, Dyczek zaś sam podejmował tę tematykę w pisanym przez całe lata tryptyku „Autosia" – „Mortalia" – „Wratislavia", a ponadto tłumaczył z języka niemieckiego, m. in. Bernharda, m. in. Jellinek.

Tej właśnie części dorobku i dziedzictwa światowego nieświadomi byli zazwyczaj nawet nieźle zorientowani pisarze i filologowie, bynajmniej nie tylko w kraju, bowiem samo zaistnienie wspomnianego Instytutu Literackiego dokonywało się wbrew niezrozumieniu w kręgach emigracyjnych, przy ich głębokiej niechęci – że posłużę się słowami samego Giedroyca. Identyczna postawa daje o sobie znać dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami nabierającego przyspieszenia procesu czynienia z Polski zaścianka, ba – zaścianka coraz mniej przypominającego gościnne Soplicowo, a coraz bardziej puszczańską chatę Kiemliczów czy bandyckie Rozłogi. Przy bierności stowarzyszeń twórczych i obserwatorów. Nie robimy badań nad faktycznością swojej własnej kultury. Nie znamy jej newralgicznych punktów, przypisujemy jej świat nieistniejących wartości, i wmuszamy jej aksjologie, których nie rozumie. Bocian więc utyskiwała na „fundamentalną" nieuczciwość intelektualną, utyskiwała na coś, co wtedy trudno było precyzyjnie określić, zresztą i dzisiaj operuje się raczej niejasnym zwrotem „złogów peerelowskich", tyle że w tym wypadku to dotyczyło uwolnienia umysłu i psychiki. Powtórzę: doskonale znała obydwie te rozsuwające się Polski, ukorzeniona w nich obydwu, ukorzeniona w sposób ogromnie osobisty, intymny, prywatny.

Interesowała się żywo psychologią. Ten temat i mnie zaprzątał. I dlatego nalegałam w rozmowie, aby darowała sobie autorytety, jakimi szermowanie było jedną z cech życia kulturalnego, medialnego. Panowała mianowicie pełna zgodność, że autorytety muszą być, że bez nich ani rusz, tyle że autorytety okazywały się, jak sam polski papież, nietykalne, poza wszelką krytyką. Na poziomie literackiego życia to samo dotyczyło Herberta względnie Szymborskiej, Zagajewskiego względnie Różewicza. Można było drogo zapłacić za upublicznienie radości z Nobla Szymborskiej w przytomności szabel wzniesionych za jednym z wymienionych tu wyżej. Dla kogoś całe lata dalekiego od Polski było to mocno kłopotliwe, wyjechałam zresztą do Francji w 1983 pod wrażeniem wspaniałej solidarności środowisk twórczych, w poczuciu, że chodzi o idee, a nie o leninowskie 'kto kogo'. Otóż z Marianną Bocian miałam ten właśnie szkopuł, że przyjaźniłam się bardzo blisko z Januszem Styczniem, który jej się panicznie bał, który obrażał ją insynuacjami o robienie mu intryg. Janusz potrafił pewnego dnia, kiedy prowadziliśmy do stolika w Związkach Twórczych Martę Fox i Irenę Wyczółkowską, mijając lożę, gdzie siedziała Marianna z Jerzym Olkiem, pokazać ją wyciągniętym palcem i wysyczeć scenicznym szeptem ale z niekłamanym strachem: „To MARRRRIANNNNA, ona zaraz mnie tu zaatakuje". Zdezawuował całą jej twórczość, wmawiał sobie jakieś szykany, tymczasem weredyczka Marianna chyba tylko jeden raz w Klubie Muzyki i Literatury nazwała go załgańcem. Janusz zapierał się chłopskiego pochodzenia, wywodził, że pochodzi z wolnych kmieci, a w ogóle to potomków szwedzkich osadników pod Bochnią, którzy cisnęli rapiery i pochwycili za lemiesze, i stąd jest blondynem, czego dowodem to, że gdy zaczynał mówić, to pierwsze słowa dzidziusia były przez mamę uroczyście uznane za szwedzkie. W jednej z rozmów Marianna zgodziła się, że można to nazwać kompleksem Balladyny; przypominam sobie, że dość daleko posunęłyśmy tę niezobowiązującą analizę romantycznego dramatu, w jakim diagnozy na użytek współczesnej Słowackiemu sytuacji kulturowej są nadal aktualne, włącznie z potencjalną gotowością Balladyn do krzywdzenia i zaprzaństwa (Mariannie Bocian wciąż droga była, wciąż obligująca aura wielkiego romantyzmu, z jej albo-albo; mnie też). Jak pisała w jednym z ostatnich wierszy: *W człowieku żyje coś, co nie tylko z Ziemi pochodzi*.

> ... Nie spieszmy się! – Jeszcze mi zagraj
> Na harfie słońca pieśń wzrastającego lasu,
> Odsłaniającą świetlisty wdzięk i urodę ziemskiego bytowania,
> Na ziemi mojego gniazdowiska – Podlasia (...)

Ale osobny problem to ona sama. I skoro pozwalam sobie na dygresje aż do Słowackiego, odwołam się do ukazanej w tej samej *Balladynie* klinicznej właściwie diagnozy psychicznego oporu przed przeżywaniem miłości w sposób radosny, szczęsny, a nie usłużno-sentymentalny bądź destruktywny i agresywny. Alina uosabia ten pierwszy, podczas swojej autoprezentacji Kirkorowi mówi o zabieraniu na zamek całej wsiowej rodzinki, w ogóle nie objawia horyzontów grafini, a jej siostra mówi o piekielnych czeluściach, do jakich wskoczyć gotowa na rozkaz. Właśnie erotyki Marianny Bocian noszą to piętno. Melodramatyczny ton, jaki nadawała własną recytacją tekstom lirycznym bez żądzy, bez rozleniwienia „po", tu się rymuje. Namiętność, o jakiej nie chcę tu opowiadać, bo znam ją tylko od osób trzecich, zresztą sekundujących Mariannie z całego serca, ma moc a zarazem ją traci poprzez wręcz neurotyczne przywoływania rekwizytorni bólu, cierpienia, grzechu, rozgrzeszenia, chrześcijańskich ikon takich jak anioły czuwające i orędujące, a wreszcie sąd nad uczynkami. Odbijają te skojarzenia konflikt wewnętrzny, stworzony przez stosunek do cielesności oraz wyparcie dyskursu w przestrzeń otwartych negacji chrześcijańskiej etyki. Innymi słowy otwarciem na seksualizm – bez niego ciał nie ma – musiałaby odrzucić kulturę tutaj. Poetka-filozofka bliska chwilami Baudelaire'owi w temperamencie, niezwykle, powtórzę, inteligentna i niegodząca się na pruderię, utknęła na własnym problemie. Tak myślę. Probierzem sztuki poetyckiej są napisane erotyki. Ich analiza wymagałaby zapewne odrębnego szkicu. Tutaj zdałam się na własny chaos i stąd tyle niepokoju.

***Urszula M. Benka***

*[1]M. Janion, Estetyka średniowiecznej północy, w: Problemy polskiego romantyzmu, Ossolineum Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1981, s. 19.*
*[2]H. Peyre, Co to jest symbolizm?, s. 151.*
*[3]H. Waniek, Świat jest tajemnicą.*
*[4]S. Rusin, Marianna Bocian w kręgu ludzkich słabości, „Akant" 2012 nr 6.*

Zbigniew Kresowaty

Kazimierz Brakoniecki

## Pociąg w pociągu

Katolicka kuria małopolska rozważa wprowadzenie spowiedzi w pociągach

Zabrania się pociągu w pociągu
natomiast spowiedź jest nakazana
w każdym wagonie konfesjonał
zamiast nieczystej toalety
zasłonięte sutanną oczy i okna
zamiast pendolino księżulino
pojedziemy pospiesznie do zbawienia
kasowanie biletów zabronione
przypomina erotyczne dopełnienie
ucho ucho usta usta
przemieniona ekstazą dusza
polski episkopat ma rację
pociąg jest niebezpieczny
szczególnie w tunelach
co prowadzi do wytrysku
oracji na pasyjnej stacji

Widzę ciebie młoda kobieto
jak wchodzisz do przedziału
zdejmujesz pikowany płaszcz
wypuszczasz ciemne włosy
ręką omiatając całą zgrabną szyję
i szybkim ruchem który wyzwala we mnie
cały ołtarz wspomnień
układasz ten strumień życia
w kok na środku uduchowionej głowy
żeby przyciągnął w pociągu
ducha świętego moich pociągnięć
obracasz się i w sweterku ukazujesz
dwie śliczne piersi jak dzwonki mszalne
twój kok to mój hamulec bezpieczeństwa
który wisi nade mną jak rachunek sumienia
jedziemy razem w Alleluja pociągu
strzeże nas anioł stróż z mieczem w koloratce
razem do śmierci ale ja pospiesznym
szkoda że nie jestem twoim konfesjonałem
o który opierasz głowę tak biblijnie
że słychać grzmoty na górze Syjon
sam biskup by się do ciebie przysiadł
ale właśnie udławił się w restauracji
nieświeżą święconką
Alleluja nogami do przodu

## Pismo

Na spotkaniu autorskim
starszy facet z niezrównoważoną teczką
z której wyjął moje „Historie bliskoznaczne”
oskarżył mnie że jestem Żydem i bolszewikiem
i że tym razem nie uda nam się zniszczyć
katolickiej Polski
bo chroni ją nasz Jezus Król oraz Polska Matka Maryja

Nie jestem Żydem – odparłem
a powinienem był rzec a chciałbym
bo Jeszua był Żydem i matka jego Miriam
jego bracia apostołowie i Paweł
każdy chrześcijanin wierzący w Pismo jest Żydem
obrzezanym przez chrzest w wodzie życia
i nie ma sensu powoływać się na polskiego Jezusa i Maryję
bo gdyby tu się narodzili w XX stuleciu
to by spłonęli na stosie w stodole lub krematorium
w Wielkanoc albo na Boże Narodzenie

Mój ojciec jako wiejski nastolatek
stał nad kanałem w którym przysypana
torfową ziemią poruszała się rodzina młynarza
jedyni Żydzi w tej łomżyńskiej wiosce
niedaleko Stawisk i Jedwabnego
więcej mi nie powiedział
a jego niepiśmienna matka
powtarzała: Nie maczaj we krwi ręki nie maczaj!

Może dlatego uważam
że każdy kto nauczył się czytać i pisać po polsku
jest chrześcijańskim żydem zapisanym w Torze
wrzuconej do masowego dołu pamięci
lub płonącej stodoły wiary
a ten ogień jest alfą i omegą alfabetu
a ta ręka z ognia mesjaszem

Filip Paluch

# CHRZESTNY

Źródłem tej historii jest kilka nieopatrznych decyzji, wzięcie na siebie odpowiedzialności, której całe życie się wyrzekałem i której, jak miałem nadzieję, do końca uda mi się uniknąć. Kiedy jednak moja kuzynka, córka stryja, poprosiła mnie, bym został ojcem chrzestnym jej nowonarodzonej córki, nie mogłem odmówić. To wielki zaszczyt pełnić taką funkcję, owszem, jedynie honorową, ale jednak funkcję. Być ojcem chrzestnym pierworodnego dziecka. Amelia, bo tak na imię miała kuzynka, i Sławek – jej mąż, a mój szwagier stryjeczny – jak lubiłem go nazywać – musieli coś we mnie dostrzec, co skłoniło ich do złożenia mi takiej propozycji, albo po prostu nie mieli się do kogo zwrócić. Sławek co prawda miał brata, który według rodzinnych konwenansów, mógłby podjąć się tego zadania, lecz miał również siostrę, która od pierwszego dnia po narodzinach Weroniki, zaczęła nazywać się „chrzestną mamusią". Wybór musiał zatem paść na mnie, według zasady – po jednym rodzicu chrzestnym z rodziny, choćby nie dostrzegali we mnie, całkiem zresztą słusznie, jakiegokolwiek potencjału do opieki nad ich potomstwem.

Pochodziliśmy z dziwnej rodziny, na tle której małżeństwo Amelii było abstrakcyjnym punktem, który raz wtapiał się w otoczenie, raz znowu z nim kontrastował. To zabawne by powiedzieć, że owo małżeństwo *wydarzało się*, każdego dnia inaczej. Mój ojciec i jego brat, a mój stryjek, mimo że wychowali się w Krakowie, powojennym Krakowie, który w deszczowe dni pogrążał się w jeszcze większej beznadziei słabo żarzących się żarówek w wysokosufitowych mieszkaniach, mieli w sobie coś prowincjonalnego. Moi dziadkowie pochodzili z bliźniaczych miejscowości na północ od miasta. Miejscowości z gruntu wiejskich, ale w tej wiejskości smutnych. Zawsze bawiło mnie, z jaką dumą babcia opowiadała o uzyskaniu praw miejskich w końcu XIX wieku, przez tę, pożal się Boże, mieścinę. I nawet istnienie miejskiej rady, w której jakąś tam funkcję pełnił mój pradziadek i prapradziadek, nie zmieniało nie tyle już nawet prowincjonalnego, co z gruntu chłopskiego charakteru tych miasteczek. Przeglądając archiwalne zdjęcia, na których chłopi mieli twarze zmęczone od alkoholu, ręce jak bochny chleba i brudne ubrania, co widać było nawet na czarnobiałych fotografiach, zdałem sobie sprawę, jak bardzo moi przodkowie różnili się od tego otoczenia.

Pradziadek był rzemieślnikiem, niby kowalem, ale jego głównym zajęciem przed wojną była naprawa sieczkarni, więc nawet jeśli wykuwał do nich jakieś metalowe części, to był rzemieślnikiem, nie kowalem. Zawód kowala ma w sobie coś mistycznego, to sztuka ognia i żelaza, montowanie sieczkarni nią nie było.

Moje ulubione zdjęcie pokazuje pradziadka siedzącego na stołku przed swoim warsztatem, miał czarne spodnie w kantkę, nogę założoną na nogę i wyprostowany dumnie tułów. Na kolanach trzymał swój kapelusz. To przyciągnęło mój wzrok na dłużej. Nie sam kapelusz rzecz jasna, który był jak najbardziej zwyczajny, ale dłonie, które go trzymały. Blade, zadbane dłonie z długimi urzędniczymi palcami. Z palcami jakby stworzonymi do kartkowania papierów, przewracania stron i trzymania ołówka. Z palcami, które brzydzić się musiały pługiem, łopatą i młotem – który przecież zmuszone były trzymać w żelaznym uścisku.

Mój pradziadek nie musiał być jednostką wybitną, on po prostu odróżniał się od otoczenia swoimi długimi palcami, zadbanymi dłońmi, lekko podkręconymi wąsami. Był inny, a społeczność małomiasteczkowa, która nie lubi innych, wysłała go do miejskiej rady, żeby siedział w papierach, załatwiał *sprawy*, a nie kręcił się i przeszkadzał w polu. Jedyne, co miał wspólnego z mieszkańcami tej prowincji to oczy, smutne, zmęczone oczy, w których dostrzec można akceptację wszystkiego, co było i będzie, choćby miał być to koszmar wojny czy kolektywizacja. Według rodzinnych podań, pradziadek z rodziną miał spędzić całą pierwszą wojnę światową w zabunkrowanej piwnicy. Totalna akceptacja losu, choćby chałupa znalazła się pośrodku płonącego frontu. W tych oczach, na fotografii, widać było, że choćby każdy poranek miał stanowić początek apokalipsy, on do końca będzie naprawiał okolicznym chłopom sieczkarnie i wypełniał urzędowe pisma, nawet jeśli żadna strugaczka w całym budynku Rady, nie byłaby w stanie naostrzyć jego urzędniczego ołówka. Taki był mój pradziadek po mieczu, od strony babci.

O rodzinie, od strony mojego dziadka, nie słyszałem wiele, prócz tego, że było ich jedenaścioro. Każdy rozjechał się w inna stronę świata, nie dając potem znaku życia. Jeden walczył nawet jako carski żołdak w Mandżurii. Można zatem powiedzieć, że jesteśmy pochodzenia z gruntu chłopskiego, choć zdaje się, że zupełnie nie było to punktowane w poprzednim ustroju. To pochodzenie chłopskie jest bardzo ważną rzeczą, gdyż nigdy nie miało dla nas żadnego znaczenia. Mój ojciec nie lubił mówić o swojej rodzinie, interesowała go raczej genealogia mojej matki. Tak jakby duchowo wydziedziczył swoje chłopstwo na rzecz mieszczańskiego rodowodu szanownej mamusi, która z kolei – wbrew rodowodowi, prezentowała bardzo prowincjonalne maniery.

Powojenne polskie społeczeństwo uległo jakiejś mentalnej lobotomii. Według najnowszych badań szlachta I Rzeczypospolitej stanowiła zaledwie 7 % ogółu, mimo to, każdy jakiegoś szlachcica w rodowodzie mieć musi. Kończy się to nieraz tym, że chłop oderwany dopiero co od pługa, dopatrzywszy się jakiegoś mezaliansu w parafialnych księgach, dumnie nosi się z herbem rodowym, z którym wspólną ma tylko pyszałkowatość i arogancję. Gdy zaś zabraknie szlachty w rodowodzie, zastąpić ją może pochodzenie kresowe, wszak Kresy to kwintesencja polskości, szlachectwo samo z siebie, wyłącznie z racji utracenia tych ziem, wysnutej Arkadii.

Mój Ojciec wolał zatem snuć historie o wielkim splendorze lwowskich kamienic, które posiadała rodzina mojej matki, a które zostały na zawsze utracone, wbrew zwykłej ludzkiej sprawiedliwości – jak zwykł mawiać. Byłaby to faktycznie romantyczna historia, gdyby nie fakt, że szanowna prababka jeszcze przed wojną sprzedała kamienicę, przeprowadziła się do Krakowa i za nic mając swoje spowinowacenie z jakąś podrzędną CK arystokracją, wyszła za mąż za piekarza. To jak fatum, przeznaczenie, krew która tętni w żyłach chłopskim, proletariackim żywiołem i chce się z nim sparzyć. Chęć wyrzeczenia się tego czym inni chcieli byśmy byli. Herbowa prababka pragnąca stać się proletariuszką, proletariacki ojciec chcący stać się szlachcicem.

Wszyscy w mojej rodzinie noszą proste polskie, chciałoby się powiedzieć – prowincjonalne, imiona. Staszek, Jan, Maryla, stąd tak bardzo imię mojej kuzynki Amelii od początku z nami kontrastowało. Jej ojciec, Jan, też wyróżniał się z całej rodziny, ale raczej tym, że uwielbiał wiejskie opowieści. Chlubił się tym, że w dowodzie osobistym jako miejsce urodzenia ma tę wieś, a nie Kraków i w jego zachowaniu widać było, że tęsknił do prostego życia w polu, gdzieś pośrodku niczego. Stąd idea, żeby nazwać swoją córkę „Amelia", wydawała się być jeszcze bardziej absurdalna.

Amelia ze Sławomirem wiedli typowy mieszczański żywot. Nie interesowała ich zbytnio tradycja, choć ją szanowali. Nie badali dziejów swoich przodków, choć zawsze słuchali o nich z zainteresowaniem. Żyli dniem codziennym i wydawali się być w tym bardzo szczęśliwi. Amelia pracowała w międzynarodowej korporacji i obsługiwała cały anglojęzyczny dział reklamacji. Sławek był nadzorcą budowlanym i pracował na dwóch etatach. Zaraz po ślubie wybudowali mały dom, trzydzieści kilometrów pod miastem, i urządzili go w stylu prezentowanym przez magazyny proponujące wystroje wnętrz dla młodych małżeństw. Wszystko oczywiście na stutysięczny kredyt, pochłaniający przynajmniej połowę z ich całkiem niezłych, etatowych pensji. Wieczorną rozrywką było jedzenie nachosów i oglądanie wszystkiego, co tylko pojawiło się na Netflixie. W weekendy pakowali rowery do samochodu i jeździli na przejażdżki. Zimą natomiast, obowiązkowo białe szaleństwo. W swoim życiu nie wyróżniali się niczym szczególnym, niczego nie kontestowali, ani nie wyznawali żadnej ideologii. W wyborach głosowali zawsze tak, jak większość. Segregowali śmieci i czasami chodzili do kościoła. Wiedli idylliczny żywot klasy średniej, który tylko z przekory nazywam mieszczańskim, jakby to słowo było sympatyczną uszczypliwością. Przez przymrożone szronem okna spoglądałem na to ich życie, nie wiedząc już, czy im zazdroszczę, czy boję się utknąć kiedyś w podobnej sytuacji. Nie miałem na szczęście przy sobie żadnej kobiety, która mogłaby mi zagrozić, tym bardziej jednak spoglądałem na nich z trwożliwym utęsknieniem.

Nie widywaliśmy się często. Nie mieliśmy zbyt wielu wspólnych tematów do rozmów, prócz tych dotyczących topowych produkcji serialowych, z których ja i tak najbardziej lubiłem wyciągać historyczne nieścisłości, co oczywiście niemiłosiernie drażnić musiało każdego laika. Pozostawaliśmy poza tym w dobrych kontaktach, czasami nawet powiedziałbym, dość serdecznych. Ich świąteczne życzenia, były zawsze proste, szczere i miłe, a w święta widywaliśmy się najczęściej. Nie miałem więc żadnego poważnego powodu, żeby nie zostać ojcem chrzestnym ich córki. Weronika spodobała mi się zresztą od pierwszego wejrzenia, miała błękitne radosne oczy i bardzo mało płakała, gdy zaś to robiła, widziałem w tym raczej płacz młodej dziewczyny, którą zraniło jej pierwsze drżenie serca.

Coś przyciągało mnie do tego niemowlęcia od początku, a to uczucie jedynie przysparzało mi potliwej trwogi na czole. Mimo tego strachu, zdecydowałem się zostać ojcem chrzestnym Weroniki, a nawet dopełnić wszystkich parafialnych formalności, które były dla mnie szczególnie ciężkie. Jakbym nie dość wstydu odczuwał sam przed sobą, za decyzje błędnie podjęte, za grzeszki i przewinienia, żebym musiał korzyć się jeszcze przed obcym mężczyzną w parafialnej kancelarii.

Kilka lat temu, gdy jakiś nieznośny kaprys serca nakazał mi zamieszkać z kobietą, w okresie wielkanocnym odbiłem się od drzwiczek konfesjonału niby pusta głowa od muru. Zawsze byłem osobą wierzącą, mniej lub bardziej, choć teraz wolę się określać jako człowiek dalece zakochany w idei Boga. To odprawienie mnie z kwitkiem, bez rozgrzeszenia, z kilkoma gorzkimi słowami i srogą reprymendą, załamało mnie wewnętrznie i kazało mi przedefiniować to, czym jest życie w zgodzie samym sobą. Ostatecznie wszystko i tak okazało się farsą. Moja partnerka okazała się być niegodną, by obcować w atmosferze intymności. Mój strach przed potępieniem, wyśmiała. Moją tęsknotę do życia w zgodzie z zasadami wiary, odebrała jako atak. Widać chciała czuć się pierwszą przyczyną grzechu, a ja, odkrywając jej prawdziwe, szorstkie oblicze, wymówiłem jej umowę najmu. Oczywiście, żadnej umowy nie mieliśmy, ale to ładniej komuś coś wymówić, niż powiedzieć podczas śniadania – *Musisz się wyprowadzić, nie mogę już na Ciebie patrzeć, a Twój zapach przyprawia mnie o mdłości.*

Po tym zdarzeniu miałem wszelkie predyspozycje, by zapukać do konfesjonału raz jeszcze i uzyskać błogosławione odpuszczenie win. Nie zdecydowałem się tego zrobić i przez kilka lat żyłem bez rozgrzeszenia, w zgodzie z samym sobą, nie łamiąc żadnej z zasad mojej wiary.

Taka przerwa w tym spowiedniczym rytuale buduje w człowieku barierę, by wywnętrzać się przed całkowicie obcą osobą, którą w dodatku nazywać trzeba ojcem, co wydawało mi się tym bardziej irracjonalne, ponieważ przed swoim ojcem nie wywnętrzałem się nigdy. Zobowiązany byłem niestety dopełnić formalności. Co więcej, od spowiednika uzyskać musiałem specjalne zaświadczenie, na którym znajdowała się notka, że mam zostać chrzestnym. Z tego powodu bałem się jeszcze bardziej, gdyż byłem pewien usłyszenia półgodzinnej tyrady, poprzedzającej podpisanie tego dokumentu, że ojcem chrzestnym nie powinienem zostać, a jeśli już muszę, to powinienem wiedzieć, że z racji życia jakie prowadzę, prowadziłem lub będę prowadził, będę nim fatalnym, jeśli w ogóle można powiedzieć, że spełnię jakąkolwiek rolę w duchowym nadzorze rozwoju dziecka, do którego mam być powołany. To ciekawe, jak księża poważnie podchodzą do takich spraw. Profity, jakie ja dostawałem od swoich chrzestnych, to miniaturowa szkolna tablica do rysowania w prezencie od wujka, zaraz przed tym jak zmarł, i gruba koperta od ciotki na osiemnaste urodziny. Duchowy nadzór opierał się chyba na okolicznościowych prezentach z okazji pierwszej komunii i bierzmowania, ale to tylko od ciotki, bo wujek już nie żył. Mój ojciec jest chrzestnym kilkorga dzieci, o niektórych nawet już nie pamięta, a większości myli imiona. Zadanie, które przede mną postawiono, wydawało się być trudne jedynie w teorii. W związku z tym postanowiłem sobie, że będę dobrym ojcem, lepszym niż wszyscy, i nie tylko w teorii. Zadbam o duchowy rozwój Weroniki i zawsze na rodzinnych spotkaniach na jej cześć zachowam pełną trzeźwość, ograniczając się tylko do kilku kieliszków. Będę pielęgnował jej ducha i karmił jej wrażliwość. Tak postanowiłem, nawet jeśli miałem zostać wyśmiany przez rodzinę i otoczenie, to chciałem być dla niej tą cząstką świata, która uczy ją piękna.

I tak się stało, uzyskałem glejt z parafii i w promieniach kwietniowego słońca, pierwszych po zbyt nijakiej zimie, w niewielkim betonowym kościele pod Krakowem, trzymałem chrzcielną świecę stojąc u boku, trzymanej w matczynych objęciach, Weroniki. Ten moment, uderzył we mnie ponadprzeciętnie, jak gdybym to ja miał dziecko, piękną córkę o zjawiskowo błękitnych oczach, w których zatapiałem się cały. Weronika była dla mnie już kobietą, kilkumiesięczną, ale kobietą. Całe jej życie zaklęte było w tej jednej chwili, gdy ksiądz oblewał jej

małą główkę wodą z chrzcielnicy. Widziałem wtedy jej pierwsze kroki, to jak rozpoczyna szkołę, zdaje maturę, a nawet jak idzie na studia. Już wtedy wiedziałem, że będzie się wyróżniała, będzie delikatna i wrażliwa, a nade wszystko, będzie szczera i autentyczna w każdym spojrzeniu. Bo czy większość ludzi żyje naprawdę? Czy jest świadoma każdej mijającej chwili, każdego oddechu? Weronika była, była naprawdę, jakkolwiek niezrozumiale by to brzmiało, to było w niej najpiękniejsze. A ja byłem jej chrzestnym ojcem, choć wcale nie chciałem nim być, bałem się tego najbardziej na świecie i chętnie oddałbym tę świecę komuś innemu, nawet jakiemuś przypadkowemu mężczyźnie, i uciekł z tego paskudnego, wiejskiego, betonowego kościoła. Stałem jednak wyprostowany i przyjmowałem na siebie całą odpowiedzialność za los tego dziecka, odpowiedzialność, której nikt ode mnie nie oczekiwał, a którą sobie sam uroiłem, wierząc, że gesty, symbole, nazwy i ten rytuał, mają transcendentne znaczenie. Naprawdę stawałem się ojcem, lecz wiem, że każdy wyśmiałby mnie, gdybym się zwierzył z tego uczucia.

Pierwsze miesiące mojego ojcostwa upływały spokojnie. Wciąż pracowałem redagując teksty promocyjne, za zupełnie wystarczającą mi pensję. U Weroniki bywałem dwa razy na kwartał, nie licząc świąt, jej urodzin i imienin. Czasami w przypływie zaufania Amelia prosiła mnie, bym popilnował małej, podczas gdy ona z mężem będą załatwiać *sprawunki*. Lubiłem te chwile, kiedy mogłem poczuć pełną odpowiedzialność za *małą* i bez wstydu wylać na nią całą swoją troskę. Sam kiedyś zaoferowałem Amelii, że chętnie zostanę z Weroniką w sylwestra, a oni niech gdzieś idą, zabawią się, odpoczną, ja i tak przecież nie miałem planów. Weronika miała wtedy dwa lata i przez cały dzień i wieczór, czytałem jej książki. Zacząłem od tolkienowskiego Toma Bombadila, bo moim marzeniem zawsze było, by czytać do snu swoim dzieciom tę książkę. Gdy wybrzmiała ostatnia strona, a mała, łaknąc mego głosu wpatrywała się we mnie tymi swoimi błękitnymi oczyma, zacząłem czytać teksty, które miałem do zredagowania. Może nie były one lekturą idealną dla dwulatki, ale ostatecznie, powtarzałem sobie, że dla niej liczą się tylko słowa, których znaczenia jeszcze nie pojmuje, tembr mojego głosu i melodia tekstu. Oboje zasnęliśmy zagubieni gdzieś pomiędzy wierszami maszynopisów.

Po tym wieczorze, zdałem sobie sprawę z tego, że dla własnego dobra nie powinienem przekraczać pewnych granic emocjonalnego roztkliwienia. Przez kilka dni czułem przemożną tęsknotę i tylko głos zdrowego rozsądku podpowiadał mi, by nie jechać zobaczyć *małej*. Byłem ojcem chrzestnym, a czułem się jak zakochany nastolatek. Musiałem zrobić sobie odwyk od tego dziecka, która przyciągało mnie swoim spojrzeniem jak magnes. W jej płaczu słyszałem płacz wszystkich swoich młodzieńczych miłości i tak jak je, chciałem ją mocno przytulić i szeptać do ucha, że wszystko będzie dobrze. Byłoby to okrutne kłamstwo, bo Weronika z każdym dniem stawała się starsza i z każdym dniem oddalała się od idylli dziecięcego życia. Ja miałem ochotę wtedy tym bardziej przytulić ją mocno, tak jak tuliłem te wszystkie swoje miłości, bo wiedziałem, że kiedyś, tak jak one i Weronika mnie porzuci, odstawi na półkę jak zabawkę, która się jej znudziła. Zaklasyfikuje mnie jako upierdliwego wujka z bujnym wąsiskiem, choć nigdy wąsów nie miałem. Choć nigdy nie miałem i nie planuję mieć wąsów, wiedziałem, że ona gdy tylko stanie się nastolatką, będzie widziała we mnie tylko te brązowe wąsiska i rubaszne żarty, którymi nigdy nie rzucałem, ale na pewno tak mnie zobaczy. A ja obarczony tym fatum, będę musiał zapuścić bujny wąs i wyrzec się chłopięcej wrażliwości. Coraz bardziej przerażony byłem tym mieszczańskim, z gruntu mieszczańskim domem, w którym wszystko jest wyśrodkowane, tak jak wyśrodkowana jest klasa średnia, i nie ma miejsca na przesyt wrażliwości, którą należy – którą będę musiał – ukrywać za z przymusu zapuszczonymi wąsami.

* * *

Na czwarte urodziny Weroniki kupiłem jej rower. Cała rodzina śmiała się z tego prezentu, bo choć w internecie znalazłem informacje, że to idealny czas na ćwiczenie u dziecka równowagi na dwóch kółkach, to nie dodano do tego informacji, że mały BMX, przeznaczony do skakania po krawężnikach, nie przysłuży się zbytnio czterolatce. Wyszydzali mnie mówiąc: *dobrze, że nie masz własnych dzieci, bo jeszcze niemowlaka chciałbyś karmić bigosem!* Pewnie było w tym trochę racji, bo w jedzeniu bigosu nigdy nie widziałem nic złego, jednak te śmiechy i szydercze uwagi sprawiły, że było mi wstyd i winą za ten wstyd obarczałem Weronikę, której nawet nie pogłaskałem po główce. Ona zdawała się to rozumieć, patrzyła na mnie ze współczuciem i cieszyła się ze swojego roweru, choć z trudem mogła złapać go nawet za kierownicę.

Wydawało mi się przerażające, jak otoczenie – ludzie skrywający swoje uczucia głęboko pod skórą – mogą wciągnąć mnie w swoje konwenanse, stępić delikatność, przydusić szczerość i zupełnie wytłumić wzruszenie. Wstydziłem się, było mi okropnie wstyd, jednak nie z powodu tego roweru, czy innych rzeczy świadczących o mojej niezdarności. Było mi wstyd z powodu moich uczuć, których wylewność zdaje się dalece wykraczała poza normy narzucone przez resztę ciotek i wujów. Nie ma nic gorszego niż poczucie wstydu z rzeczy tak intymnej, jak pierwotna emocja, rodząca się gdzieś poniżej splotu słonecznego. Wyrzec się jej, to znaczy wyrzec się samego siebie. Kultywować ją, to wystawić się na śmieszność, stracić poważanie, przypiąć sobie łatkę odmieńca. Każdy lubi czuć się innym od reszty, każdy lubi widzieć w sobie odmieńca, bo to uczucie z gruntu przyjemne, wartościujące człowieka ponad przeciętność. Nikt jednak nie lubi być widzianym jako odmieniec przez resztę, gdyż wtedy nosi to znamiona stygmatu, odium. Widząc w człowieku coś ponadprzeciętnego, nieprzystającego do normy, wspólnota, by zachować swoją jednolitość, wyklucza go poza swój obręb. Ponadprzeciętny może cieszyć się szacunkiem i sympatią, nigdy jednak nie będzie już częścią wspólnoty. Zawsze będzie z poza. Dlatego uświadomiłem sobie, że ja i tak zawsze byłem kimś obcym, kimś innym, a te szyderstwa czy żarty (nie wiem już bowiem czym były), miały mnie jedynie uczynić dla wspólnoty bardziej przystępnym, mniej obcym. Zabarwienie jednostki śmiesznością, zawsze odejmuje jej barw inności i idącej za nimi grozy. Śmieszny – to znaczy bardziej swój, mniej niebezpieczny. Można by zatem powiedzieć, że wszystkie uszczypliwości, którymi mnie obdarzano od niepamiętnych czasów, były aktem serdeczności. Prośbą bym został, bym nie wychodził poza krąg. Wołaniem, że moje miejsce jest wewnątrz, choćby nie wiem co. Mentalną obrożą, która miała sprawić bym stał w miejscu i nie ośmielał się wzlecieć ponad materię.

Konkluzja tego ciągu myśli sprawiła, że przestałem się przejmować opinią innych, a to co wcześniej odbierałem jako szyderstwo, zacząłem widzieć jako przejaw troski, dziwnie pojmowanej serdeczności. Nie przejmowałem się już swoim nietrafionym prezentem na czwarte urodziny Weroniki. Nawet jeśli teraz jest zbyt mała na skakanie po krawężnikach na BMX, to za parę lat może sprawić jej to niezłą frajdę, a przynajmniej wyzwoli ją z kulturowego schematu, podług którego, dziewczę zdolne jest jeździć jedynie na różowym rowerku, obwieszonym wstążkami i kucykami Pony. Przynajmniej z tego byłem dumny i wiedziałem, że wartością jest rozwój Weroniki poza wszelkim schematem.

Siódmej wiosny od narodzin mojej chrześniaczki, Amelia poprosiła mnie bym został z małą na weekend, podczas gdy ona ze Sławkiem polecą do Madrytu, w celu na wpół turystycznym, na wpół biznesowym. To zadziwiające, jak praca w międzynarodowej korporacji pozwala łączyć te dwie rzeczy. W lodówce zostawiono, prócz jedzenia dla małej, dwie butelki czerwonego wina i dwa zestawy sushi. Widać, wciąż nie mogli uwierzyć, że takie prośby spełniam z przyjemnością i entuzjazmem, więc starali się mnie przekupić moimi ulubionymi przysmakami. Jakkolwiek czerwone wino nie pasowałoby do sushi. Miałem dokładny plan na ten weekend: chciałem spacerować po najbliższym parku, czytać z małą książki, które sam czytałem w dzieciństwie, wybrać się na basen, no i oczywiście, do muzeum zabawek, które dopiero co otworzono, a którego byłem niesamowicie ciekaw. Czasami zresztą wydaje mi się, że ludzie decydują się na posiadanie dzieci, by móc robić to, na co niekoniecznie pozwala im społeczny konwenans, gdy są bezdzietni. To przecież oczywiste, że te autka na zdalne sterowanie, drony, kolejki elektryczne, kupowane są przez ojców dla samych siebie, a dziecko jest jedynie idealnym pretekstem, by zasłonić się przed opinią „mężczyzny zdziecinniałego". O ile wszystko byłoby prostsze, gdyby człowiek wyzwolił się spod dyktatu tych konwenansów, które zresztą uważałem za całkowicie szkodliwe społecznie. Ostatecznie bycie ojcem chrzestnym Weroniki, pozwoliło mi zakupić bilety do muzeum zabawek i musiałem się z tego cieszyć, bez względu na to, co myślałem o konieczności wybrania się tam pod pretekstem dziecka, które było tylko trochę moje.

Weekend był cudowny. Nie brakowało mi niczego, a jej błękitne spojrzenie rekompensowało mi wszystkie niepowodzenia i trudności, które spotkały mnie w ostatnich ciężkich dniach pracy. Amelia ze Sławkiem mieli wrócić w poniedziałek, jednak w niedzielę wieczorem dostałem wiadomość od stryja Jana, ojca mojej kuzynki. Czy cała ta historia nie zmierzała do tej właśnie wiadomości? Czy od pierwszego zdania nie było wiadomo, że to się musi tak zakończyć? Czy słowa wybrzmiałe w telefonie *był wypadek*, nie są największą sztampą jaką można stworzyć? Ale życie tworzy przecież najbardziej prozaiczne, najbardziej sztampowe historie, a starając się je na siłę komplikować, opowieść staje się nieautentyczna.

Był wypadek, owszem. Sławomir chyba nie był przyzwyczajony do zwyczajów panujących w zachodnich demokracjach i brzydko odpowiedział pewnemu mężczyźnie, który chciał mu sprzedać trochę zioła, zresztą po bardzo dobrej cenie. Słowo goniło słowo, a Sławomira poniosła jego ułańska fantazja, która sprowadziła na niego dwa szybkie, niezbyt mocne ciosy w szczękę. Morda nie szklanka – tak powtarzało w takich sytuacjach u nas w rodzinie. Sławomir jednak upadł uderzając głową w fasadę secesyjnej kamienicy. Była przepiękna – pokazywano mi zdjęcia. Łączyła w sobie pięknie zdobioną w zgniło zielone wzory fasadę, z przestronnymi, lekko zaokrąglonymi oknami o białych obramowaniach. Po lewej i po prawej stronie kamienicy, górowały dwie ornamentalne płaskorzeźby, wybijające się ponad gzyms, które potęgowały harmonię symetrii. Pod nimi umieszczono dwoje największych okien, które zdawały się oświetlać jadalnię albo inne dzienne pokoje. Sprawiały wrażenie jak gdyby oczu tej kamienicy. Może to tylko moje roztkliwienie, wynikające z emocjonalnego związku z ponurymi i brudnymi od kurzu, krakowskimi kamienicami, wybudowanymi w tym stylu. Ponoć najpiękniejszą secesję można spotkać w Łodzi, ta informacja na nic się jednak nie przyda mojemu nieszczęsnemu szwagrowi stryjecznemu, choćbym błagał go i zaklinał by zechciał zobaczyć ze mną kamienicę Abrahama Dudaka. Nikt nie wiedział, że Sławek na coś choruje. Wyglądał zdrowo, i co prawda od jakiegoś czasu miał zdaje się osłabioną percepcje, wszyscy jednak myśleli, że jest to spowodowane ogromem pracy, który spadł na niego wraz z kilkoma nowymi zleceniami i pełzającym za nim kredytem. Sławomir sam siebie uważał za osobę zdrową, dobrze odżywiającą się (po mieszczańsku) i wysportowaną. Uderzenie głową w secesyjna kamienicę, gdzieś w Madrycie, i tępy huk, który jak wodospad zalał jego świadomość, świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym. Spośród wszystkich paskudnych chorób, które istnieją na tym świecie, Sławomirowi przydarzyło się niefortunne pęknięcie tętniaka, w skutek niezbyt przemyślanej odmowy zakupienia miękkich narkotyków. Z palety tych wszystkich nieszczęść, mógłby mu chociaż pęknąć wrzut na żołądku, albo żyłka w oku, spotkała go jednak eksplozja nowotworu. Powiedziałbym, że mogła być to śmierć niemal liryczna, w Madrycie u progu dziewiętnastowiecznego domostwa. On jednak konał w madryckim szpitalu przez tydzień, zdaje się w ogóle nie odzyskując świadomości. Jego ciało musiało trafić do madryckiego pieca krematoryjnego, bowiem transport całej trumny dalece przekraczał koszty, które był skłonny pokryć ubezpieczyciel.

W tym czasie zajmowałem się Weroniką, a Amelia czuwała przy zwłokach swojego męża, starając się sprowadzić je do kraju. A ja, czułem obawę przed tym, kim będę musiał stać się dla mojej chrześnicy. Ojcem, którego niedługo ledwie będzie pamiętać. Konkurentem i niespójnością w rodzinie, dla wszystkich przyszłych adoratorów mojej kuzynki. Człowiekiem, który nie będzie miał i mieć nie może, jasno ustalonej hierarchii w domu, którym polecono mu się zajmować, którego jednak nie może być nigdy integralną częścią.

Ze swojego dzieciństwa zapamiętałem bardzo mocno scenę, w której brat mojej matki – mój ojciec chrzestny – podarował mi w prezencie urodzinowym małą tablicę po, której można było rysować kredą o wszystkich kolorach tęczy. Pamiętam, że była wtedy bardzo ciepła jesień, albo wiosna, w każdym razie pora przejściowa, a ja niesłychanie cieszyłem się z tego prezentu, choć zupełnie nie umiałem rysować. Kilka miesięcy potem, mój ojciec chrzestny, brat mojej matki, zmarł na raka, osierocając dwie córki. To moje ostatnie, tak żywe i pełne barw, wspomnienie z moim ojcem chrzestnym. Teraz przypomniałem sobie, jak trudny był to okres dla moich kuzynek, które chyba po dziś dzień nie otrząsnęły się z tej bolesnej straty. Choć nie mamy kontaktu, sądzę, że na ich życiowe decyzje ogromny wpływ miała tak tragiczna śmierć ojca.

Z całego żalu, który czułem po śmierci Sławka, z całego tego nieszczęścia, autentycznie pięknego dramatu, ze wszystkich łez, które wypłynęły z moich oczu, ostatecznie na powierzchnię przebijała się jedna emocja. Była to nieśmiała, przytłumiona smutkiem, radość. Radość płynąca z tego, że Amelia żyje, że niebawem rzuci garść ziemi na trumnę swojego męża i zasunie nad nim marmurową płytę. Że będę mógł wrócić do swojej małej samotności, szczęśliwego mieszkanka, w którym będę mógł tęsknić do swoich słodkości, nigdy jednak nie będę musiał brać na siebie jarzma pełnoprawnego ojcostwa, ostatecznej opieki i prawnego zniewolenia. Cieszyłem się że Amelia żyje i będzie żyć, bo za nic w świecie nie uśmiechało mi się być rodzicem. Niezmiernie bowiem się bałem tego ostatniego wspomnienia o swoim chrzestnym, które zupełnie mnie roztkliwiało i sprawiało, że rodził się we mnie smutek, którego Weronika nigdy nie powinna doświadczyć.

***Filip Paluch***

# Maria Tepljakowa

## Pejzaż z burzą

Przez obłoki wędrujące nisko
Ponad miejscem tu niegdyś kwitnącym,
Stronniczym okiem impresjonisty
Widział nas lipiec niedowidzący.

Bredząc ziemia brnęła na brzeg morza,
Spragnione ptaki w ryby zmienione.
I bez życia na parkanie osiadł
Z papieru latawiec, niewzruszony.

…Lecz zbudziło oto do przemiany
Pejzaż i portrety w krąg w nieładzie
Tchnienie przypadkowe, dech natchniony,
Co orkiestrę smyczków w górze wzbudził.

Fortissimo zagrał pięciokrotnie
Suitą kropli, lata sarabandą –
I runęło na dół z wysokości
Ulewne i burzliwe crescendo!

Zbiegli ludzie, jak do klucza – dźwięki,
Z poddaszy – wprost w lipcowe kwitnienie,
Gdzie w kałużach, w rytmie Marsylianki
Ze śmiechu pękało Odrodzenie.

## Warszawskie niebo

**Poemat**

### 1. Wrzesień

Zalane słońcem stopnie. Późny ranek.
Z okien piano i obój w jednym rytmie.
Legł pies kudłaty na schodach nagrzanych.
Tańczy Warszawa pod niebem błękitnym.

Takim jak oczy pani z małym synkiem.
W stuku obcasów w zaułku zniknęli.
Przepadli. A ta z okna melodyjka
W serce rażona na bruku się ścieli.

### 2. Getto

W obłoki – ku modlącym się bliskim.
Nie strwożeni krzykiem, lecz już niemi.
Przez drzwi i okna w niebo dymem wyszli.
W przestworza Polskę wznosili nad ziemią.

Cień ptaka w ogniu Warszawy się palił.
Strużki dymu. Oraz popiołu stertka.
Uchodząc, zawzięcie o wolność wołali.
Z getta.

Żadna rzeka łez tylu nie pamięta.
Tylu oczu zatopionych w nadziei.
Nie dożyli lata. Gruda zaschnięta
Sinej ziemi do ubrań niczyich się klei.

Cień ptaka w ogniu Warszawy się palił.
Strużki dymu. Oraz popiołu stertka.
Uchodząc, zawzięcie o wolność wołali.
Z getta.

### 3. Dwoje

Milczeniem mnie wzywaj.
Milczeniem odpowiem.
W miłości porywach
Nielegalna zmowa.

Spłonęło listowie
Ostatniego drzewka.
Tyś prawa bezsłownie
I bezmiernie piękna.

Trzymam dłonie twoje,
Cokolwiek los wieszczy.
Przeproś za oboje,
Jeśli będę pierwszy.

Zapamiętam wszędzie
Uchodząc cię czule.
Jutro bez nas będzie.
Już świt jego czuję.

### 4. Ptaki

Gniazd – nie ma już.
Kamienia na kamieniu.
Uderza światła nóż
Reflektorami.
Paść twarzą do piachu?
Jedynie od pocisku.
Pięć ptaków
Ku niebu się wzniosło.

Pięć snów
W niebiosach zaczadzonych.
Pięć słów,
Lecz prawdą nasyconych.
I znów:
Piwnice, tu celuje
Po dwóch.
Lecz wcześniej wylatuję.

Z tych bruzd
Do nieba – lecz nie z rana.
A z ust –
Niczym krzyk kormorana:
Noc, skryj!
Żyję. Lecz już osamotniony.
Precz! Łzy –
Bo cztery zastrzelone.

### 5. Muzykant

Proszę, żyjcie dzięki tej pamięci.
Dzięki rękom spragnionym chleba.
Dzięki dźwiękom upadłego nieba.
Dzięki twarzom za rękami skrytym.

Dzięki obcym głosom w waszym domu.
Przez dzieciństwo w milczeniu zgubione.
Dzięki martwym przygniecionym dłoniom.
Przez żydostwo wśród łez znieważone.

Z tego czasu – ostatnia modlitwa, -
By w agonii nie paść na kolana;
Kartki czasu raniące jak brzytwa.
Palce – nie zapomniały Szopena.

***Grudzień 2004***

# Sem SIMKIN

* * *

Gdym nad deltą Pregoły budował
deltolot pod obłokami,
czułem się
    jakbym stąd emigrował
do kraju dziwów,
    od Boga dany
mi ten kraj świata,
    a ja jak prostak
omal się nie zbłaźniłem,
    obcych
nie znając obyczajów,
    ot Prusak,
widzę, siedzi sobie
    i klopsy
w śmietankowym sosie smacznie wcina,
człowiek taki zwyczajny i prosty,
chłodne piwo do tego popija
i, uśmiechnięty, toast wznosi: - Prost!
Taki olejny obrazek jasno
nagle się w mózgu moim maluje.
Sam jestem,
    na niebie gwiazdy gasną,
siedzę, wokół ciemności, i czuję
że osa podstępna piaszczystą
Mierzeję
    - brzęcząc już mnie dopada! –
nazywa moją drugą ojczyzną
i że jej rację przyznać wypada.
I dobrze, że sam tutaj przybyłem
oraz że pozwalam by narastał
krzyk:
    - Nie jestem marnotrawnym synem!
A fioletowe kwiecie łubinu
na długiej łodydze mi się kłania.
On na piaskach tej ziemi zapuścił
zdecydowanie swoje korzenie
i szybko został mieszkańcem starym,
sosnowego kraju
podbił obszary.
…Niechaj tu sobie deltolot krąży
nad deltą Pregoły,
    tak zwyczajnie
wypisując krzywizny wiraży
nad wszystkim,
    dla wszystkich, dla mnie.

## Na Pregole

Pregoła – to prząśna rzeczka,
lecz wpadająca do morza,
u marynarza wstążeczka
trzecia z kolei,
    w górze
czas biegnie pełen nadziei
przy pieśniach słowiczych nocy,
siedzimy tu sami, biedni,
w zimnie,
    to przecież nie Soczi
ten dawny Königsberg sławny.
Na nic nasze marzenia:
przy Giełdzie
    w święty czwartek
lwy schodzą z podwyższenia,
pędzlem ogona malują
wody pregolskiej rękawy,
sprawdzają i tasują
jak mają się nasze sprawy.
… Szedł obok
    do wioski Rybnej
Dziadek do orzechów
    boso.
Miasto młode,
    miasto dawne,
pod gołym niebem
    dom oto
nasz wspólny.
    To niedaleko.
Tam, nad Pregołą, nad rzeką.

## Olga Postnikowa

Olga Nikołajewna Postnikowa - poetka, autorka kilku zbiorów wierszy, m.in. „Skrzydlaty lew” i „Sól pontyjska”. W ostatnich latach sporo publikacji na łamach takich pism, jak „Nowyj mir”, „Znamja” i „Sogłasje”. Z zawodu restauratorka zabytków architektury. Członek związku pisarzy rosyjskich. Mieszka w Moskwie.

---

### Poetom rosyjskim

Ja echem waszych wersów brzmię,
W cudzą biesiadę szał swój wnoszę -
Pięć minut, marny czas, to wiem,
Oczarowania epigoństwem.

Lecz czemu się zdarzyło, że
W błokowskich rytmach i motywach
Kąt na poddaszu dano, gdzie
W kooperatyw dobie żyłam.

Korząc się w gniewie, wznosząc wzwyż
Dlaczego życiem tak obrastam?
Pieszczę ubogie dziecię. Czyż
Jednak i całus w krzyk nie wzrasta?

Pobłądzić tak, jak stoisz, w noc,
Wyrywać strony zlane łzami,
Aż psychiatryczny szpital moc
Wyroku świstkiem ci objawi...

Ze szczętem zdradził mnie mój los,
Doniósł, co z tekstów waszych brałam.
W niełądzie, wasz przejmując głos,
pisałam - i nie umierałam!

Za grzech nie zezwolono ten
Arbackiej bredni stać się wierszem -
Bym, nim nadejdzie sądny dzień,
Poznać nie mogła czym jest szczęście.

***1979***

## Natalia Gorbaczewa

### Miasto

Dojazd wśród strzępów winorośli,
Jak geniusz, co sam pije z sobą.
Mgieł przypochlebność. Wysokości
Niebios. I nękający obój
Deszczu. Nie wymieniała słońca
Czerwońca ni za grosz przyroda.
Tymczasem już w przedsionku dworca
W wilgoci człowiek drżał, dygotał.
Dusza znająca smak rozpaczy,
Z tej nory uciekając, płaci!
Miasto, co duszę swą zgubiło,
Miasto, co duszę swą zdobyło,
Czy teraz znowu ma ją stracić!?
A ono, szare i zielone,
Było ostoją krajów Rzeszy.
Póki teutońskich tu sztandarów
Kwiecień wściekłością swą nie przeszył,
Nie zrzucił z fortów na przedmieściach,
Z murów i blanków baszt wiekowych –
W huku odwetu, w chwili wejścia,
Do stóp walczących grup szturmowych.
Nad wiecznym snem Immanuela
Śmiertelna zamieć grzmi i błyska,
Co jest dla miasta jak mogiła,
Co jest dla miasta jak kołyska.
Jeszcze dymiły rozwaliny,
Wulkany wojny ledwie dysząc,
Jeszcze strzelały ich ruiny
W zbolałe serce martwej ciszy,
Gdy miasto już przybranym synem
Przedziwnej stało się krainy.
I pod zwęglone swoje skrzydła
Wichrów cierpiący lud ukryło,
Co w bród ku niemu wciąż napływał
Wszechmocny swoją straszną siłą.
Powodów, by tu przyjść, nie brakło:
Werbunku fala głośno biła
I nagość ruin uwodziła,
Z rozwalin wyrastało miasto.
W germańską wlała się aortę
Rosyjska oszalała zgroza.
Ni z bogiem modląc się, ni z czortem,
Goliznę miasto me obnaża
Swoich podszytych wiatrem granic
Przestrzennie chmurnych. Nowe wzrasta,
Dawnego – brat.
Lecz Abel? Kain?
Nie wiem. Po prostu moje miasto.
Tu wszystko wścieklej rośnie, stromiej.
Mężnieje. Budzi życie moje
Muzyki deszczu niepokojem,
Z błękitnych spadło tu zakoli.
Powodów brak do pesymizmu.
Swojej wielkości pilnie strzegł
Fanatyk pośród ateistów,
Mój Kaliningrad von Königsberg.

*Tłum.: Leszek Szaruga*

Zbigniew Kresowaty

Andrzej Wołosewicz

# POEZJA W LUSTRZE –

## O TOMIKU „W TYM SAMYM CZASIE" LESZKA SZARUGI

### Uwagi wstępne

Z wydawnictwa „Zaułek Poetycki Pomyłka" Cezarego Sikorskiego dostałem tomik Leszka Szarugi anonsowany jako „niezwykłe połączenie wierszy z mini-eseistyką". Czyż to nie jest zachęcająca zapowiedź? I wyzwanie? Tym bardziej, że Wydawnictwo ma już swoją markę, nie wydaje byle czego. Na coś się tu zanosi, ale na co? Pójdźmy tropem słów Sikorskiego i zacznijmy lekturę.

W tomiku mamy zaprezentowaną następującą koncepcję. Po lewej stronie wiersz, po prawej ów komentarz nazwany mini-esejami. Struktura czytelna, jasna, wiersz i jego lustrzane odbicie w innej formie językowej, wszystko „zamknięte" na dwóch sąsiadujących stronach, poeta w wierszu i poeta przyglądający się sobie, swemu wierszowi. Przyzwyczailiśmy się, że autorski komentarz dostajemy na wieczorach autorskich, czasami w jakiejś polemice, o ile poeta nie jest *milczkiem*. I to chyba wszystko. A tymczasem tu mamy to wszystko w tym samym czasie! Nie wiem tylko, czy Szaruga swoje dopowiedzenia pisał od razu, w tym samym czasie, czy są one efektem jednak rozłożonego w czasie namysłu? Mogłoby to stanowić ciekawy punkt odniesienia do tych *czasowych* dywagacji. Swoje refleksje podzieliłem na „dwa tony". Najpierw

**O tomiku źle**

Lektura nie zaczęła się dobrze. Gdyby nie mail Cezarego, który mi trochę pomógł w akceptacji Szarugowego pomysłu – w przeciwieństwie do samej lektury – miałbym kłopoty. Jakie to kłopoty? Najlepiej je oddaje to, co sobie na gorąco po lekturze całości zapisałem, że mianowicie pomysł Szarugi z natychmiastowym połączeniem (przynajmniej w czytelniczej lekturze, bo przypominam swoje zastrzeżenie, że nie wiem, czy poeta pisał swoje eseje na gorąco) wiersza z komentarzem jest ocalający, bo gdy czytać stronę lewą (wiersze) osobno i osobno prawą (mini-eseje), to właściwie mamy takie sobie dwa ględzenia, ale w połączeniu już nie są takie miałkie. Efekt synergii? Nie wiem. Być może. Tyle gorącego zapisu. Pora na spokojniejszą, niespieszną lekturę. Czytam jeszcze raz, nie mogę, nie chcę sobie odpuścić tak negatywnego odbioru. Chcę się więcej dowiedzieć. O tekście? O sobie? O swoim czytaniu tekstu Szarugi? O „czytaniu" mnie przez ten tekst? Nie przesadzam, pisałem w wierszu „Czytał mnie Różewicz", że teksty też nas czytają i nadal się tego trzymam:

są dwa rodzaje lektury
ja to już wiem

pierwszy – bierzesz książkę i czytasz
a w drugim to książka czyta ciebie

tak właśnie czytał mnie Różewicz
i tuzy południowoamerykańskiego boomu

„Niepokój", „Czerwona rękawiczka", „Twarz",
„Nic w płaszczu Prospera", Rozmowa z księciem"
„Sto lat samotności", „62. Model do składania",
„Tyran Banderas", „Legendy gwatemalskie"

„Mister Taylor i inni", „Lustro",
„Miasto i psy", „Raport Bordiego"

potem czytały mnie Stachurowe tłumaczenia wierszy Borgesa
czy Michela Deguy bardziej niż samego Steda

bierzesz książkę do ręki i zaczyna się
wersy, strony, stół czy fotel, ty, herbata, słowa

wszystko w napięciu wymieszaniu symbiozie
żeglujesz płyniesz czasem z trudem łapiesz oddech

jeśli wychodzisz z tego odpowiednio pogruchotany
rozbity i złożony na nowo

ciesz się
właśnie zostałeś przeczytany

***(„Monogram ze starych zegarów", Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2010)***

Sprawdźmy. Sprawdź, Czytelniku, sam, tym bardziej, że koncepcja Szarugi w tomiku „W tym samym czasie" daje taką możliwość. Przeczytajmy więc wiersz ze strony 10 (wiersze w tomiku nie mają wyszczególnionych tytułów, są numerowane, chociaż w spisie treści są i ich numery i fragmenty frazy (jako tytuły?) - raz pierwszy wers, raz tylko jego fragment, to znów dwa pierwsze wersy – trudno znaleźć w tym regułę):

1.

kopią tunel jest ich
niewielu są

zdesperowani muszą
się dostać
na drugą stronę

dowiaduje się
że w ciągu miesiąca
najdalej dwóch
umrze nie ma
ucieczki mówi
lekarz

trenują te wszystkie
najdrobniejsze ruchy
które niebawem
będą decydować
o powodzeniu
misji na marsie

powoli namierza
głowę tej dziewczynki
wstrzymuje oddech
delikatnie
naciska spust
dziewczynka się potyka
pocisk
rozłupuje tynk
nad jej głową

trzeci raz dzisiaj
gwałci
to niemowlę i znów
czuje się władcą
wszechświata

stawia
ostatni znak
równania które

i odpowiedzmy sobie, co wyczytujemy. A teraz strona sąsiednia, jedenasta i mini-eseistyka (jak chce wydawca):

„Tyle rzeczy się dzieje w tej samej chwili i wszystko to w sposób niepojęty tworzy świat, w którym żyję łącząc zbrodnię z dobrem, naukę z terrorem, smutek z radością w całość nierozerwalną, jednocześnie odpychającą i fascynującą. Nie wiem, jak o tym pisać, jaki „chwyt" zastosować, by pochwycić ten zaplot ludzkich zachowań składających się na wspólnotę *family of man*. Nic co ludzkie, nie jest mi obce? Naprawdę? Być może bohater ostatniej strofy nie powinien stawiać tego znaku…

Znaku zagłady? Znaku ocalenia? Zapewne on sam tego nie wie.

Ja z pewnością."

I co? Znajdujecie swoje *wyczytane* w Szarugowym? Bo ja nie, ale zestawienie wiersza i eseistyki (zostańmy przy określeniu Sikorskiego) uruchomiło we mnie pytania, o. których za chwilę. Pytania, pytania, pytania… Szaruga wciąż zadaje pytania. Intelektualista jest od zadawania pytań. Potwierdza to Szaruga końcowymi słowami eseju komentującego przytoczony wiersz. W ten sam sposób „występują" wszystkie wiersze, czyli najpierw wiersz a na sąsiedniej stronie komentarz do niego. Jest to na tyle silne związanie, że te komentarze nie mają swojej osobnej notacji w spisie treści, ta dotyczy jedynie wierszy, z których żaden – co ciekawe – nie ma tytułu, są jedynie, jak już wspominałem, kolejno numerowane. Zatem wiersze i eseje prezentują się nam *w tym samym czasie*.

Intelektualista jest od zadawania pytań. Poezja jest *od*?

Spójrzmy na kolejny przykład (ze stron 12 i 13):

Zbigniew Kresowaty

Zbigniew Kresowaty

5.

gdy byłem mały było
na planecie
trzy i pół miliarda
ludzi dziś
jest ponad
siedem miliardów

niektórzy
chcą wymówić

To Słowo

inni
milczą

wszyscy
czekają

a teraz komentująca mini-eseistyka:

„Czekają na co?

Mógłby ktoś spytać. U Kawafisa czekają „na barbarzyńców", którzy jednak nie przychodzą, choć, jak powiada poeta, „ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem". Tłum narasta w mieście, na planecie, którą pokrywa, by posłużyć się określeniem Różewicza, coraz większa tkanka „gadającej pleśni", dla której Słowo nie istnieje, poszukują go jedynie niektórzy. Wymówienie Słowa jest chyba otwarciem: ocala bądź niszczy. Przy czym, gdy zestawiam Słowo z milczeniem, w gruncie rzeczy chodzi o to samo. Nie jestem pewien tego zestawienia czy raczej znaczenia tej konfrontacji. „To Słowo" jest milczeniem albo jest takim przemienieniem języka, za sprawą którego będzie możliwe przystąpienie do ponownego budowania Wieży Babel – sięgnięcia w głąb kosmosu w aurze międzyludzkiego porozumienia, gdyż ucieczka z planety zdaje się być w przyszłości jedynym ratunkiem.

Pisane to jest „na wyczucie", wiem i nie wiem, co piszę. Wiem, że To Słowo jest w poezji, ale nie potrafię powiedzieć czym jest sama poezja: wydaje mi się, że jest tym, co piszę i co piszą inni uprawiający poezję. Chyba – ale to tylko domniemanie – jest próbą dojścia do Słowa stanowiącego fundament ludzkiej wspólnoty, do języka, który byłby odpowiednikiem poszukiwanej przez mistyków, a utraconej po wygnaniu z Raju *ligua adamica* albo postulowanego przez Chlebnikowa „języka będziańskiego"."

Jeszcze raz przeczytajmy początek eseju komentującego wiersz 5.: „Czekają na co? Mógłby ktoś spytać." Mógłby. Ale to ja, czytelnik, pytam autora Szarugę – no to spytał czy nie spytał? A autor, zawsze-pierwszy-czytelnik-samego-siebie, spytał czy nie spytał? Wydaje mi się, z lektury komentarza, że odpowiedź kierunkowa, owo dążenie, podążanie za Słowem, Tym Słowem, dobrze brzmi, dobrze wypada narracyjnie, ale intelektualnie, merytorycznie „grzęźnie" w grze słów, jak wszelkie „ostateczne wyjaśnienia", „jedyne słowa" czy nawet „pierwsze słowa" albo i „To Słowo". To oczywiście nie jest „*winą*" Szarugi, takie poszukiwania dzieją się niemal *od zawsze*, warto jedynie mieć świadomość, kiedy są poszukiwaniami a kiedy tylko językową żonglerką słów. Najczęściej tym ostatnim. Nie znajduję u Szarugi argumentów, że akurat u niego jest inaczej. Stąd moje utyskiwania. Ale staram się je pokonywać, dlatego teraz

**O tomiku dobrze**

Na szczęście kolejny szósty wiersz przywraca moje czytelnicze nadzieje. Zobaczmy:

6.

poeci i poetki krety wyobraźni
szukają pod powierzchnią
słowa co zabliźni
rany naszego świata
krwawiące światłą
gwiazd

Kosmos jest zamknięty w słowie. W każdym słowie jest kosmos. Jakoś jestem o tym przekonany, choć nie jest to przekonanie, które mógłbym logicznie uzasadnić. Po prostu słowo jest formą kosmosu. Pod jej powierzchnią – a tylko ta jest nam dana – buzuje magma znaczeń, których jednoczesność powoduje, że wciąż się wzajemnie znoszą i ustanawiają od nowa. Docieranie, do tego, które ocala i jego pochwycenie jest trudem poetów.

Każdy ma swoją gwiazdę bolesną. To rana: ból świata, *Weltschmerz*. prawdziwe znaczenie słowa zdolne jest ją zaleczyć. Znaczenie słowa objawia się w poezji, która jest przestrzenią prawdy. Kłamliwe wiersze nie należą do poezji."

Wiersz 6. to dla mnie pierwszy wiersz, który broni się przed moim oskarżeniem o *ględzenie i niesamodzielność*. Ten wiersz jest autonomiczny, zdolny do zaistnienia w autonomicznym czytaniu, bez podpórkowego komentującego eseju. Jest to wiersz dobry, impulsywny, wykraczający poza publicystykę intelektualną wszystkich poprzednich. Dobry, bo nie mający z nią nic wspólnego. Nie potrzebuje uzupełniającego eseju, choć są w nim – w eseju – świetne dwa końcowe zdania: „Znaczenie słowa objawia się w poezji, która jest przestrzenią prawdy. Kłamliwe wiersze nie należą do poezji." Chciałbym, aby te zdania zostały Szarudze zapamiętane, aby zostały w historii literatury, w historii i teorii krytyki literackiej. Są tego warte! Warto je powtarzać wszystkim piszącym poezję, także nam. Wydaje mi się, że najłatwiej przyłapać złych poetów właśnie na *kłamliwych wierszach*. I chociaż nie mam, nie mamy tu żadnej niezawodnej metody weryfikacji, to mam, mamy miarę, podaję ją za Szarugą: kłamliwe wiersze nie należą do poezji. Mogę jeszcze podeprzeć się dawnym wierszem (ja go znam od końca lat 70-tych) Andrzeja Szmidta *Ta struna*:

nie wiem
nikt nie wie
kiedy się pisze dobry
a kiedy zły wiersz
to jest nie do określenia
ale zawsze kiedy piszę
prowadzi mnie ta struna
której nie wolno
mi zaprzeczyć
o której wie
każdy prawdziwy poeta
co nie kłamie

rzecz dotyczy nie tylko poezji

Uczmy się od Szmidta, uczmy się od Szarugi. Kłamliwe wiersze nie należą do poezji.

„W tym samym czasie" ewidentnie wskazuje na synchronię. Wiersz otwierający tomik potwierdza to – banalne – spostrzeżenie. Ale dalej już tak banalnie nie jest, bowiem Szaruga dokonując zabiegu opisania świata *w tym samym czasie*, chce nas – chyba – do czegoś przekonać. Ale do czego? Chyba nie do tego, że wiele się w tym samym czasie dzieje, to zbyt banalne, oczywiste, nie potrzebujemy do tego ani filozofii ani wierszy Szarugi. Co w takim razie robi poeta? Przekazuje nam kilka synchronicznie wykonanych fotek świata. Ale czyj jest tak sfokusowany świat? Zdaje się, że jednak Szarugi. Oczywiście wolno mu, jak najbardziej to zrobić. Piszę *jednak*, bo od razu słyszę opowieść jednego z akademików, który polecił swoim studentom przez kilka dni oglądać wiadomości wyłącznie w wybranej stacji telewizyjnej. Efektem zajęć podsumowujących był tak emocjonalny spór, że bardziej przypominał Bitwę pod Grunwaldem niż akademicką dyskusję o „prawdziwym" obrazie świata. Tak różne wyłoniły się z tej obserwacji obrazy! Przytoczyłem ten przykład, by uzmysłowić nam, że każdy z nas ma swój „ten sam świat" w „tym samym czasie". Nawet poszczególni bohaterowie Szarugi, których on „fotografuje" maja inne swoje światy. Strzelec może tłumi myśli o swoim dziecku (jeśli je ma), aby emocje nie zepsuły strzału. Lekarz z całą medyczną precyzją traktuje pacjenta właśnie jako kolejnego pacjenta, kolejny medyczny casus a nie ojca rodziny czy młodego człowieka, któremu zakomunikował koniec świata, itd., itd. „Ten sam świat" widziany przez bohaterów (ale i przez kogokolwiek innego, przez kogokolwiek z nas), którzy coś *w tym samym czasie* robią lub coś się z nimi dzieje, nie daje nam wspólnego obrazu. Zabieg Szarugi jest intelektualnym abstrahowaniem. Nie ma bowiem rzeczywistego punktu obserwacyjnego, by zobaczyć, to, co Szaruga pokazuje jako dziejące się w tym samym czasie (być może taki punkt obserwacyjny ma Bóg). Ale nie dywaguję po to, by cd. str.32

cd. ze str.31

dokuczyć Szarudze. Wcale nie mam pretensji, że robi to, co robi. Chce tylko z całą mocą podkreślić, że to, co Szaruga określa jako „zaplot ludzkich zachowań składających się na wspólnotę *family of man*" jest ułudą. Zgadzając się z autorem, że „tyle rzeczy dzieje się w tej samej chwili" (bo o to mu przecież chodzi), nie zgadzam się zupełnie, że „wszystko to w sposób niepojęty tworzy świat, w którym żyję łącząc w sposób niepojęty zbrodnię z dobrem, naukę z terrorem, smutek z radością w całość nierozerwalną (...)." To „łączenie" jest słowem-wytrychem nie odpowiadającym żadnemu realnemu połączeniu prócz – jak powtarzam – zarejestrowaniu różnych faktów z synchronicznego przekroju. Coś jak wybranie rodzynek z przekrojonego ciasta. Lubię takie ciasta, ale wyjmowane przez Szarugę „rodzynki" żyją w światach osobnych, raczej na wzór monad Leibniza albo układów względnie izolowanych Ingardena (Szaruga nie stroni od filozoficznych odwołań, więc i ja sobie na nie pozwalam). Oczywiście i te „fotografie" Szarugi zebrane w wiersz i te „rodzynki" z mego przykładu mogą, przy pewnym wysiłku, wcale nie takim małym, zostać zobaczone w tym samym czasie, oddając niedoprecyzowaną przez Leibniza kwestię, aby jedna monada odzwierciedlała niewyraźną obecność pozostałych, ale kluczowe tu jest słowo *niewyraźna* (obecność) i owa *potrzeba dodatkowego wysiłku* – nic tu nie dzieje się samo. W tym miejscu mogę już tylko odesłać chcących drążyć problem poza tekst i sens mojego wywodu, odesłać do książek Bruno Latoura, albo doskonałej książki o nim Krzysztofa Abriszewskiego „Poznanie, zbiorowość, polityka" (Kraków 2012).

Leszek Szaruga stawia wiele pytań, a to o cywilizacyjno-społeczne funkcjonowanie języków, ich rozwój i zanikanie, a to o całą kosmologię ludzkiego istnienia i ludzkiego losu, a to o przyszłość naszej planety (tak, tak), a to o wartościowanie („Zdobycie Kryształowej Kuli w skokach narciarskich jest równie istotne jak otrzymanie Nagrody Nobla w fizyce czy ekonomii.", s. 29)., a to o sztukę i wolność, jak w wierszu:

10.

to się dzieje naprawdę
chcę napisać wiersz
a oni zabierają mi wolność
to się dzieje naprawdę

to się dzieje naprawdę
wiersz ma być o słowach
a oni słowa pozbawiają znaczeń
to się dzieje naprawdę

to się dzieje naprawdę
wyganiają poetów
mają swoich filozofów
budują nowe państwo"

A to pyta nas Szaruga o granice wiersza, o granicę między „tylko literaturą" a „samym życiem", zobaczmy stosowny wiersz i esej:

13.

gdy piszę ten wiersz
inni się kochają
ktoś uprawia biały
wywiad lub czarną
magię zaś polityk
obmyśla sposoby
urządzenia mi życia

świat się zmienia
codziennie inaczej
i zaskakuje nas
wszystkich swą
trwałością to jest

czysta poezja

01.01.2018

Zawsze interesowała mnie ta płynna granica oddzielająca „tylko literaturę" od „samego życia". Owo lekceważące „to tylko literatura", z naciskiem na „tylko" musi budzić jeśli nie sprzeciw, to w każdym razie pewne wątpliwości. Rzecz w tym, że – przynajmniej w naszej przestrzeni kulturowej – literatura stanowi dla życia i naszych zachowań jeden z nieredukowalnych punktów odniesienia. Przy czym żyjąc niekoniecznie musimy znać literaturę z bezpośredniego z nią kontaktu. A jednocześnie przecież pisanie wiersza jest takim samym rodzajem życiowej aktywności, jak każdy inny – to wszystko dzieje się w tym samym czasie, jednocześnie. Opowieść poetycka, seks i polityka to w jakiejś mierze sposoby egzystencji sobie równoważne. Poeta pamięta Miłosza jest w jego twórczości równie ważny jak wiersz *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklaneczką whisky na lotnisku dajmy na to w Indianapolis*. Zdobycie Kryształowej Kuli w skokach narciarskich jest równie istotne jak otrzymanie Nagrody Nobla w fizyce czy ekonomii. A nikt przecież nie powie zdania o tym, że cos jest „tylko logiką matematyczną", choć przecież jest to dziedzina, z którą co prawda na co dzień nie ma do czynienia, lecz która ma olbrzymi wpływ na ludzkie postępowanie choćby dlatego, że jedną z konsekwencji uprawiania owej logiki jest powstanie telefonów komórkowych. Podobnie z literaturą, z której wyjmujemy takie pojęcia jak „hamletyzowanie" czy „donkiszoteria", często – coraz częściej – nie wiedząc, że są one zakorzenione w artystycznych opowieściach.

A jednocześnie czuję, choć nie do końca potrafię to ująć w słowa, że literatura to jednak „coś więcej" niż „tylko życie"."

Mniej mnie tutaj zajmują Szarugowe dywagacje porównujące *istotność* zdobycia Kryształowej Kuli z *istotnością* Nagrody Nobla, bo nie da się tego bronić w „tym samym czasie" a jedynie z punktu widzenia *zainteresowanych*, ale nie chcę już wracać do kwestii kto dokonuje synchronicznego „fokusowania", do tych naszych punktów widzenia i (wartościowania). Chciałbym raczej skorzystać z okazji i bronić Szarugowego myślenia w innej kwestii. To zadawanie pytań, pytań, które nie dla wszystkich muszą być równie zajmujące a nawet mogą nużyć, ma jeden walor lokalizowany poza samą ich treścią (czy niezależnie od niej), są mianowicie zadawane szczerze i poważnie. I to w lekturze całości doskonale widać. Szaruga wraz ze swoimi pytaniami staje tu w prawdzie, w swojej prawdzie ich zadawania, w całej ich powadze. Ta uwaga wydaje mi się ważna dla tych, którzy będą marudzić na tematykę tomiku „W tym samym czasie". Wśród tej tematyki są – dla mnie osobiście interesujące – tematy dotyczące tego, co się dzieje/może dziać w wierszu i z wierszem jako komunikatem skierowanym przecież do kogoś (oczywiście jednym z tych „kimś" zawsze jest autor). Zobaczmy wiersz 19. I komentarz do niego. Proszę spojrzeć na autorskie rozpisanie wiersza na „wariantowość" myślenia o nim (i w nim!):

19.

jest natura rzeczy i natura słów
słowa nie należą do natury rzeczy
rzeczy należą do natury słów
daję rzeczy słowo którego
z natury rzeczy nie utrzymam
w tajemnicy wyjawię je wydam
na pastwę losu i w tym rzecz

Dwa zwroty mają zbudować ten wiersz: „z natury rzeczy" i „w tym rzecz". Można by tu jeszcze poszerzyć pole gry, choćby przez wykorzystanie zwrotu „mówić do rzeczy" – zarazem znaczy to przecież „mówić sensownie", ale też „przemawiać do przedmiotów":

mówię do rzeczy jak
dziad do obrazu

Można też grać „dorzecznością" i „niedorzecznością", a wreszcie prześwietlić samo pojęcie „natury". Taka zabawa jest radością przetwarzania, modelowania i rozwijania rozpoczętej opowieści, która ujawnia swą własną logikę, nieprzewidywalną wcześniej i mnie samego zaskakującą, odsłaniającą przede mną nieznane dotąd przestrzenie świata."

Warto – to uwaga do wszystkich poetów ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy potrafią zajeździć język aż poza granice komunikatywności – stawiać się w roli wnikliwego słuchacza własnych wierszy jak uczynił to Szaruga, wierszy, o których przecież, jako ich akuszerzy, wiemy znacznie więcej niż czytelnik, któremu za chwilę chcemy je przedstawić.

I jeszcze jeden z nie pośledniejszych tematów, jeśli ktoś zna publicystykę Szarugi – mam na myśli naszą narodową tromtadrację. To jej dotyczy esej-komentarz na stronie 61, składający się przytoczeń Słowackiego i Gałczyńskiego. Nie odmówię sobie przyjemności ich przypomnienia. Powiada więc Szaruga:

29

w tym samym czasie gdy to piszę
wokół mnie budzą się demony
nowego wspaniałego świata
w którym wielkie My
pożera człowieka
zabiera mu wolność
zmienia mu język i trwa
nowa
*pierekawka dusz*

jedni mówią wolność
to Polska inni mówią Polska
to wolność i te równania
nie są z sobą
tożsame

Ten wiersz nie potrzebuje przypisu, sam jest bowiem przypisem do Słowackiego:

Szli krzycząc: „Polska! Polska!- wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu,
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzycząc: „Boże! Ojczyzna! Ojczyzna!,
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?

Ale, uczciwie mówiąc, w tle słychać też Gałczyńskiego:

- Patrz, Kościuszko na nas z nieba!
raz Polak skandował.
I popatrzał nań Kościuszko,
i się zwymiotował."

Zapewne tomik „W tym samym czasie" spotka się z różnymi ocenami, sam byłem, jak widzieliście *i za i przeciw*, ale na pewno – i to jego wartość niepodważalna – Szaruga uwypuklił, namacalnie uwypuklił istnienie „przestrzeni" interpretacji i jej różnorodność, pokazał jej siłę (jeżeli nasze wyczytywania były (jakoś) zbieżne z autorskimi) lub słabość (jeżeli były drastycznie sprzeczne) albo dynamikę interpretacji tych wyczytań. Inaczej mówiąc, zrobił pewne ćwiczenie, w którym stał się prekursorem. Oczywiście nie w tym, że autorzy mówią o otoczce swoich wierszy, którą noszą w sobie (dowiadujemy się o niej choćby na spotkaniach autorskich), bo to czynili i czynić będą, ale w tym, że dokonał tego jawnie, otwarcie, od razu, niemal *w tym samym czasie*. Jeżeli więc z czegoś po lekturze jestem zadowolony, to najbardziej z tego ćwiczenia, z samego zabiegu. Ono pozostawia nas z zawsze otwartym pytaniem, którym chciałbym zamknąć swoją próbę recenzji: gdzie się tak naprawdę wiersz zaczyna i gdzie kończy? Myślę nawet, że ów koncept prezentacji wiersza równocześnie z jego eseistycznym uzupełnieniem wychodzi naprzeciw Miłoszowym poszukiwaniom *bardzie pojemnej formy*, jest jedną z możliwości rozwiązania tego wcale niełatwego zadania. Na ile to udało się Szarudze?

***Andrzej Wołosewicz***

Zbigniew Kresowaty

## Zofia Zarębianka

***

Wakacje sprzed pięćdziesięciu lat
w Zawoi
na żółknącej trawie
leży
blask słońca
a ścieżką pod lasem
o zachodzie
jak wtedy
przechodzi ruda
krowa
mała dziewczynka po raz pierwszy
przeżywa Weltschmerz
i nie chce się dziś bawić
lalkami

Wspomnienia nadmorskie dedykowane Mamie Pamięci mojej Matki, aktorki Teatru Wybrzeże w sezonie 1946/1947, absolwentki studia teatralnego Iwo Galla

Jakże ci Mamo
Opowiedzieć zieloną wodę w Zatoce
Przypływają twoje wspomnienia
Na skwerze przed Riwierą
To tam na trzecim piętrze
była ulica Złoczyńców
Artystyczny kołchoz
Pierwszych powojennych lat
Morze jak dawniej jest
Szare albo zielone
I tak upływa w wieczność

Tablica Iwo Galla
Miał być moim chrzestnym
Ale umarł
Kulawą panią Halinę
Jego żonę
Pamiętam
Wnosi herbatę na chyboczącej się tacy
I mówi
Całkiem ładna
Jest ta twoja córeczka

### Z Orłowa

Dla Joli Laudańskiej-Łukowicz

Byłam tutaj zanim się narodziłam
Niewielkie uliczki opodal nadmorskiego brzegu
Stare wille w zaniedbanych ogrodach
Już wtedy z tego molo patrzyłam w daleki
Horyzont
Było późne lato
Była wczesna jesień
W białych koralach i sukience w kropki
Stoisz w oknie
opierając się o framugę
I czekasz na mnie
uśmiechasz się łagodnie
Z czarno-białej fotografii
Którą pomału ściera czas

***

Pamięci Dziadka zamordowanego w Oświęcimiu

Nosił takie optymistyczne
Nazwisko
Mój dziadek Jakub
Jutro będzie lepiej
Nadzieja
Na lepsze jutro
Spełnił a się
W dymie
Oświęcimskiego komina

***

Dla Taty

Dziewięćdziesięcioletni
Chłopczyk
Obserwuje na łące
Motyle
Z siatką na kiju
Przerzuconą przez
Ramię
W krótkich spodenkach
Biegnie
Na spotkanie
Nad nim przelatuje
Ćma

***

Na molo w Orłowie
Tańczą panny młode
Jak na moście
W mieście Avignon
Na molo w Orłowie
Zapada zmierzch
I gorzka kawa
podpowiada sen
Na molo w Orłowie
Kończy się dzień
W wodzie topi się
Ślad

Katarzyna Nandzik

## Między wierszami

***

sprzeciwiam się ciszy
ciszy skrępowanego ja
czekania, potoku słów niewypowiedzianych,
niewiedzy
niepoznania siebie
niewkraczenia w przestrzeń
w której drzewo owoce wydaje
we właściwym czasie
sprzeciwiam się wodzie wyschniętej,
niech znów pagórki pojezierzami wytrysną
a czarne niebo błękitem się rozleje
jasnego nieba, talerzem zieleni
spowitej lekkim słońca przedświtem

Katowice, 30.10.2018

***

pisanie wierszy
nie ma nic wspólnego z życiem
wydawać by się mogło, że z niego
słowa powstają, ścielą dni, *korytarze światła*[1]
zapach kruchych ciastek przypalonych przez matkę
resztki konwalii zerwanych podczas rzęsistej burzy
choć słowo stało się ciałem – jest bezsprzeczne i nieuniknione
i tylko to jedno Słowo stanowiło Życie
jak chmura co deszczem płacze
i śniegiem tworzy rysunku kołowrotki
pierwsza była i deszczem zrodziła
ziemia połknęła i wytrysnęła zielenią
spowita tchnieniem początku o świcie

pisanie jest według mnie
karuzelą metafor
peryfrazą
epitetem
porównaniem
apostrofą
czymś czym chcemy pokolorować nierówny oddech
rozdygotane serce
piosenkę co kałużę w fontannę oczu przemienia
i to doświadczenie, zwykłe monotonne experiens
co się nie powtórzy choć zdaje się powtarzać

Katowice, 1.01.2019

Słowa

kiedy wypowiem
dotknę lekkim pierzem twojej twarzy
może zdmuchnięte
przestraszy się i zamilknie

boję się tych ciemnych miejsc niewypowiedzianych
kiedy głowa paruje jak garnek

wypuszczam je zatem jak ptaka z klatki
fruną równym szykiem
docierają do celu długie jak szyje łabędzi
kluczem płyną po niebie by gniazdo znaleźć
ciepła twoich rąk rozwartych

ocierają się wtedy jak kot
i mruczą głaskane uśmiechem
gdy słuchasz jak drzewo co oddaje powietrze
nabieram głęboko je w płuca
- las pełen zieleni

Katowice, 31.01.2019

***

są słowa klucze
do drzwi zamkniętych
zamków obwarowanych
tajemnych skrytek
dziupli w drzewach schowanych

są słowa jak spracowane dłonie
niczym w glinie rzeźbią
drążą jak woda w skale
odkręcają hydranty ran
dokopują się do dna studni

są słowa opierzone
ranę dziobiące jak ziarno kura
jak wilk wyjące o północy
kiedy zmierzch zawita
i słońca już skrawek

są słowa lekkie jak pyłek kwiatowy
drapiące w nos jak słońca promyk
są jeszcze takie
które niczym deszcz
i lodowate jak śniegu rysy na szkle

są wreszcie słowa, co przytulają same
takie jak kocham, tęsknię, przepraszam
tętniące życiem i siłą i odwagą
takie co karmią, nawodnią i przygarną
słyszalne jak drżący rytm serca po burzy

Katowice, 4.02.2019

***

milczałam gdy trzeba było powiedzieć
niespotkaniem
niemówieniem
ignorowałam narastającą ciszę

w tej ciszy huragan myśli swe toczył
dzwony dzwoniły już w piątym kościele
z garnka zupa wylewała się spiesznie
trzaskały okiennice ponaglone wichurą

w tej ciszy słyszałam
ciche nie mów, nie bądź, nie słysz
- przemóc się, rozstroić tę ciszę
nie tracąc wciąż zapominając siebie

w tej ciszy narastałam do krzyku
niewyartykułowanego ja
niewygojonych się ran
narastał szept

w tej ciszy podjęłam decyzję
że chcę żyć
oddychać pełną piersią
świeżym powietrzem
tym co jak po burzy
kreśli kolorowe pasmanterie

Katowice, 6.02.2019

***

przez niebo białe prześwity słońca
drży liści drzewa korona
na mojej głowie
porusza wiatr z lądu niesione słowa
lekko i śpiewnie
drzemie w nich melodia
ich zapach co struny porusza
układając wiersz
melodią przeszyty

jeśli mam spotkać
muszę doświadczyć
dotknąć
pocałować
usłyszeć dźwięk
poczuć zapachy ulotne
spamiętać je
rozkochać
chcę przeżyć głębię gdzie skałę
rozrywa wichura i grzmot
nieba się szerzy

w szczelinie ukryć odrobinę twarzy
i jak gołąbka wejść w tą ciszę
w niej to pozostać i do niej dorastać
stać się mieszkaniem
domem powrotem
odratowaniem zgliszczy

Katowice 11.02.2019

[1] *K. Miłobędzka: [zdarzają mi się korytarze światła]. W: Po krzyku. Wrocław 20.....*

Grzegorz BAZYLAK

# NIERZECZYWISTOŚĆ WIZERUNKU

Wiele rozproszonych śladów i rozmaitych niepozornych szczegółów wskazuje na to, że katastrofalne skutki absurdalnej urzędowej pomyłki w zakładzie dla psychicznie chorych kobiet i postać młodego „*dekoratora witryn najmodniejszych sklepów, cieszącego się zasłużonym prestiżem etatowego pocieszyciela mężatek*" [1], jakie zostały przedstawione w napisanym w 1980 roku opowiadaniu Gabriela Garcii Márqueza (1927-2014), mogły stanowić jedno z istotnych źrodeł inspiracji prowadzących do powstania „Człowieka nocy". Marcin K., jako dekorator i narrator tej powieści, stanowi prawdopodobnie uosobienie dręczącego Zbigniewa Wilczyńskiego (1954-2008) niezwykle istotnego pytania: kim jest artysta? Jego odpowiedź mogłaby w dużym stopniu pokrywać się z poglądami światowej sławy rzeźbiarza i malarza Władysława Hasiora (1928-1999), autora prowokacyjnych, wstrząsających, ale i swoiście dekoracyjnych, tworzonych z odpadowych elementów, instalacji i kompozycji, wywołujących do dzisiaj przynajmniej u części publiczności niechęć, zgorszenie, niesmak, przerażenie, który twierdził, że „*sztukę nie po to się robi, żeby rozwiązać absolut formy, tylko po to, by przekazać jakieś treści, jakieś emocje. Przecież jest potrzeba porozumienia się z kimś innym*" [2].

Powracający wielokrotnie w twórczości Hasiora motyw upadłego anioła można odnaleźć w dramatycznych powieściowych perypetiach Marcina K., które w końcu powodują, że zasłuchany w elektroakustyczną muzykę i poszukujący miłości „*anioł przybrał diabelskie oblicze*" [3] w zderzeniu z bezpodstawnym oskarżeniem, instytucjonalną opresyjnością, nieuleczalną chorobą, ludzką podłością i własną bezsilnością. Montowana w Gdańsku przez Marcina K. lustrzana ściana przywołuje na myśl przesyconą wieloaspektową wizją cierpienia kompozycję Hasiora „Przesłuchanie anioła", gdzie „*lustro stało się bezdenną przepaścią, drogą donikąd. Lustro to rodzaj świetlistego tunelu bez końca, ale aby do niego wpaść, anioł musi doświadczyć bólu*' [3]. Niepokojąco realistyczny i drastyczny wizerunek moralnie rozchwianej elity kształtującego się po 1989 roku w Polsce konsumpcyjnego społeczeństwa „*zaburzonych impotentów oraz fetyszystów*" [4], jaka przegląda się w tych srebrych lustrach, kontrastuje z powracającym uparcie w powieści Wilczyńskiego monochromatycznym niebieskim motywem, który może być zakamuflowaną, ironiczną aluzją do wykorzystywanej w szopce betlejemskiej błękitnej szaty czuwającej nad światem Madonny [3], co razem wytwarza w tym utworze nie do końca zdefiniowane metafizyczne pole walki pomiędzy siłami realnego zła i fantazmatycznego dobra. Odwołująca się do koncepcji kontrkultury, psychodelicznego rocka i pop-artu [5], mieniąca się rozmaitymi odcieniami, krucha, jakby niematerialna, pulsująca i tajemnicza układanka wijąca się na kartach szokującej powieści Wilczyńskiego zaczyna się „*niebieską farbą*" (fragment 7), „*granatowymi oczami z domeną połyskliwego fioletu*" (8), „*jasnoniebieską koszulą*" (8), „*granatowym krawatem*" (8), „*wyblakłą niebieską tapetą*" (10), wśród „*wypłowiałych niebieskawych ścian*" (11), poprzez „*granatowy ford transit*" (8), „*granatowy dres*" (17), „*niebieską miskę*" (21), „*materiał w kolorze granatowym*" (29), „*niebieskie tabletki*" (37, 38), „*spłowiałe niebieskie ściany*" (41), „*fioletowe usta*" (43), „*włosy z granatowym połyskiem*" (43), „*niebieskie żyłki na policzkach*" (46), „*niebieskie dżinsy*" (46), „*czarno-niebieską kupkę nieszczęścia*" (46), „*granatowy renault megane*" (50), aż do „*oczu ściemniałych do głębokiego granatu*" (54), „*oczu z granatową głębią*" (54), „*sinej piany*" (54), „*wianuszka niebieskich tabletek*" (54) i finałowych „*dwudziestu niebieskich tabletek*" (54), które pozwolą na zawsze „*zakotwiczyć się w przyszłości*" (29).

Jest w tym motywie bezpośrednie nawiązanie do wielokrotnie odsłuchiwanej przez Marcina K. miłej, gładkiej, elektronicznej muzyki (synth-pop) Jeana-Michela Jarre'a, zawierającej „*syntezatorowe orkiestracje tworzące ścianę dźwięku osadzoną w pięknych liniach melodycznych współgrających z harmonijnymi podkładami*" [6]. Może także stanowić aluzję do zaprojektowanej przez Michaela Grangera [7], francuskiego malarza i performera, okładki do nagranej w okresie od stycznia do sierpnia 1978 roku dla wytwórni „Francis Disques Dreyfus" w domowym studio w Paryżu przez trzydziestoletniego Jeana-Michela Jarre'a, współpracownika Johna Cage'a (1912-1992) i Karlheinza Stockhausena (1928-1940), płyty „Equinoxe" [8], na której powtarza się symultanicznie, utrzymany w niebiesko-granatowych barwach, niepokojący piktogram patrzącego przez lornetkę wprost na widza ptasiopodobnego obserwatora, a może powielającej się bez końca postaci nigdy nie zasypiającego nadzorcy, anonimowego szpicla, wszechobecnego tajniaka, natrętnego konfidenta, co z kolei odsyła do idei panoptikonu, totalitarnej maszyny dozorującej, emanacji świata przemocy, opracowanej przez angielskiego prawnika, filozofa i ekonomistę Jeremy'ego *Benthama (1748-1832)*, który twierdził, że podstawowym celem człowieka jest unikanie bólu i dążenie do przyjemności. Bentham, twórca filozoficznej koncepcji utylitaryzmu, wsławił się między innymi tym, że dwa miesiące przed śmiercią wyraził życzenie, by z jego szkieletu, pozostałego po dokonaniu sekcji zwłok, uczynić kukłę odzianą w należące doń ubranie i już dziesięć lat przed śmiercią miał nosić w kieszeni szklane oczy, które miały być wstawione w oczodoły mumii jego głowy [9].

Autor „Człowieka nocy" prowadzi nas nie tylko przez norwidowski „*zbrodni labirynt bezczelny, pooklejany zewsząd wyrokami prawa*" [10] ale nawiązując do baudrillardowskiej wersji końca historii z pełnym okrucieństwem mówi, że „*nadmiar tego, co społeczne, wyrzuca nas poza obręb społeczeństwa*" [11]. Kolejny raz potwierdza, że „*zło uwikłane jest w sposób konieczny w każde nasze działanie*" [11], gdyż podporządkowana czynieniu dobra rzeczywistość może być gorsza niż najbardziej makabryczne koszmary. Być może także dlatego w pogierkowskich blokowiskach polskich miast, dzięki republice deweloperów ocieplonych kolorowym styropianem, przysłowiowe konfucjańskie kretowiska, o które co dzień potykają się ludzie, przybrały dzisiaj, po latach bezustannych transformacji i „przybliżających do wspólnej Europy" reform, kształt gęstej sieci nierównych, miejscami dziurawych, klaustrofobicznie ciasnych, labiryntowo splątanych, poprzegradzanych szlabanami, ogrodzonych ażurowymi płotami alejek, zwykle kończących się na pokrytej zaciekami i ptasim guanem ścianie jakiegoś cuchnącego śmietnika z ogromnym muralem, gdzie pękata różowa świna o krzywym ryju wdzięczy się swojsko skatologicznym napisem „Jebać policję".

Zbigniew Wilczyński, autor „Człowieka nocy", miał swój osobisty udział w tworzeniu współczesnej historii i geopolitycznym wykorzystaniu „*teorii wybitej szyby*" [12], kiedy - niemal dokładnie w tym samy czasie, gdy Márquez gdzieś pod Barceloną kończył pisać swoje opowiadanie „Chciałam tylko skorzystać z telefonu" - był od poniedziałku 7 września do piątku 12 września 1980 roku, w tydzień po podpisaniu słynnych „(nie)porozumień sierpniowych" w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, członkiem prezydium siedmiosobowego komitetu strajkowego, który stanowili Jerzy R. (13 lat stażu pracy), Jadwiga A. (17), Stefan P. (13), Włodzimierz R. (4), Krzysztof Sz. (8), Wojciech W. (3) i Zbigniew W. (8), w jednym z największych łódzkich zakładów przemysłu bawełnianego „Maltex" [13, 14, 15]. Od lat 50. XX wieku patronem tych zakładów był Stanisław Kunicki (1861-1886), proletariatczyk, zwolennik aktów terroru, stracony przez carskie władze na stokach Cytadeli Warszawskiej. Zakłady „Maltex" funkcjonowały na ulicy Rembielińskiego, w dawnej Manufakturze Bawełnianej Gampe & Albrecht, w pobliżu wykupionej przez „ostatniego króla łódzkiej bawełny" Nahuma Eitingona (1887-1959) w latach trzydziestych XX wieku dużej fabryki na rogu ulic Radwańskiej i Żeromskiego [16]. Eksportowane przez Eitingona wysokiej jakości wyroby dziewiarskie i drukowane tkaniny trafiały wtedy nawet do Paryża, centrum ówczesnej mody, mogły zatem być wykorzystywane przez ówczesnych dandysów takich jak Maurice Ravel (1875-1937), twórcy „Boléra" i „Koncertu na lewą rękę" [17]. Nie znoszący, jak cała „*szlachta jerozolimska*" [18], języka polskiego Nahum Eitingon, u którego nigdy nie awansował żaden Polak, jako brutalny przedsiębiorca, bezwzględny spekulant i założyciel kredytowanych przez polski rząd plantacji bawełny w Brazylii, przejmował po kolei i niezbyt legalnie w latach międzywojennych od niemieckich, żydowskich i polskich właścicieli fabryki włókiennicze w Łodzi, w tym fabrykę Wilczyńskiego, Wachsa, Kestenberga, Rychtera, Rozenblatta [16].

Zburzone w 2008 roku pod budowę monstrualnego Centrum Handlowo-Rozrywkowego „Sukcesja" budynki zakładów „Maltex" sąsiadowały z okazałym parkiem miejskim im. księcia Józefa Poniatowskiego w którym łódzki aptekarz Władysław Stanilewicz (1922-2011), późniejszy profesor farmacji w Uniwersytecie w Algierze, mianowany tuż przed śmiercią generałem broni, w nocy z 11 na 12 lutego 1946 roku, w dwusetną rocznicę urodzin Tadeusza Kościuszki (1746-1817), wysadził w powietrze strzelisty kamienny obelisk-pomnik wdzięczności wzniesiony ku czci żołnierzy radzieckich [19]. Co ciekawe, o przysłowiowy rzut kamieniem od zakładów „Maltex" gromadzono materiały wybuchowe do planowanego przez Stefana Niesiołowskiego (1944-), późniejszego profesora entomologii, posła, senatora i wicemarszałka Sejmu RP, wysadzenia w powietrze w czerwcu 1971 roku muzeum i pomnika W.I. Lenina (1870-1924) w Poroninie [19]. Wspomniane materiały pirotechniczne i antysocjalistyczne pisemka składowano na ulicy Radwańskiej 55 w mieszkaniu dra filozofii i socjobiologa Elżbiety Mickiewicz-Olczyk [19, 20]. Intrygującym faktem jest to, że w odległości około 300 metrów od zakładów „Maltex" pracował przez kilka lat w państwowym szpitalu im. Nikołaja Pirogowa jako kardiolog Marek Edelman (1919-2009), uczestnik powstania w getcie warszawskim, jeden z najbardziej aktywnych członków ukształtowanej w czasach gierkowskich konspiracyjnej opozycji demokratycznej, późniejszy Honorowy Obywatel m. Łodzi i kawaler Orderu Orła Białego [21].

W tej samej odległości położony jest także kampus Politechniki Łódzkiej, gdzie wiosną 1980 roku w gmachu Wydziału Włókienniczego słuchałem, jako uczestnik Studium Pedagogicznego, kontrowersyjnych wykładów z podstaw ekonomii wygłaszanych przez profesora Uniwersytetu Łódzkiego Cezarego Józefiaka (1932-2007), późniejszego doradcy NSZZ „Solidarność", uczestnika obrad „okrągłego stołu", senatora RP i członka Rady Polityki Pieniężnej w latach 1998-2004. W dniu 16 września 1981 roku, dokładnie po upływie roku od zakończeniu wspomnianego wyżej strajku, który przyniósł straty w postaci m.in. 380,3 tys. metrów wyrobów surowych, 367,5 tys. metrów wyrobów gotowych, 72,3 tys. metrów włókniny o łącznej wartości ok. 23 milionów złotych [13], w „Maltexie" podjęto „*rezolucję podpisaną przez 10 łódzkich zakładów, w której żądano m.in. pełnego zaopatrzenia kiosków wewnątrzzakładowych - domagano się miesięcznie: 0,5 kg sera żółtego lub pełnotłustego, 1 słoika dżemu, 0,5 litra śmietany, 15 jajek, 2 konserw rybnych oraz pokrycia przydziałów kartkowych. W rezolucji zapowiedziano, że jeśli sytuacja się nie poprawi, 21.09.1981 rozpocznie się gotowość strajkowa, a 28.09.1981 jednogodzinny strajk ostrzegawczy*" [22].

W tym kontekście, niemal groteskowego charakteru nabiera fakt, że w pobliżu strajkującego „Maltexu" w tym samym czasie funkcjonowała całodobowo bez zakłóceń, oddana do użytku jeszcze w połowie 1900 roku, ubojnia żywca rzeźnego, należąca wówczas do Towarzystwa Akcyjnego Rzeźni Miejskich w Rosji i zaliczana do najnowocześniejszych na terenie Królestwa Polskiego. Po roku 1989 w zabytkowym budynku dyrekcji tej rzeźni powstała siedziba banku, a ogromny teren po chłodniach wypełnionych mięsem i wędlinami z polskich krów i świń zajęły supermarkety i parkingi. Niewątpliwie tylko Márquez potrafiłby napisać o splocie takich miejsc, ludzi i okoliczności przesycone absurdalną grozą rewelacyjne opowiadanie pod tytułem „Czy można klęczeć przez telefon".

Znakomicie przedstawiony w „Człowieku nocy" zaraźliwy wybuch traumatycznego wstrętu, jakim nabliższe otoczenie potraktowało oboje protagonistów, najpierw Marcina K. i następnie Magdę Ch., pod wpływem wydarzeń związanych z niekontrolowaną „*afirmacją represjonowanej cielesności*" [5], a potem tendencyjnych relacji zmanipulowanej prasy i przekupnych me(n)diów, ilustruje przebieg właściwego tylko gatunkowi ludzkiemu podświadomego freudowskiego procesu „*doświadczania niemożliwości, w którym wstręt zajmuje miejsce Innego do tego stopnia, że zapewnia mu przyjemność - częstokroć jedyną w przypadku borderline (mieszkańca granicy) - z tej racji przyjemność przekształca to, co wstrętne w miejsce Innego*" [23], ponieważ, jak w przypadku nieuchwytnego seryjnego gwałciciela, tego „*zwierzęcia nocy, kryjącego się w zakamarkach czasu*" [24], sadystycznych współwięźniów oraz szukającego odwetu Marcina K. „*wyłanianie się własnej tożsamości wymaga PRAWA, podczas gdy przyjemność domaga się WSTRĘTU, gdzie tożsamość jest nieobecna*" [23]. Znajdujący się beznadziejnej sytuacji, osamotniony, zmaltretowany, nieuleczalnie chory, nieszczęśliwie zakochany Marcin K. struga bukową pałę, kupuje pistolet i w akcie desperacji próbuje - podobnie jak ikona Dzikiego Zachodu Billy Kid z westernu Sama Peckinpaha (1925-1984) lub cd. str.36

cd. ze str.35

agenci specjalni, najemnicy, anarchiczni mściciele i terroryści z sensacyjnych thrillerów Kennetha Goddarda (1946-) - amerykańskiego biochemika i specjalisty medycyny sądowej [25] - „*grać w rzeczywistość nie mając ani jednej rzeczywistej karty w ręce*" [26]. Do sylwetki i skutków działania takiego spontanicznego mściciela w środowisku zdegenerowanego establismentu Los Angeles nawiązał belgijski reżyser Frabrice Du Welz (1972-) w zrealizowanym 2016 roku filmie „Message from the King", w którym śmiertelną ofiarą wyuzdanych perwersji seksualnych jest poszukująca szczęścia na amerykańskiej ziemi ciemnoskóra emigrantka, siostra Jacoba Kinga, głównego bohatera tego filmu.

Sprowokowane kobiecą naiwnością i lekkomyślnością koszmarne perypetie wykreowanej w powieści Wilczyńskiego tragicznej postaci Magdy Ch. przypominają w pewnym stopniu koleje losu atrakcyjnej młodej starościny Effi Briest, bohaterki popularnej, reprezentującej realizm mieszczański, wznawianej trzykrotnie w Peerelu w kilkuset tysięcznym nakładzie, powieści Theodora Fontane (1819-1898), bywalca i znawcy Kotliny Jeleniogórskiej [27]. Atrakcyjna Effi Briest, przyjaciółka garbatego aptekarza i teatromana Alonzo Gieshüblera, dopuszcza się „dla zabicia czasu" zdrady małżeńskiej w prowincjonalnym Kessinie na Pomorzu, wskutek tego zostaje odtrącona przez pryncypialnego męża, zahukaną rodzinę i umiera w samotności. Effi Briest „*kierując się żądzą zabawy i chęcią przygód po prostu lubiła emocje towarzyszące niebezpieczeństwu, a ta przedziwna do nich słabość kazała jej podejmować nierozsądne ryzyko - i także to zamiłowanie do swoistego hazardu łączyło ją z majorem von Crampasem, błyskotliwym lekkoduchem i kobieciarzem, jej kochankiem*" [28].

Akcja tej powieści Fontane umieszczona w środowisku marchijskich i berlińskich wyższych sfer, pruskiej szlachty, oficerów i zamożnego mieszczaństwa, dotyczyła także instytucji pojedynku i kwestii honoru, których przestrzeganie miało wówczas wymiar niepodważalnego imperatywu, prowadzącego często, za cenę zachowania wykreowanego wcześniej atrakcyjnego społecznego wizerunku, do ciężkiej i nieodwracalnej osobistej klęski. Podejmowane przez Marcina K., nasycone przemocą i okrucieństwem, działania odwetowe wobec prześladowców upokorzonej i sponiewieranej Magdy Ch. mogą stanowić dostosowaną do współczesnego statusu społecznego interpertację i praktyczną wykładnię tego niezbywalnego honorowego problemu, który niczym prawda powszechna stał się od czasów Fontane kategorią w pełni demokratyczną i każdemu dostępną, gdyż „*u wszystkich ludzi instynkt samozniszczenia jest silniejszy niż jakikolwiek inny*" [29]. Pełnoprawnym, kojarzonym pozytywnie, bohaterem powieści Fontane jest pies rasy nowofundlandzkiej Rollo, przeciwnie jak w „Człowieku nocy", gdzie to właśnie pies ściąga nieszczęście, inicjuje ciąg karygodnych pomyłek państwowego aparatu przemocy i dźwiga na sobie ciężar zasadniczego dowodu na jednoznaczny, ale nie dla przedstawicieli tzw. władzy, „*brak związku między ciałem i butelką*", między światem żywych i światem przedmiotów, gdyż w pełni kontrolowanym i zglobalizowanym świecie nade wszystko przedkładamy „*iluzję nieodróżnialności prawdy od fałszu, dobra od zła, rzeczywistości od odniesienia (reprezentacji)*" [30].

Z pewnością omawiana tutaj powieść Wilczyńskiego, chociaż może w sposób niezamierzony, wręcz spektakularnie realizuje narrację freudowskiego popędu śmierci, gdzie pragnienie i erotyka stanowią od początku pierwotną siłę napędową opowiadania, przeobrażając się stopniowo w popęd śmierci po to, aby – jak w ostatniej scenie tego utworu - „*zasygnalizować zakończenie, gdzie śmierć jest jednocześnie metaforycznym rytuałem powtórnego zawarcia małżeństwa*" [31] między Marcinem K. i Magdą Ch., a które faktycznie zostało kilka godzin wcześniej skonsumowane. Podobnie jak w fimach Hawksa, Hitchcocka, Renoira, Rosseliniego, w omawianej powieści zapadająca na końcu „*cisza oznacza całkowitą likwidację, oznacza* ***n i c***, *które się za nią kryje, śmierć oznacza koniec, ale także punkt poza zdolnością narracyjną, łańcuch zdarzeń fabularnych zatrzymuje się na obrazie, w kórym koniec człowieka oznacza formalne, strukturalne zamknięcie narracji, a właściwie zatrzymanie akcji narracyjnej, nie zaś tylko* ***r e p r e z e n t a c j i*** *owej akcji*" [31], ponieważ „*zbrodnią doskonałą jest przekształcenie wszystkich naszych działań i wszelkich zdarzeń w* ***c z y s t ą*** *informację*" [30]. Marcin K. zatrzymuje się dwa metry przed martwym ciałem Magdy Ch., jakby usłyszał pointę wiersza „*chcesz mnie dostać - śmierć zabierz, w niej jeszcze mam azyl*" [32], ale narracja autora jakby mocą rozpędu porusza się naprzód, śmierć funkcjonuje tutaj, niemal jak w zbliżeniu obiektywu bezpośrednio rejestrującej filmowej kamery, „*jako narracyjny znak interpunkcyjny, wprowadza inny wymiar czasowy: obecność przeszłości, a martwe ciało znika z pola widzenia, ale pozostaje jako wspomnienie przestrzeni i czasu*" [31].

Nie pierwszy to raz, gdy poprzez sugestię serii, iteracji i sekwencji w prozie Wilczyńskiego pojawia się odwołanie do struktury taśmy filmowej. W ostatniej scenie powieść „Człowiek nocy" przypomina przez to stosowaną w filmach Jean-Luca Godarda (1930-), twórcy „Szalonego Piotrusia" (1965), metodę metaobrazowania [33], jednak zamiast kreowania referencyjnego „obrazu w obrazie" posługuje się rozpraszającym iluzję „tekstem w tekście", czyli pożegnalnym listem Magdy Ch., po to, aby poprzez spotęgowany efekt obcości przypomnieć nam, że jesteśmy tylko czytelnikami, którzy muszą „*pozbyć się swej fałszywej jednolitości, by w rozbitej postaci móc uczestniczyć w jedności prawdy*" [34].

Ze względu na wyraz twarzy, zwłaszcza z kilkudniowym zarostem, sposób poruszania się i przejmujące spojrzenie, z pewnością niezwykle podobnym do autora „Człowieka nocy" jest francuski aktor Romain Duris (1974-), który wykreował główną rolę Pierra, nagle dotkniętego nieuleczalną chorobą, młodego, utalentowanego artysty-tancerza, w docenionym przez szeroką publiczność francuskim fimie „Niebo nad Paryżem" Cédrica Klapischa (1961-). Występuje w tym filmie urodzony w Dniu Wszystkich Świętych (łac. *festum omnium sanctorum*) Fabrice Luchini (1951-) obsadzony w roli profesora historii Rolanda Verneuila, beznadziejnie zakochanego w emanującej seksem studentce, który w pewnym momencie stwierdza, że autor „Komedii ludzkiej" Honoré de Balzac (1799-1850) „*w Paryżu, tym mieście luksusu, spokoju i rozkoszy, uprawiał pijaństwo i twórczość*". Ten niezwykle poruszający, wielowątkowy i dramatyczny film miał swoją premierę w Polsce w dniu 20 sierpnia 2008 roku. Można zatem z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że Zbigniew Wilczyński zdążył jeszcze za życia obejrzeć ten film w jakimś łódzkim multikinie i utwierdzić się w przekonaniu, także za sprawą niezwykłego widoku swego sobowtóra, że podjęcie w powieści „Człowiek nocy" znanego od dawna w literaturze wątku osamotnionego, beznadziejnie cierpiącego z powodu nieuleczalnej choroby twórcy jest tematem ponadczasowym, wciąż nawracającym i jak sztuka uniwersalnym, gdyż „*artysta nie powinien mieć kontroli nad swoim życiem, powinien mieć absolutną kontrolę nad swoją pracą*" [35].

Co więcej, zdumiewającym zbiegiem okoliczności, podobny jak dwie krople wody do Zbigniewa Wilczyńskiego, Romain Duris zagrał w nakręconym w 2016 roku w reżyserii Jalila Lesperta (1976-) belgijsko-francuskim thrillerze „Iris" postać Maxa Lopeza, która do złudzenia przypomina Marcina K. z omawianej tutaj powieści. Max Lopez to żyjący w garażu prekariusz, rozwiedziony outsaider, wykluczony zbywatel i opuszczony przez wszystkich „przegraniec", który w podstępny sposób zostaje uwikłany w morderstwo ukartowane przez nienasyconą arogancką dziwkę i fetyszystyczną bankierską świnię. Twórcy tego filmu, podobnie jak autor „Człowieka nocy", z przekonaniem przyłączają się do sformułowanego 50 lat temu, akceptowanego w kryminologii i należącego do kontrkulturowego dziedzictwa, poglądu twórcy antypsychiatri, mówiącego o tym, że „*wszyscy jesteśmy mordercami i prostytutkami, bez względu na to, do jakiej kultury, społeczeństwa, klasy czy narodu przynależymy, bez względu na to, za jak normalnych, moralnych lub dojrzałych się uważamy*" [4, 5, 26].

Nadejście oczekiwanego jak wybawienie w zakończeniu „Człowieka nocy" dnia świętego Patryka, patrona katolickiej Irlandii i nauczyciela świętego Marcina, którego imię nosi narrator tej powieści, zmienia się w pełną żalu skargę rozczarowanego i poniżonego wychowanka. Jest głosem bezradnego sprzeciwu w toczącym się od średniowiecza alegorycznym sporze pomiędzy elementem pogańskim (cielesnym, materialnym, demonicznym) i elementem chrześcijańskim (spirytualnym, czystym, duchowym) w formie nigdy nie skończonego dramatu żałobnego, gdzie „*nagi i triumfująco żywy diabeł bez maski, jego karykaturalna gęba, może wychynąć wprost z ziemskiej otchłani i drwiąc z wszelkiego emblematycznego sztafażu, ukazać się oczom*" [34]. Głęboko pesymistyczne przesłanie powieści Zbigniewa Wilczyńskiego, wyrażone w ignorującym prawdę wyroku sądu wobec oprawców Magdy Ch., brzmi jak werdykt św. Franciszka z Asyżu (1182-1226), syna bogatego umbryjskiego sukiennika, „*Jeden demon wie więcej niż ty*" [34].

**Przypisy**

*[1] G.G. Márquez, Chciałam tylko skorzystać z telefonu, w: G.G. Márquez, Dwanaście opowiadań tułaczych, przeł. Carlos Marrodán Casas, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2017, s.79-102.*
*[2] J. Dembowska, Władysław Hasior-prowokator wyobraźni, w: M. Bindek, D. Pałys, T. Zieliński (red.), Władysław Hasior. Czas niedomknięty, Katalog wystawy w Galerii Miejskiej BWA w Bydgoszczy, 28.09-24.11.2013, s. 35.*
*[3] M. Szczygieł-Gajewska, Władysław Hasior, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2011, s. 158-161.*
*[4] P. Szarota, Londyn 1967, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2016, s. 306.*
*[5] J. Jarniewicz, All you need is love. Sceny z życia kontrkultury, Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 13,29,102.*
*[6] https://www.generator.pl/p,jean-michel-jarre-equinoxe,1080.html; dostęp 30.06.2018*
*[7] Jest znany legniczanom z Satyrykonu 2009, kiedy to namalował na lotnisku w Legnicy obraz za pomocą czołgu.*
*[8] https://www.discogs.com/Jean-Michel-Jarre-Equinoxe/release/3069536; dostęp 30.06.2018*
*[9] P. Szymaniec, Doczesne szczątki Jeremy'ego Benthama a zasada użyteczności. Prawa osób zmarłych i stosunek do religii w Bethamowskim utylitaryzmie, w: J. Kołaczyński, J. Mazurkiewicz, J. Turłukowski, D. Karkut (red.), Non omnis moriar. Osobiste i majątkowe aspekty prawne śmierci człowieka. Zagadnienia wybrane, Oficyna Prawnicza, Wrocław 2015, tom 2, s. 750-771.*
*[10] C.K. Norwid, XCIII. Źródło, w: C.K. Norwid, Vademecum, wydał z autografu, uzupełnił i wstępem poprzedził J.W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1962, s. 166-167.*
*[11] J. Baudrillard, Pakt jasności. O inteligencji zła, przeł. Sławomir Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005, s. 134, 164.*
*[12] G.I. Kelling, J.Q. Wilson, Broken Windows, „The Atlantic Monthly", 1982, 249(3): 29-38.*
*[13] J. Indelak, Trzecia fala, „Odgłosy-Tyg. Społeczno-Kulturalny", Łódź, 21.09.1980, rok 23, nr 38(1189), s. 1-3.*
*[14] S. Dzięcielska-Machnikowska, G. Matuszak, Czternaście łódzkich miesięcy. Studia socjologiczne sierpień 1980-wrzesień 1981, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984 , s. 57-61, 69, 78-86.*
*[15] M. Koprowski, Spowiedź praktykującego alkoholika, oprac. Mateusz Koprowski, Biblioteka Tygodnika Angora, Wyd. Westa-Druk Mirosław Kuliś, Łódź 2010, s. 148-150.*
*[16] J. Bąbiński, Drogi do kariery, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973, s. 7-80.*
*[17] J. Echenoz, Ravel, przeł. Anna Wasilewska, Wydawnictwo Noir Sur Blanc, Warszawa 2006.*
*[18] S. Michałkiewicz, Niemcy, żydzi i folksdojcze, Wydawnictwo Capital, Warszawa 2018, s. 1-220.*
*[19] B. Borucka i wsp., Bohaterowie trudnych czasów. Zbiór X. Spacernik. Śladami opozycji demokratycznej, Tom 12 Biblioteki „Kroniki Miasta Łodzi", Wyd. Urząd Miasta Łodzi Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej, Łódź 2016, s. 63.*
*[20] Berg A., Kolman E. (red.), Czy możliwości cybernetyki są nieograniczone: zbiór artykułów, przeł. Elżbieta Mickiewicz i Stefan Amsterdamski, Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 1-245; E. Mickiewicz-Olczyk, Socjobiologia versus filozofia: kilka uwag o realistycznym antropocentryzmie etycznym E.O. Wilsona, „Acta Universitatis Lodzensis. Folia Philosophica", 1993 (10), s. 172-202.*
*[21] A. Mateja (red.), Cud w medycynie. Na granicy życia i śmierci. Opowieści lekarzy, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 195-219.*
*[22] „AS-Biuletyn pism związkowych i zakładowych", Agencja Prasowa Solidarność, Warszawa, 17-25.09.1981, nr 39, s. 206-207.*
*[23] J. Kristeva, Potęga obrzydzenia. Esej o wstręcie, przeł. Maciej Falski, Seria Eidos, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2007, s. 54.*
*[24] J. Brzękowski, Erotyki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969, s. 1-60.*
*[25] K. Goddard, Pochodnia zemsty, przeł. Władysław J. Wojciechowski, Wydawnictwo Amber, Poznań 1990; K. Goddard, Alchemik, przeł. Jan Kraśko, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1993; K. Goddard, Zdobycz, przeł. Jan Kraśko, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1994.*
*[26] R.D. Laing, Polityka doświadczenia. Rajski ptak, przeł. Agnieszka Grzybek, Wydawnictwo KR, Warszawa 2005, s. 183.*
*[27] T. Fontane, Effi Briest, przeł. Izabela Czermakowa, Czytelnik, Warszawa 1974.*
*[28] J. Pacholski, Theodor Fontane. Z apteki na Parnas, Wydawnictwo Quaestio, Wrocław 2014, s. 110-114.*
*[29] S. Selenić, Pamiętnik Piotra Kaleki, przeł. Magdalena Pertyńska, PIW, Warszawa 1974, s. 63.*
*[30] J. Baudrillard, Zbrodnia doskonała, przeł. Sławomir Królak, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008, s. 57.*
*[31] L. Mulvey, Do utraty wzroku. Wybór tekstów, red. Kamila Kuc, Lary Thompson, Korporacja Ha!art-Era Nowe Horyzonty, Kraków-Warszawa 2010, s. 252.*
*[32] U. Kozioł, Nadnagość, w: U. Kozioł, Lista obecności, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967, s. 15.*
*[33] P. Mościcki, Godard. Pasaże, Korporacja Ha!art-Era Nowe Horyzonty, Kraków-Warszawa 2010, s. 1-398.*
*[34] W. Benjamin, Źródło dramatu żałobnego w Niemczech, przeł. Andrzej Kopacki, posł. Adam Lipszyc, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2013, s. 1-357.*
*[35] M. Abramović, An Artist's Life Manifesto, w: M. Abramović, J. Kaplan, Pokonać mur: wspomnienia, przeł. Anna Bednarczyk, Magdalena Hermanowska, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2018, 1-430.*

***Grzegorz BAZYLAK***

*Zbigniew Wilczyński, Człowiek nocy, Wyd. OŁOSL, Łódź 2018, ss. 200.*

# Marcin Stępień

## „Jest w człowieku..."

Jest w człowieku wciąż siła do tworzenia świata,
budowania wzniosłości na krawędzi chwili,
jednym ruchem swych myśli mógłby cuda zdziałać,
a tak często nie umie, lub nie chce zadziwić.

Jest w człowieku ukryta całkiem wolna wola,
aby stanąć przed drugim bez strachu i lęku,
w wyciągniętej dziś dłoni próbuje on schować
znajome dobrze słowa, choć całkiem bez dźwięku.

Jest w człowieku też drwina niewidoczna zrazu,
żądna zagłuszyć wszystko co odmienność rodzi
i chociaż w oczy patrzy bez twarzy grymasu,
świat jej dziś potakuje, świat się na nią godzi.

Jest w człowieku też postać zrodzona z pokory,
zapisując przed sobą ciągle nowe karty,
nie nosi ona kajdan, nie zna też niewoli
nanosząc w swoich wersach sens myśli rozdartych.

Co jeszcze można znaleźć w ludzkiej skórze skryte,
ile piękna, bogactwa i doznań miłości,
ważne, żeby to wszystko przyniosło pożytek
będąc przyczyną skutku, bez oznak zazdrości.

## „Księżycowe marzenia"

Z głową zwróconą ku gwiazd nocnych oczu,
których iskierki drżą płoche w ciemności,
spoglądam w niebo, bez lęku, co w mroku
bez przerwy mąci.

Nie szukam pragnień tych poza wzrokiem
ni doznań złudnych, odległych, nie pragnę,
ozdabiam księżyc jego własnym blaskiem,
z nim dzisiaj zasnę.

Gwiazdy zbyt małe, bym zebrał je w dłonie,
pomiędzy palcami przeciekną jak woda,
lecz srebrny księżyc zawieszę przy oknie,
sądzę, że zdołam.

I tylko wtedy pod poduszkę schowam
myśli związane srebrną wstążką marzeń,
każde spisane w pojedynczych słowach,
chcesz? To pokażę.

## „przebudzenie"

Przywitałem się z pierwszym wschodzącym pierwiosnkiem,
w wytworności swej białym, jak skrzydła anioła,
zwiastującym nadejście upragnionej wiosny,
której wyczekiwała dusza utęskniona.

Dotknąłem delikatnym słowem pocieszenia,
drżącym płatkom strącając łzawą rosę z twarzy,
spłynęła cienką strużką, już jej teraz nie ma,
podniósł się kwiat omdlały w blasku nowych wrażeń.

A ja? cóż ja, usiadłem nad wartkim potokiem
zanurzając w nim dłonie, wsłuchany w szum wody,
i chociaż wszystkich myśli zrozumieć nie mogę,
to, czyż nie jestem na to zwyczajnie za młody?

## „gwiazdy"

Skromnym uczuciem przed siebie rzuconym,
w noc jakże cichą, stuloną w nicości,
zapalam gwiazdy w ciemnym jeszcze niebie,
by rozświetlały pragnienie miłości.
Zapalam pierwszą, więc spójrz jaka piękna,
błyszczy w ciemności swym blaskiem jaskrawym,
czy będziesz miła, choć trochę dziś wdzięczna,
sam jestem pewien, że wszystko przetrwamy.
Zapalam drugą i trzecią i czwartą,
w setkach tysięcy zniknęły złe mroki,
będąc świadomym, że czekać jest warto
podziwiam życie i jego uroki.
Ostatnią gwiazdę zapalę w milczeniu,
poznasz ją sercem w delikatnym drżeniu.

## „polowanie"

W oddali słychać dźwięk rogu myśliwych,
czas zacząć łowy, nagonka ruszyła,
wzmógł się psi jazgot, raźno rwą do przodu,
siła zdradliwa.

Za nimi konie, napięte i dumne
na grzbietach niosąc swych jeźdźców krwi żądnych,
nie kłusem jeszcze, lecz stępa, powoli,
w myślach zawodnych.

Nabrali pędu gnani własną pychą,
na nic kark giętki, gdy kły szczerzy hiena,
choć w polowaniu nikt zwierza nie widział,
człowiek umiera.

# Józef Zdunek

## noc

świecą gwiazdy na niebie
księżyc uśmiechnięty

jest romantycznie

słyszę jak rosną róże
w ogrodzie

najpiękniejsze
w najpiękniejszym ogrodzie

noc odchodzi
gwiazdy odpłynęły
zostały róże

## pamięć

pamięć to jest historia
zapisana w sercu i umyśle

nasycona miłością
zrozumieniem i przebaczeniem
prawdziwa bez fałszu
w obrazie człowieczeństwa
w najpiękniejszych pejzażach
ojczystego krajobrazu
pamięć o wszystkim co dobre i złe
bez nienawiści

jak w średniowiecznym krzyżu pokutnym
który nie dzielił
tylko łączył

## dmuchawce

dmuchawce zabrał wiatr
pozasiewał

wyrosną nowe roślinki
zakwitną
będą nowe latawce

dzieci będą się bawić
dmuchać i śpiewać
*dmuchawce latawce wiatr*

proste i romantyczne
bez nadmiaru filozofii

## zamknięty temat

nie napiszę
wiersza o miłości
pięknej i wzniosłej
nie zaśpiewam pieśni

wybacz
to nie to co dawniej

złamane pióro
i chrypka

ale wszystko co było piękne
i odpłynęło w nieistnienie
pozostało w pamięci

## wymiar czasu

ten wymiar jest nieznany
wszystko co żyje
umiera w swoim czasie
nikt nie wie kiedy
śmierć nie jest dyktowana
nikomu

nikt nie ma z góry
wyznaczonego końca
wymiar kresu w gestii
przypadku okoliczności
i ślepego losu

Józef Zdunek urodził się 6 września 1937 r. w Orpiszewie w powiecie krotoszyńskim. Absolwent Wydziału Humanistycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (pedagogika, 1968), dr nauk humanistycznych (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, 1980). Nauczyciel, bibliofil, regionalista, kolekcjoner ekslibrisów. Autor trzech książek popularnonaukowych: „PTTK na Ziemi Krotoszyńskiej 1951-2001", „Rzeźbiarze Ziemi Krotoszyńskiej" (razem z Czesławem Wosiem), „Orpiszew 1279-2005. Monografia wsi". Od 2005 r. jest redaktorem i współautorem cyklu wydawniczego „Krotoszyn i okolice" (rocznik). Dotychczas ukazało się 14 tomów. Zaistniał biografią WHO IS WHO W POLSCE - wydanie 2009.

Pierwsze wiersze opublikował w prasie lokalnej („Rzecz Krotoszyńska" i „Informacje Regionalne"), debiut prasowy „Rzecz Krotoszyńska" nr 22 z dnia 31 X 1995 r. W 2014 zadebiutował wydaniem książkowym zatytułowanym „Pożegnania nieustanne". W 2016 ukazał się jego kolejny tomik pt. „Światło i cienie", rok później tomik „Wątpienia",a w 2018 „Labirynt".

Kilka jego wierszy wyróżniono w konkursie literackim „Miłość niejedno ma imię" i opublikowano w wydawnictwie pokonkursowym w 2005 i 2006 oraz w „Antologii konkursów" , wydanej w 2008 przez organizatora - Dom Kultury „Południe" w Katowicach. Później swoje wiersze publikował w czasopismach „Przydrożne Pomniki Przeszłości" „Protokół Kulturalny", „Gazeta Kulturalna", „Nieznany Świat" (nr 8/2018), „Angora", „Dwukropek".

Jest członkiem Klubu Literackiego „Dąbrówka" w Poznaniu. Mieszka w Krotoszynie.

# Miroslav Holub

## PARĘ SŁÓW O MAPACH

Albert Szent Györgyi, co to wiedział sporo o mapach,
po których biegnie gdzieś życie,
snuł tę opowieść z wojny,
przez którą biegnie gdzieś historia:

Młody porucznik z małego węgierskiego oddziału w Alpach
wysłał na lodową pustynię niewielki oddział.
Zaraz też
zaczął padać śnieg i padał dwa dni, a oddział
nie wrócił. Porucznik cierpiał – posłał
na śmierć swoich ludzi.

Ale trzeciego dnia oddział zwiadowczy powrócił.
Gdzie byli? Jak znaleźli drogę?
Cóż, mówili żołnierze, uznaliśmy,
że się zgubiliśmy, i czekaliśmy końca. A tu nagle jeden z nas
znalazł w kieszeni mapę. To nas uspokoiło.
Rozbiliśmy obóz, przeczekali śnieżycę i z mapą
znaleźliśmy właściwy kierunek.
No i jesteśmy.

Porucznik poprosił o tę niezwykłą mapę,
by ją przestudiować. Nie była to mapa Alp,
tylko Pirenejów.

…
Do widzenia.

## ODA DO RADOŚCI

Kochać, gdy już nie ma nadziei,
to tylko jest miłość.

Wypuścić nową sondę,
gdy dziesięć zawiodło,
wziąć dwieście królików,
kiedy sto zdechło,
to tylko jest nauka.

Pytacie o tajemnicę,
ma ona jedną nazwę:
znowu.

W końcu
Pies niesie w zębach
Swoje odbicie w wodzie,
ludzie nitują nowy księżyc,
kocham cię.

Nasze wzniesione ramiona
jak kariatydy
niosą granitowy ciężar czasu

i pokonani
zawsze zwyciężymy.

## PARĘ SŁÓW O DOKŁADNOŚCI

Ryby
zawsze wiedzą dokładnie, gdzie, i dokładnie, kiedy płynąć,
tak jak
ptaki, które mają dokładne wrodzone poczucie czasu
i przestrzeni.

Ludzkości jednak
brak tych instynktów każe uciekać się do
nauki, co ilustruje następująca
opowieść.

Pewien żołnierz
miał strzelać z działa codziennie dokładnie o szóstej wieczorem.
A ponieważ był żołnierzem, tak też robił. Kiedy spytano go o tę
dokładność, odparł:

Korzystam
z całkowicie dokładnego chronometru z wystawy
zegarmistrza. Codziennie punkt siedemnasta
czterdzieści pięć nastawiam według niego zegarek i
wchodzę na wzgórze z działem.
O siedemnastej pięćdziesiąt dziewięć podchodzę do działa
i strzelam dokładnie o osiemnastej.

Uznano,
że ta metoda jest całkowicie dokładna.
Pozostawało tylko sprawdzenie chronometru. Więc
zapytano o niego zegarmistrza z miasta.

O, powiedział zegarmistrz,
to najdokładniejsze z możliwych urządzeń. Wyobraźcie sobie,
od wielu lat strzelają tu dokładnie o szóstej z działa.
Codziennie więc sprawdzam ten chronometr,
a on zawsze pokazuje dokładnie szóstą.

Tyle o dokładności,
w wodach płyną ryby, z nieba
dobiega szum skrzydeł, a tymczasem
tykają chronometry i strzelają działa.

*PRZEKŁAD: KRZYSZTOF PUŁAWSKI*
*ILUSTRACJE: MAGDALENA ORCZYK*

Miroslav Holub (1923–1998)
Czeski poeta, eseista, tłumacz i znany immunolog. Debiutował w roku 1958 tomem Denní služba, w którym w pełni rozwinął swoje idee poezji „dnia codziennego” i poetyckiego minimalizmu, towarzyszące mu w dalszej twórczości. Autor szesnastu tomów poezji (ostatni, Ono se letělo, ukazał się w 1994 roku) oraz tomów prozatorskich (w których wykorzystywał swoją wiedzę między innymi z zakresu immunologii) i rozpraw naukowych.

Zbigniew Kresowaty

ESEJ

Jan Stanisław Smalewski

O poezji Renaty Paligi, cz. 1.

# OPERACJA NA ŻYWYM CIELE TOMIKU WIERSZY „OSŁUCHIWANIA”

Długo już nie kierowałem uwagi, myśli i zachwytów ku czyjejś dobrze napisanej poezji. A bywałem w przeszłości jurorem, prowadziłem warsztaty w jednej z większych grup literackich (we Wrocławiu - Dysonans), opracowywałem tomiki innych poetów. Jako że sam piszę i publikuję wiersze, dobrej poezji szukam nieprzerwanie i zawsze gdy na takową natrafię, zawłaszczam sobie ją myślowo i emocjonalnie na dłużej. Sycę nią zmysły, jak dobrą, wpadającą w ucho piosenką, jak smaczną kawą czy herbatą i błogimi chwilami, jakie mam sposobność przy nich spędzić i przeżyć.

Rzadko zdarza mi się, zapewne także bywa to zjawiskiem ogólnym, żeby czytelnik po przeczytaniu kilku czyichś tekstów, odgadywał kim z zawodu jest ich autor. By w rozpoznawalny sposób potrafił umiejscowić jego twórczość w przypadającym mu miejscu dla szeroko rozumianej społeczności. Wreszcie, by jednoznacznie można było rozpoznać preferencje literackie twórcy, dodajmy – dobrego twórcy – w zakresie jego upodobań literackich; warsztatu, formy i treści tworzonych słowem obrazów.

Poezja, ale tylko dobra poezja, jest od zarania dziejów sztuką uznawaną przez bogów, tworzoną przez ich pomazańców skażonych przysłowiową iskrą bożą, i tak jak muzyka za pomocą szczególnych fal dźwiękowych wytwarzanych przez nasz mózg łączy poetę z wszechświatem. Poezja jednoczy, piszących i czytających ją, w świecie dobra i ambicjonalnych wartości zarówno z przeszłością, jak i przyszłością.

Dobra poezja buduje wieżowce, pawilony i pięknie urządzone domy dla naszej ludzkiej wyobraźni, która lokuje nas w sztuce, pozwala piękniej, aktywniej, a przede wszystkim kulturalniej żyć. Co – jak mniemam – aktualnie w gmatwaninie codzienności wyjątkowo egoistycznego świata (politycznie i ekonomicznie zwłaszcza) jest szczególnie ważne.

Sięgając zwykle po czyjś tomik, nie zaczynam od oglądania okładki, ani od czytania, kim jest autor. Otwieram książkę na chybił trafił i czytam pierwszy rzucający się w oczy wiersz lub jego fragment. Szukam smaku, zapachu poezji, mocy tego utworu, i przekazu, jaki sobą on niesie. Jeśli tego nie znajduję, reszta dzieła mnie już nie interesuje.

Tę książkę, ten sztywno trzymający się z racji formatu, rodzaju papieru i sztuki edytorskiego wykonania tomik, otworzyłem akurat na stronie 29, rozczesuję wiersz **„dyżur, trzecia nad ranem”**, a po przeciwnej stronie fragment innego utworu: (…) *jestem spóźniona w przyjęciach całe piętnaście minut/ znowu nie zjem drugiego śniadania (*...) - Czyżby autor, autorka? - zaglądam na skrzydełko pod pierwszą stronę okładki – to lekarz?

Pod fotką młodej kobiety, której wzrok kryją przeciwsłoneczne okulary, widnieje nazwisko autorki: **Renata Paliga**.

Lekarka. Wpycham palec w tomik i otwieram go w innym miejscu. Jest tam wiersz: **„sekcja”**

można zagłębić się w człowieku
rozbierając go cząstka po cząstce
zaczynając od błogosławieństwa skóry
przy sekcji nacina się
pod kątem prostym na krzyż (...)

Oczywiście, że lekarka. Ale co za temat? Czemu akurat o tym?.. Szukam, ba - grzebię w następnych trzewiach wierszy. Jeśli kobieta; krucha istota, jej kobiecość przygniata ciężar życiowej, jakże różnej od tych, które znamy, przygody. Na dodatek przekładającej się na język poezji.

Strona 36: (…) wszystko wskazuje na to że Matka Muz
jest ordynarnym białkiem w mózgu
które wystarczy
wyselekcjonować wytrzepać namierzyć opisać (...)

Medyczne podejście do poezji. – Teraz nie mam już

wątpliwości. Muszę zapoznać się z biogramem autorki. Jest niepospolita, jak jej wiersze. Absolwentka Akademii Medycznej w Poznaniu. Najpierw pracowała jako chirurg dziecięcy. Była pediatrą i specjalistą medycyny rodzinnej. Od 2014 roku asystent w Zakładzie Medycyny i Etyki Medycznej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Jest członkinią Unii Pisarzy Lekarzy.

Znam kilku piszących poezję lekarzy. We Wrocławiu kardiologowi dr. Wiesławowi Prastowskiemu redagowałem niedawno jeden z jego tomików. Zadziwiał mnie tym, że jako kardiolog pisał przejmujące wiersze o miłości, tworzył erotyki wcale nie mające nic wspólnego z medycyną. I... buntował się przeciwko śmierci.

Zbigniew Kresowaty

W wierszach poetki Renaty Paligi śmierć jest czymś tak naturalnym, jak codzienność, w której przeplata się z życiem, dopełnia go, czasami ubogaca w doznania wręcz absurdalnej konieczności.

Czytam. Wszystkie wiersze poetki. Teraz już po kolei. Jeśli robię sobie przerwy, to tylko po to, by utrwalić sobie jakąś nową – nieznaną mi nazwę medycznego instrumentarium lub medycznej metodologii. - Wiersz: **„chodzenie. poruszanie. ruchomoistnienie"**

mechanizm stawów
kulistych zawiasowych bloczkowych
pronacja supinacja (…)
I dalej już poetyckie zmetaforyzowanie:
(…) profanacja
miliony komórek prążkowanych mięśni
wyprost zgięcie padnij powstań
dźwigają ciało o nadanym numerze pesel (...)

Chłonę wszystko po kolei; liryczne zapisy odczuć poetki i sarkastyczne momentami wtrącenia.

Czasami mam wrażenie, że ocieram się o sadyzm, a może raczej okrucieństwo. - Nikt tak często przecież jak lekarz nie ociera się o śmierć, nikt tak jak on (Ona) nie rozumie jej dokładnie. Inność polega tu raczej na powątpiewaniu w jej znaczenie, na swoistej bezwoli wobec kruchości życia, gdy wszystko z zakresu medycznego instrumentarium zaczyna zawodzić.

Kiedy nie zawodzi jednak, gdy lekarz jest po prostu tym, kto pomaga utrzymać nas przy zdrowiu, obraz wiersza wycisza się. Tak; ma rację poetka nadając tomikowi taki specyficznie medyczny tytuł: „osłuchania". Wtedy bowiem lekarz osłuchuje pacjenta. Szuka przyczyny. Stawia diagnozę.

Ja też, powoli, z coraz większym apetytem, aczkolwiek momentami przychodzi mi nie tylko zderzyć się z oporem natrętnej myśli, że nasłuch natrafił na coś szokującego, czy wręcz porażającego, zagrażającego życiu, osłuchuję ten redaktorsko i myślowo, a przede wszystkim obrazowo w swej poetyckiej metaforyce dobrze skonstruowany zbiorek wierszy Autorki. Osłuchuję i... powoli, aczkolwiek z coraz większą pewnością co do swej nieomylności (wiadomo – krytyk jak lekarz, dla dobra pacjenta, mylić się nie powinien), upewniam się, że żadnej radykalnej kuracji nie zalecę. Że zarówno stan duchowego zaangażowania poetki-lekarki, którą jako pacjentkę osłuchuję w jej tomiku, jest dobry, jak i sam przebieg odczuwanego przez nią napięcia twórczego, życiu – to znaczy jej karierze literackiej - nie zagraża.

By nie być gołosłownym, przejdźmy zatem do szczegółów. Forma zapisu, konstrukcje tomiku i wierszy są jednorodne w zapisie klasycznego już wręcz, białego wiersza. Bez wielkich liter nawet w tytułach, co może stwarzać pozory, że są one mniej znaczące od tych tradycyjnie krzyczących swą wielkością. Są ciche, bo przecież poetka „osłuchuje", słuch gra rolę wiodącą, spokój więc wskazany.

Szkielet wiersza: tak szkielet każdego wiersza jest niezmiernie ważny, lekarka-poetka wie o tym najlepiej. Ciało musi się czegoś trzymać; wiadomo – szkieletu. I trzyma się, każdy z wierszy jest zwarty, spójny, nierozgadany. Powiedziałbym nawet - świadomy roli, jaką z założenia ma do spełnienia w tomiku.

Obrazowanie, czyli pisanie obrazami jest spójne z całością, świadome, bo poetka wie, że: wiersz **„genetyczna ruletka"**

(…) pociągające są obecnie zabawy w ww.stwórcę
ordynarne krojenie i zamienianie dezoksyrybonukleinowych klocków (…)
mogą dawać efekty trudne do przewidzenia. Tak samo, że i:
(…) kiedyś
pokątne zaglądanie do jam martwego ciała
piętnowało grzechem i przyspieszało oddechy

kiedyś
i Bóg będzie inny

Mocna pointa, słuszna i wyrokująca. Czasy się zmieniają; obecnie te zmiany są wyjątkowo śpieszne i zasadnicze – cały świat się zmienia, oprócz zasadniczych form ludzkiego bytu – życia i śmierci.

Nie, nie, myliłby się ten, kto dobrnąwszy do tego momentu mojego „eseju" o porządkowaniu wierszy w tomikach i analitycznego spojrzenia na tomik Renaty Paligi „osłuchiwania", wysnułby wniosek, że poetka tworzy wiersze wyjałowione medycznie z uczuć: miłości, tęsknoty, bycia wrażliwym człowiekiem, czyjąś córką, żoną, dobrą matką... - Bo tak nie jest. I warto przeczytać tomik, warto samemu przeanalizować wiersze poetki chociażby po to, by przekonać się, że zarówno ciekawym jest to, iż lekarz może pisać dobre wiersze i być dobrym poetą, jak i że po prostu, że banalnie: lekarz też człowiek.

Wiersz: **„in flagranti"**
oswajam męskie ciało
najpierw czaruję aksamitnym głosem
spoglądam spod rzęs
hipnotyzuję
aż staje się powolne (…)
Nietypowe jednak (medyczne) są w nim dalsze refleksje, których tu nie wyjawię, przeczytajcie sami. Podobnie jak w wierszu: **„kobieta z zaułka nocnego korytarza",** która...
zastyga na chwilę przy oknie
rozświetlona papierosem
znam te oczy z wielu obrazów

zawsze gotowa
zawsze bolesna
zawsze współczująca
zawsze pełna lęku
zawsze zmęczona
pcha skrzypiące krzyże codzienności(...)

Podoba mi się metaforyka wierszy poetki. Podzielam opinię o nich Marii Jentys-Borelowskiej umieszczoną na ostatniej stronie okładki, że to „mądre i mocne w wyrazie wiersze". Że są „poszukujące, złaknione prawdy, Boga, serca człowieczego".

Na marginesie tego opisu nie mogę pominąć drugiego skrzydełka okładek. Widnieje na nim polecenie literackich nośników kultury wydawanej przez Fundację Światła Literatury. Na pierwszym miejscu wymieniony jest kwartalnik „Migotania. Gazeta literacka". Boleję jako literat, poeta, że jego współczesnej uniwersalności nie potrafi docenić minister kultury, odmawiając należnego wsparcia finansowego. Jednocześnie ufam, że zmagania z tą niedocenianą i upolitycznianą niesłusznie materią, które pochłaniają bez reszty jej redaktora Zbigniewa Joachimiaka, są czasowo przejściowe. Że to się zmieni niebawem na korzyść wszystkich lansowanych w fundacji i w kwartalniku artystów i autorów. Dla dobra nas wszystkich. I dla szczęśliwego budowaniu narodowej kultury.

Wracając do tomiku wierszy Renaty Paligi „osłuchania". Tak, Jej poezja przeplata się z medycyną, ale obie są czyste, sterylne, warte pielęgnowania. A wartością nadrzędną pozostaje w nim to, że poetka skrupulatnie, dociekliwie i twórczo podchodzi do budowania w nich swojego świata, jego indywidualnych, ale bliskich jej obrazów, którymi chętnie dzieli się z czytelnikiem, ufając, że także dla niego warto to robić. Warto, bo każdy z naszych samodzielnych światów może jednocześnie być światem dla ogółu. Sprawdźmy to, warto przeczytać.

***Jan Stanisław Smalewski***

Zbigniew Kresowaty

# Hubert Czarnocki

***

Prawie cały należał do obłoków,
tylko stopami dotykał ziemi.
Nic stąd nie mieściło się w nim
i on w niczym się nie mieścił.

Wzywał go błękit, ojczyzna wyprostowanych.
Niebo słało mu długie i krótkie błyski, pocałunki.
Pisało coś czule na obłokach,
oddechach nieskończoności,
do których drzewa wyciągały ręce
i szeleściły księgi blasku.

***

Umarł Franz B. więc biel
odpłynie z kartek
i odjadą wielkie okręty.

Poluzują się wiązania,
puszczą liny, wiersze wyfruną
przez okno.

Będzie stroszyć się
po nim cisza.
Stół, szafa i książki
ogłoszą żałobę,
przykryją się płótnem.

Odsuną się
wszystkie przebłyski.
Będą ciszyć się wiatry,
cofną się deszcze,
bo nie ma Franza B.
i  nie ma odległych mgławic,
które szumiały w jego oczach.

***

I idę, pojedynczą kreską
siebie oznaczam przecinki
między światłem,
które jest i jeszcze jest.

***

Samochody wieczorem na chodniku
jak wyrzucone na brzeg wieloryby.
Krzyki dzieci pod blokami,
strzępy czyjejś rozmowy.

Ty kiedyś też taki byłeś,
tak samo krzyczałeś i biegałeś.
To było w czasach, kiedy ważyło się
niewiele albo zupełnie nic.

To tylko tak, bo po co
o tym pisać. Więc samochody
jak wieloryby na chodniku.
Autobusy mknące po niebie
i rozwożące ludzi do snów
i bajek.

Gwar rozmów w knajpianych
ogródkach, ziewanie.
Dlaczego tak się
kończysz dniu.

***

## Miłość

Lajknij mnie laleczko.
Zobacz co wrzuciłem.
Właśnie wystawiam się,
wypełniam. W sobie
najczęściej  mam nic.
Lajknij mnie.

Kto da więcej.
Na ulicy, na tablicy
na aukcji się wystawiam.

Lajknij mnie, a ja
lajknę twojego lajka.
Zrobimy miłość.

***

Tamten bilet przed chwilą
tak ważny teraz lekką ręką
wrzucił do kosza.

Będzie tu chwilę tysiąc lat.
Będą jakieś twarze, dźwięki
i serca, które jak łódki z kory
zginą za zakrętem rzeki.

Wśród wielu czynności
między innymi puszczanie latawców,
ale któregoś dnia nigdy już
nie wróci do tej zabawy
i nikt nie będzie wiedział dlaczego.

Potem zstąpią się mgły,
on wyjdzie do przodu.
Zaczną błyskać, będzie się
kłaniał, klaskać.

Zapiszą to gdzieś,
później spalą.

***

Pierwszego grudnia w nocy
z przebitego boku nieba
płynęły łzy i krew.

Mieszały się z błyskami fleszy,
światłami dyskotek,
dźwiękami muzyki.

Obmywały twarze, ręce,
stopy ludzi, którzy
nie widzieli ich,
nie czuli.

Najczulsze biło dla nich
i płonęło. Rozdawało siebie.

***

Być dzieciakiem i z innymi
dzieciakami biec przez powietrze.
Być dzieciakiem i głosić wyższość wiatru
o smaku poziomkowym
nad wiatrem o smaku wiśni.

Albo na łódce z kory płynąć
za ocean. Nie wiedzieć ile
waży oddech ani zupełnie nic
o przezroczystych skrzydłach.

Podnieść w całym kraju podatek
od szumu liści i wypuścić
na wolność wszystkich bajkopisarzy.

W sąsiednich królestwach
wywołać powstania miłości
i zamieszki spowodowane czułością.

Spać na puchu i dmuchawcach,
a samemu ważyć niewiele albo nic.

***

Więc opowie teraz swoją wietrzną epopeję.
Będzie unosił się i wyrywał, ale kontynent on jest
i jest, a on ma pełno piasku w butach.

Nawet jeśli jest latawcem, to wiatrem jest
KTOŚ INNY i to ON niesie, chociaż
 czasem on nic o tym nie wie.

Ale teraz wie, sam pamięta jak całkiem niedawno
ON miał w nim złamaną nogę, posiniaczoną twarz.

ON o imieniu jak nazwa egzotycznego motyla,
zawsze obok, szedł z nim i śladami, które stawiali
pisali swoją opowieść. Ale on wtedy nie widział
i nie znał ciepłego przypływu, JEGO tchnienia.

Cierpliwe białe światło było z nim,
chociaż wątpił w jego śnieg.
Długo przedzierał się przez ciemne zasłony.
W końcu podszedł do SŁOWA.
Potem tylko jeden błysk i uniosły się w nim
jasne motyle. Więc zaprosił wiatr
i pozwolił mu się nieść.

Roman Warszewski

# Drzwi i okna. Tak mało, tak wiele

Trudno o bardziej symboliczne... wycięcie w przestrzeni niż drzwi i okna. Wycięcia w przestrzeni, bo przecież nie obiekty. Antyobiekty?

Drzwi to coś, co łączy, a jednocześnie rozdziela. Co broni, ale także dopuszcza i udostępnia. Bez drzwi nie ma budowli – jest co najwyżej zamknięta bryła.

Drzwi odstraszają, łudzą, zapraszają, napełniają respektem albo zniechęcają lub odstraszają (jeśli na przykład są nabite kolcami, co w średniowieczu niekiedy się zdarzało).

Drzwi to znak przejścia. To znak zapytania: co za nimi jest?, kto jest?, czego nie ma?, kogo niema? To przesmyk, cieśnina „między życiem, a śmiercią – czytamy – światłem, a cieniem, znanym i nieznanym, codziennym, a świętym, tym co świeckie a tym co święte."

Drzwi mogą być otwarte – dla przyjaciół, zamknięte dla wrogów. Mogą być też w stanie pośrednim – uchylone, niedomknięte. Wtedy stają się znakiem nadziei. Może uda się wejść, przejść, dostać do środka? To chyba drzwi, które spotykamy najczęściej.

Drzwi są przeciwieństwem muru. Psychoanaliza uznaje je za symbol kobiecości. To jakby architektoniczna wagina. Przyjrzyjmy się wrotom katedr. Ile mają fałd, załamań, koronek. Patrzmy dokładnie.

Między drzwiami świątyni, a ołtarzem zachodzi podobny związek jak między obwodem, a środkiem okręgu. Tak twierdzi m.in. Kopaliński. Oba te elementy, jakkolwiek najbardziej od siebie oddalone, są sobie paradoksalnie najbliższe. Podobna jest relacja między drzwiami a oknem. Są sobie przeciwstawne, a jednocześnie najbardziej pokrewne. Do domu nie wchodzi się przez okno. Przez drzwi nie wygląda się na ulic – do tego są okna.

Teraz więc o oknach.

Mają jeszcze więcej znaczeń niż drzwi. Okno jest trochę jak oko, bo uwiezione w murach oczy bez okna nie są w stanie nic zobaczyć. A ponoć (Plotyn) oko nie byłoby w stanie zobaczyć słońca, gdyby samo nim po trosze nie było. Okno ma więc coś ze słońca? W ciągu dnia? A w nocy coś z księżyca? Gdy zamknie się okiennice – jest księżycem w nowiu?

Gdy są dwa okna, mamy oczy w całej krasie. Gdy jest jedno okno, to mamy trzecie oko. Intuicję i wyższe rozumienie. Brak rozdwojenia. Dwa w jednym, a właściwie wszystko w jednym.

Jako otwór, okno wyraża wnikanie, przenikanie. Przesączanie się światła, a więc wiedzy. Świadomości. Zwłaszcza, gdy pojawia się w górnej części wieży.

Okno prostokątne to racjonalność i przyziemność. Okno okrągłe jest jego przeciwieństwem - ma wiele wspólnego z bóstwem. Okno wielodzielne, wielosegmentowe zakłada istnieniu wielu sensów – niekiedy równorzędnych, niekiedy pobocznych.

O oknie najwięcej mówi to, co przez nie widać. Bo jeśli wychodzi na mur, jest nam w zasadzie w ogóle niepotrzebne. Ważna jest perspektywa, którą otwiera i to, na czym koncentruje naszą uwagę. Framuga okna jest prekursorką ram obrazu.

Okno – podobnie jak drzwi – pozostaje w interakcji z człowiekiem. Bo różni ludzie patrząc przez to samo okno, mogą (a właściwie muszą) ujrzeć całkiem różne rzeczy, sensy, znaczenia. Tak było z Elżbietą Dzikowską, która w drzwiach i oknach dostrzegła to, co wielu w ogóle nie dostrzega i co często jest pomijane. Skupiła na nich swoją uwagę. Nie raz, nie dwa, ale przez długie lata - przez niezliczoną liczbę podróży. Z niezwykłą wytrwałością (a może wręcz uporem) najróżniejszymi aparatami fotograficznymi (musiało być ich naprawdę bardzo wiele) utrwalała właśnie drzwi i okna, okna i drzwi – na całym świecie. Otwarte. Zamknięte. Uchylone. To tematy, które ją zafascynowały. I kazały cierpliwie, przez wielką liczbę lat, nanizywać się obiektywem jej aparatu, najpierw na kliszę, potem na elektroniczną matrycę.

Efekt jest fascynujący.

Powstał album – nie boję użyć się tych słów – monumentalny. Pokazujący okna i drzwi od szpary w ścianach z chrustu, po witraże katedry w Chartres. Nie na darmo Dzikowska (podróżniczka, ale przede wszystkim historyk sztuki) mówi, że wcale nie trzeba patrzeć – trzeba widzieć.

Ona zobaczyła. Teraz kolej na nas.

***Roman Warszewski***

*Elżbieta Dzikowska, „Drzwi i okna świata/ Doors and Windows of the World" (wydanie dwujęzyczne), album, format 240x290 mm, ss. 400, Bernardinum, Pelplin 2018*

Zbigniew Kresowaty

RECENZJA

Aneta Kielan-Pietrzyk

# Memento

*„Poeta pamięta.*
*Możesz go zabić – narodzi się nowy.*
*Spisane będą czyny i rozmowy."*
*(Czesław Miłosz „Który skrzywdziłeś")*

Wędrówka po poprzednich tomikach Tadeusza Zawadowskiego była pełna wzruszeń, refleksji i cichej, łagodnej zadumy. Pisane charakterystycznym, bogatym w metafory językiem traktowały głównie o blaskach i cieniach życia, pięknie przyrody, szczęściu jakie daje miłość, wskazywały drogę ku Bogu i drugiemu człowiekowi, próbowały zgłębić tajemnicę czasu, oswajały z nieuchronnością odchodzenia. A jednak już wtedy poeta był świadomy nieodpartego impulsu, który nim kieruje. W wierszu „Cisza przed nocą" („Listy i cienie" 2011) znajdujemy wiele mówiące wyznanie: „boję się swoich wierszy/ jak wyjętych z rąk Boga zapałek". Boskie zapałki najwidoczniej w końcu zrobiły swoje – zmusiły go do zajęcia stanowiska i radykalnej zmiany formy wypowiedzi. Tak jakby poprzedni język nie wystarczał, był zbyt łagodny, nieadekwatny do wagi poruszanych spraw.

Pierwszym sygnałem były najnowsze wiersze Tadeusza Zawadowskiego pojawiające się w licznych literackich czasopismach. Zebrane w tomik **„budzik z opóźnionym zapłonem"** stanowią niesłychanie ważny dowód na to, że w strategicznych chwilach ten wyjątkowo utalentowany poeta potrafi stanąć na wysokości zadania i zabrać zdecydowany głos. Jakże odmienne to wiersze! Zaangażowane, poruszające tematyką, zaskakujące sposobem pisania. Poeta zdecydował się na zastosowanie techniki przerzutni międzywersowych i międzyzwrotkowych, co według Michała Bukowskiego na ogół „przerywa tok myśli" i „osłabia wypowiedź". Jak jednak autor posłowia, z pewnym zaskoczeniem stwierdza, nie dotyczy to Tadeusza Zawadowskiego, bo w jego wierszach „ta konkretna technika nabrała zupełnie nowej wartości – i w efekcie z jego poezji uczyniła, powiedziałbym, jazzującą muzykę, pełną ciekawych akcentów, synkopującą, wciągającą". Czyż można celniej i z większym uznaniem odnieść się do tej zmiany? Pod każdym względem jest to wyjątkowy tomik. Wnosi w poezję współczesną nowy wymiar, dzięki czemu na zawsze pozostanie przejmującym świadectwem czasów, w których żyjemy.

Zbigniew Kresowaty

Już jego tytuł napełnia niepokojem. Nikt nie przepada za budzikami. Tykają nad uchem, brzęczą przeraźliwie wyrywając ze snu. Zmuszają do opuszczenia ciepłej pościeli i do zajęcia się codzienną bieganiną nie pozostawiającą czasu na przyjemności. Co gorsze, określenie zapłon sprawia, że tytułowy budzik z miejsca staje się nie tylko czymś niemiłym, lecz wręcz groźnym. Na szczęście na razie tylko tyka. Może nikt nie dotknie zapalnika, nie uruchomi ciągu zdarzeń prowadzących do katastrofy? Co prawda zapłon jest opóźniony, ale włączony na pewno zadziała. Może znajdzie się ktoś, kto temu nieszczęściu zapobiegnie?

Niestety, na razie się na to nie zanosi. Zagrożenie narasta. Podziały się pogłębiają, albowiem „lubimy dzielić czas na przed i po. wyznaczać linię/ podziału mitochondriów i rozdzielać kosmos/ na galaktyki. za każdym razem staramy się/ wyodrębnić potencjalnego wroga przeciwko/ któremu trzeba się zjednoczyć."(„linie podziału"). Od wieków powtarzamy te same błędy. A przecież jedynie w jedności tkwi moc! Niestety, niczego nie nauczyła nas historia. Czyżbyśmy tak łatwo zapominali? Nawet tak bolesne fakty?

## wyzwoliciele

weszli do miasta. palili domy i rozpalali stosy. książki
układano w sterty i święcono ogniem żeby nie zakłamywały
historii którą dopiero napiszą nowi jej twórcy. mężczyznom
ucinali języki żeby nie mogli kłamać. kobiety
gwałcono żeby zwiększyć populację zwycięzców. ucinano
ręce żeby nie kraść tego co ukradzione. szli przez miasto
z hasłami o sprawiedliwości wyzwalając kolejne ulice
z rąk poprzednich niewłaściwych wyzwolicieli.

tych którzy nie chcieli być wyzwoleni zabijano żeby
nie grzeszyli.

Historia nie jest nauką ścisłą. Z kolei zwycięzcy są na ogół mistrzami manipulacji, mają siłę i możliwości, próbują więc napisać ją po swojemu. I często im się to udaje. Przynajmniej na jakiś czas. Dzisiejsi sanhedryni, choć zabijają jedynie nienawistnym słowem, są równie zadufani w sobie, bezwzględni i bezkarni. Burzą stare pomniki i stawiają nowe – zdarza się że tylko jeden powielany w nieskończoność. A przecież znaczna część społeczeństwa pamięta jeszcze „czas/ gdy ze wszystkich ścian uśmiechał się do nas/ - choć nam wcale nie było do śmiechu – jeden portret." („pomniki") Nowi „faryzeusze gotowi do krzyżowania już policzyli swoich/ i tych których należy wyeliminować. zapisali nowe prawa w myśl których będą zawsze/ mieć rację." („rzecz o krzyżowaniu"). Są pewni siebie, tym bardziej, że „piłat umywa ręce i podpisuje kolejny dekret nawet/ go nie czytając." („piłat umywa ręce") To rodzi bunt. A bunt ma to do siebie, że „ co pewien czas przestaje być statecznym. pozostawia/ łapcie w przedpokoju i wychodzi na ulicę." („bunt") A wtedy „do pokoju wdzierają się słowa pieśni/ niesionej na ustach jak kiedyś na ramionach ciało janka/ wiśniewskiego. policja jeszcze nie strzela ale lufy wycelowane./dziewczyny wkładają w nie białe róże."(„stary film").

Współcześni faryzeusze są sprytni. Jedną ręką rozrzucają srebrniki, drugą zaciskają pętlę. Naród zbiera srebrniki nie zauważając pętli. Nie zachowuje czujności. Nie wybiega myślą naprzód. Cieszy się, że dzisiaj ma co jeść. Ci, co apelują o czujność i w proteście wychodzą na ulice, muszą zacząć nasłuchiwać tupotu kroków na schodach. Władza jest bezwzględna, tłumi protesty w zarodku. Zaczyna się od wzajemnego obrzucania się inwektywami. Za słowami idą jednak czyny. Agresja narasta. Jedni chcą obalić rządy, drudzy je utrzymać. Jedni i drudzy zachowują się jak stada dzikich zwierząt porażonych wścieklizną: „nieważna rasa sort gatunek. każdy/ ostrzy zęby gotów uderzyć z ziemi powietrza zza ekranu/ czy mównicy. każdy buduje klatki/ aby się w nich chronić lub zamykać innych."(„plaga dzikich zwierząt"). Wielu ludzi ma już tego dosyć, nie chce oglądać telewizji, słuchać kłótni, marzy o spokoju. Nawet „Bóg wyjechał z miasta..." Na szczęście obiecał powrócić. Może się zdarzyć jednak, że „jeśli Chrystus powróci – tak jak obiecał – nie będzie/ miał Go kto przyjąć. będą organizować referenda albo obrady/ w grupach i podgrupach sprawdzać czy jest/ godzien zostać Zbawicielem. analizować pochodzenie pradziadka/ i prababki po wszystkich możliwych liniach. badać kości policzkowe kolor włosów oczu nawet DNA." („a jeśli Chrystus powróci"). Przez wieki byliśmy narodem tolerancyjnym, nie przeszkadzali nam mieszkający tuż obok sąsiedzi obcego pochodzenia. Co się nagle stało? Dokąd doprowadzi nas ta ksenofobia? Czy istnieje ratunek?

Na szczęście jeszcze nie jest za późno. Pod koniec tomiku ton wypowiedzi wyraźnie się uspokaja. Pojawia się nadzieja, sugestia, że wszystko można jeszcze zmienić. Pierwszym krokiem powinno być wybaczenie:

## szkoła wybaczania

nauczyłem się ludziom wybaczać ich grzechy i swoje.
to trudna szkoła tolerancji i wielokrotne powtarzanie
klas. ćwiczenia z budowania przyjaznych gestów
oraz
egzaminy z akceptacji. najpierw jednak trzeba pokochać
siebie. wybaczyć temu w lustrze. Bóg przecież stworzył nas
na swoje podobieństwo. musiał wybaczyć sobie

śmierć swojego syna by móc przebaczyć ludziom.

Każdemu człowiekowi w osiągnięciu tego celu może pomóc gorąca wiara w Boga. Pod warunkiem, że „jego wiara nie wynika z poznania/ ale z samej siebie i pozwala mu ujrzeć rzeczy niewidzialne/ dla innych ludzi. dostrzec w nich ukryte dobro i piękno ."(„ślepy tomasz"). Trudno dostrzegać dobro innych, a jeszcze trudniej odwzajemniać się tym samym. Ale każdy może próbować.

Bez empatii nie ma przyjaźni i miłości. A są to uczucia czyniące nas lepszymi. Mogłyby więc być panaceum na wiele problemów społecznych, gdybyśmy potrafili je odczuwać i wyrażać tak pięknie jak Tadeusz Zawadowski. Wzruszają jego wiersze o przyjaciołach. Boli go nieuchronność przemijania i konieczność pożegnań. Lecz co w takiej sytuacji może zrobić poeta, jak nie pożalić się w wierszu, że „tylu moich przyjaciół wymaszerowało w sen. jeszcze/ dudnią mi w głowie bębny ich butów uderzające o bruk/ niedokończonych wojen. pozostały po nich porozrzucane/ guziki od mundurów wierszy. odbezpieczone granaty słów/ których nie zdążyli wyrzucić na papier lub choćby na wiatr." („nim sen nadejdzie").

Najpiękniejszym ludzkim uczuciem jest miłość. Nie każdy potrafi o niej mówić. Na szczęście Tadeusz Zawadowski robi to bez oporów. W tym jakże ważnym tomiku znajdujemy dwa piękne wiersze dedykowane jego żonie. Nie znalazły się tu przypadkowo. Łagodzą ton wypowiedzi, niwelują niepokój, uspokajają czytelnika, dają nadzieję. Dopóki potrafimy kochać, nic złego nas nie spotka. Wystarczy wziąć przykład z poety:

## granice miłości

Ewie

kocham cię najwięcej we wszystkich światach. bez względu
na którym będę za chwilę. w każdym aż poza granice
zrozumienia. nie sposób przecież miłości zamknąć
w siatce południków i równoleżników nakładanej
na teleskopowe oczy uczonych. ograniczyć
atmosferą czy litosferą. jednego świata
za mało aby pomieścić coś

co nie ma granic.

Jak z tego wynika, Tadeusz Zawadowski w „budziku z opóźnionym zapłonem" nie ogranicza się do załamywania rąk, ostrzeżeń i błagań o opamiętanie, lecz próbuje wskazać drogę wyjścia z matni wzajemnych pretensji dzielących społeczeństwo na zwalczające się nawzajem obozy. Nie wiem, czy ktoś z jego rad skorzysta, są one jednak światełkiem w tunelu, które nie gaśnie i być może zostanie w końcu zauważone.

***Wanda Nowik-Pala***

*Tadeusz Zawadowski „budzik z opóźnionym zapłonem", Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, stron 70.*

Tomasz Pyzik

# Maksymalizm w miniaturze

*Siódemki* Krzysztofa Kuczkowskiego to wiersze zamknięte w określonej podtytułem zbioru ilości wersów. Urastają one niemal do rangi odrębnego gatunku, który endemicznie występuje w liryce autora *Ruchomych świąt*. Są zbyt rozbudowane, by zakwalifikować je do haiku oraz zbyt skondensowane, by sięgnąć np. do sonetu. Genologicznie wpisują się w definicję epigramatu, wyróżniając się stałym podziałem na kwartynę i tercynę. Pierwszy wers jest jednocześnie tytułem i zazwyczaj tworzy przerzutnię klauzulową.

W *Nocie od Autora* czytamy, że wiersze te są próbą „zatrzymania tego, czego zatrzymać się nie da", co sugeruje ich impresjonistyczny charakter. Z kolei motto zaczerpnięte z *Cichej muzyki* Roberta Haasa („*...świat jest tak przepełniony bólem, / że musi sobie od czasu do czasu pośpiewać*.") przypomina takie pojęcie jak *weltschmerz*, które w tomiku neutralizuje się poprzez epikurejskie akcenty. 77 utworów zawartych w zbiorze *Sonny Liston nie znał liter* składa się na wielotematyczną poetycką sekwencję zbudowaną ze spotkań z przygodnymi osobami, które poprzez specyficzne słowa lub zachowanie dały się zapamiętać, poruszając artystyczną wyobraźnię. W często wykorzystywanej konwencji liryki pośredniej ukrywa się także autorskie „ja", prowadzące zawoalowany namysł nad otaczającą rzeczywistością oraz własnym byciem-w-świecie. W lirycznych migawkach jest Sokratejska mądrość (*O CZYM PAN PISZE?*), jest subtelna obserwacja drugiego człowieka, który jawi się w tej twórczości jako najbardziej fascynujący podmiot. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy liryczna bohaterka nie przejawia werbalnej finezji, a poeta otrzymuje materiał do fonetycznego zapisu tytułu (*SZIT FAK MAJ GAD*) i ironicznej pointy (w *POMIĘDZY*) podsumowującej zasłyszane zjawisko językowe. W krótkich frazach wierszy urzekająco zostały zatrzymane wrażenia płynące m. in. z obserwacji świtu, z którego liryczne „ja" czerpie radość życia. Z wolna przebija się w nich metafizyka, nadając przedstawionej rzeczywistości dodatkową warstwę. Tak jest w siódemce *POCAŁOWAĆ*, gdzie zachwytowi nad widokiem za oknem towarzyszy „harmider / skrzydlatych stróżów / poranka". Poeta zaskakująco i umiejętnie łączy zwyczajność z myślą filozoficzną. W pytaniu retorycznym zamykającym pozornie anegdotyczny utwór *ZZA KRZAKA AGRESTU* tkwi ontologiczna zagadka. Podobnie jest w liryku *WYSZLI ONI Z NAS*, gdzie finałowa tercyna wykracza poza dosłowność i w oznajmującej sentencji mówi o ponadczasowym istnieniu bytów: „Usunięte wiadomości pozostają / w systemie to co było / jest". I właśnie wokół „jest" obraca się liryczny kołowrotek, wystukując rytm do bytu prawdziwie istniejącego, wobec którego świat widzialny jest niczym. Mikrocykl trzech wierszy *PRZY TOBIE* zawiera krytykę współczesnych tendencji kulturowych stawiających sobie bożków z własnych wytworów. Owa pustka aksjologiczna prowadzi do nihilizmu, do zatarcia tożsamości. Poeta nie eufemizuje, przejawy takich zachowań równa do zera. Czytamy zatem: „a jakie to nic ma pretensje / jak urąga kosmosowi / jak nic się w niczym odbija". Wyraźny motyw wanitatywny pobrzmiewa zwłaszcza w ostatnim utworze *PRZY TOBIE*: „kropla rosy porannej co spadła / na ziemię. I to ona chce być / miarą Boga?". Wspomniane trzy utwory zbudowane są na zasadzie zestawienia ewokującego nieskończoność lirycznego „Ty" w porównaniu do marności świata i człowieka. Powtarzający się w cyklu dwuwers „PRZY TOBIE / świat cały jak ziarnko" odsyła do *Przypowieści o maku* Czesława Miłosza i zawartej tam konstatacji „Ziemia to ziarnko - naprawdę nie więcej". Jak widać, paraboliczność jest też immanentną cechą wierszy sopockiego autora. Nie inaczej jest w dwóch utworach zatytułowanych *GDZIE JESTEŚ?*. Są to dialogi, w których tytułowe pytanie pochodzi od Boga, a dalsza część tekstu tworzy odpowiedź podmiotu mówiącego, rozpoczynającą się słowami „Ty wiesz Panie [...]". Dostrzegamy w niej intertekstualne nawiązanie do wyznania Szymona Piotra z Ewangelii wg św. Jana: „*Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham*" (J 21, 17). Świadomie sformułowane „tak" bohatera jest wyrażeniem przynależności do Boga, to zadeklarowana chęć bycia w obrębie sakralnej światłości, która pozwala przezwyciężyć mroki ziemskiej egzystencji. Bóg szukający człowieka, Stwórca chcący mieć go przy sobie jakimkolwiek by nie był, dostaje piękną w swej lirycznej prostocie odpowiedź. Jej metafizyczna pojemność nie potrzebuje dodatkowych słów. Poetyckie „ja" cechuje się pokorą i skromnością. Jego ascetyczne wyposażenie o postnej symbolice („Mam sól wodę chleb") jest wyrzeczeniem się dóbr ziemskich na rzecz duchowej obfitości. Osadzenie sytuacji lirycznej na antonimii światła i ciemności wyraźnie podpowiada sens ludzkiego wyboru. Dwie rzeczywistości wpisane zarówno w doczesność i eschatologię wymuszają konkretne określenie się podmiotu poznającego w tej - powiedzmy za Mikołajem Sępem Szarzyńskim - „wojnie, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem". Kuczkowski, poprzez czytelną metaforę i majuskułowy zapis, dobitnie podpowiada miejsce lokacji siły chroniącej przed złem: „NIE MA ORĘŻA / BARDZIEJ SKUTECZNEGO / OD DNIA OKA JASNEGO". Idąc dalej, namawia odbiorcę do podjęcia podobnych sobie działań, do odważnego zawierzenia i zaufania Bożej łasce objawiającej się powołaniem do świętości: „POWIEDZ: TAK / twoje tak / zmienia świat / nawet jeśli // tego nie widzisz / No widzisz". Figura duchowego przewodnika, który w lekkiej formie nakłania do wielkich zmian w życiu, pojawia się także w następnym liryku o silnie perswazyjnym charakterze: „POWIEDZ TO TAK / żeby słowo wypowiedziane / było bliżej ciebie niż przed / wypowiedzeniem // zrób to / złap Pana Boga / za nogi". Poeta zatrzymuje się na mocy słowa, które z powodzeniem promuje również w swych poetyckich miniaturach. Jego siła sprawcza ukazana została równolegle niejako w tle innego motywu obecnego w tomiku, czyli w autorskiej fascynacji tematem bokserskim. Tytułowy bohater zbioru, Sonny Liston, był mistrzem świata w wadze ciężkiej w latach 1962-1964. Jednak już z okładki dowiadujemy się, że on... „nie znał liter". Jak się okazuje, nie jest to powód do kpiny, lecz do swoistego podziwu. Rzeczona przypadłość nie przeszkodziła mu w osiągnięciu celu. Bohaterem wiersza *SONNY LISTON NIE ZNAŁ LITER* jest jeszcze Kabir - średniowieczny mistyk indyjski - o którym ostatnia tercyna mówi, że: „[...] też był / niepiśmienny dlatego / śpiewał". Wzmianki o postaciach z innych dziedzin kultury wpisują się w doświadczaną przez człowieka niedoskonałość, która jednak nie zamyka drogi do osiągnięcia wielkich rzeczy. Najprostsze słowo nie musi być wyrażone na piśmie, a mimo to może stać się kluczem do poznania zadziwiających treści. Maksymalizm tkwiący w poetyckich miniaturach Krzysztofa Kuczkowskiego zachęca, by słowu oddać się z ufnością, by poprzez własne „tak" dać się porwać ku duchowej metamorfozie. W przeciwnym razie pozostaniemy tylko w monistycznej rzeczywistości, jak bohater utworu *PRZECEDZAŁ KOMARA*, który mógł osiągnąć wiele, lecz swą postawą zmarnował szansę: „przeglądał się w lustrze / a powinien przejść na drugą stronę / i śpiewać hosanna". W zaprezentowanych w najnowszym tomie sopockiego autora *siódemkach* pobrzmiewa zawołanie radości i uwielbienia. Ich uważne odczytanie będzie cennym tropem do własnego odkrycia „drugiej strony", gdzie litery nie będą już potrzebne. Zamiast nich będzie śpiew czystego szczęścia, którego doświadczyły kobiety z wiersza *MŁODZIEŃCY*: „[...] zapomniały / słów pieśni / śpiewały bez słów". Skoro tak mówi Poeta, to coś w tym musi być.

***Tomasz Pyzik***

*Krzysztof Kuczkowski, Sonny Liston nie znał liter, Biblioteka „Toposu", Sopot 2018.*

Tomasz Pyzik

# „Tysiąc cudownych dni"

Tomik *za Tobą klucze gęsi i łabędzi* poeta otwiera dedykacją dla żony Iwony w piątą rocznicę ślubu. Celebracja drewnianych godów ma miejsce szczególnie wyraźnie w I części zbioru, gdzie sporo utworów jest wprost adresowanych do małżonki. Charakter tych erotyków miejscami przekracza barierę intymności i może budzić mieszane uczucia. Tytułowy zwrot wziął się z wersu obecnego w utworze *W wysokiej trawie*. W najnowszym zbiorze Sławomira Matusza jest kilka tekstów, których świat przedstawiony przenosi nas w miejsca związane z lokalną przyrodą. Jest to topografia wiążąca szczęśliwe chwile, upamiętniająca zwykłe-niezwykłe spacery, myśli, dotyk. Poeta nie tworzy wyimaginowanego świata, jest u siebie, w swoim mieście, przy sosnowieckich Stawikach. Natura towarzyszy kochankom, przyczyniając się do budowania sielankowej aury. Poeta rysuje liryczny portret Iwony, eksponując jej ciało w taki sposób, że jest ona najważniejszym podmiotem krajobrazu. Wszystko jest jej podporządkowane. Jest pierwsza i jedyna. Nawet przyroda ożywiona zdaje się ją naśladować, podziwiać. Tu kryje się funkcja powtórzenia fragmentu: *za Tobą klucze gęsi i łabędzi*. Iwona jest metaforyczną przewodniczką w poetyckim świecie artysty, jest jego muzą. Za nią płyną nie tylko klucze gęsi i łabędzi, ale także za nią podąża liryczna myśl poety, myśl wzniesiona zarówno miłosną ekscytacją, jak i codziennym, zwyczajnym byciem ze sobą.

Na uwagę zasługuje uniwersalny wiersz *Małżeństwo*, w którym poeta odchodzi od osadzenia słów na konkretnej relacji, tworząc refleksyjny poemat. *Małżeństwo* należy do tych utworów, które mogłyby z powodzeniem znaleźć się w tematycznych antologiach lub wyborach dotyczących tajemnicy związku. Matusz idzie bowiem w zupełnie innym kierunku niż obecny w świadomości społecznej pogląd na styku złośliwości i żartu, mówiący o ograniczeniu wolności jednostki na skutek wejścia w związek z drugą osobą. Jest to literacka apoteoza małżeństwa, które - zdaniem poety - właśnie wolnością ubogaca odrębne podmioty tworzące rodzinną jedność. Piękny i mądry to wiersz. I potrzebny. Przywraca wiarę w instytucję przeżywającą współcześnie kryzys. Ujmuje pogłębionym namysłem nad byciem we dwoje, byciem, które cudem natury powiększa się o kolejne istnienie. Matusz to niezwykłe doświadczenie ludzkie zamyka w obrazowej metaforze: „Dzielimy i pomnażamy ją [wolność - dop. T. P.] / z tym który jest i z tym który / przyjdzie, który płynie do nas // z obu brzegów naraz". Mowa tu nie tylko o dziecku. W życie małżeńskiej pary czynnie włącza się Bóg. Rzeczone wersy nakładają się bowiem na frazę z Apokalipsy św. Jana, która idealnie wpisuje się w swoiste błogosławieństwo dane tym, którzy wspólnie idą przez życie: „Łaska wam i pokój od Tego, Który jest, i Który był i Który przychodzi" [Ap 1, 4].

Obecność Boga w rodzinie została także zaakcentowana w wierszu *Opłatek*. To w nim po raz pierwszy w zbiorze pojawia się Jaś - niepełnosprawny syn. Cała rodzina jest w tym „opłatku", podmiot mówiący czuje wspólnotowe objęcie wraz z największą świętością: „łamiemy się opłatkiem / tu jest serce Pana Jezusa / Iwonki / Jasia i moje mówi mi / jakiś wewnętrzny głos". W tych kilku wersach jest wszystko, także to, czego na pierwszy rzut oka nie widać. W eliptycznym zdaniu, w niewidoczny, lecz wyczuwalny sposób, zapisanych zostało kilka wezwań z *Litanii do Najświętszego Serca Pana Jezusa*. Bo przecież w tle słyszymy: „Serce Jezusa, gorejące ognisko miłości", „Serce Jezusa, dobroci i miłości pełne", „Serce Jezusa, źródło wszelkiej pociechy". Dzięki temu lepiej rozumiemy gest poety wobec żony utrwalony w ostatnim fragmencie utworu: „zdejmuję okruszek / z kącików ust Iwonki / by nie upadł na ziemię".

Sakralne tło towarzyszy także temu, co się dzieje dalej w tej niewielkiej objętościowo książce poetyckiej. *też kocham Jasia* - tak brzmi tytuł II części zbioru. Więcej o dziecku dowiadujemy się w pierwszym utworze z tej partii, czyli w *Wierszu dla Jasia*. Kilka wersów wziętych w nawias przybliża nam drugiego ważnego bohatera tej liryki: „[…] porażenie / mózgowe astma śliczny / uśmiech uwielbia czytać atlasy". Jesteśmy we wspomnianym utworze świadkami przejmującej rozmowy prowadzonej nad atlasem, który okazuje się jakimś magicznym rekwizytem, tajemniczą bramą przenoszącą bohaterów w odległe miejsca. Ostatnim z nich jest Złota Świątynia Sikhów w indyjskim Amritsarze. Końcowe obmycie stóp w Jeziorze Nieśmiertelności jest rytuałem ocalającym umiłowane życie, przenośnym wyrażeniem bezwarunkowej miłości ojca do syna. Terapeutyczna gra z atlasem pokazuje też to, co było, czyli tysiące spacerów po okolicy. Ojciec Jasia pisze: „tysiąc cudownych dni / w słońcu deszczu śniegu / mrozie pchałem wózek z Jasiem tam gdzie on / pokazywał". Ponownie przenosimy się do miejsca znanego wcześniej z innych doświadczeń. Znajdujemy się… *Na Stawikach*: „wózek Jasia otoczyły łabędzie / niosą go teraz / w morzu światła i traw". Oto cały wiersz. Znów Stawikowe łabędzie towarzyszą lirycznemu bohaterowi. Tym razem to Jaś. Skromna tercyna wyraża nie tylko oddanie dziecka naturze. Włączenie hiperboli odnoszącej się do światła ewokuje sakralną symbolikę, to znak przeznaczenia, szczególnego wyboru, wskazania destynacji, której zdrowy człowiek nie może być pewien. Ciężka choroba dziecka staje się tajemnicą, to omen wyjątkowego umiłowania przez Boga, które umyka ludzkiemu zrozumieniu.

Silne emocje towarzyszą utworowi *Jasiu na oiomie*. Troska, lęk, modlitwa, płacz, nadzieja i chyba najbardziej chwytające za serce końcowe zawołanie do dziecka. Oto części składowe wiersza, który językiem i wersyfikacyjną budową oddaje dramat rodziców. Nie wiemy, jak się skończyła ta historia. Jakkolwiek tomik finalizuje liryk o tytule mającym biblijne podłoże - *Arka*. To, jak wiadomo, nasuwa myśli związane z ocaleniem. Napotkamy w nim takie słowa: „na arce Jasiu […] // pchamy z Iwoną / przez łąki tę arkę // na lewo maki / na prawo maki // na lewo śnieg / na prawo deszcz". A zatem zakończenie jest otwarte. Na szczęście.

Pozwala mieć nadzieję, że przed bohaterami tomiku jeszcze niejeden „tysiąc cudownych dni" na wspólnych spacerach.

***Tomasz Pyzik***

*Sławomir Matusz, za Tobą klucze gęsi i łabędzi, Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2018.*

Zbigniew Joachimiak

# Aneks do kalendarza,

## fragmenty Dziennika (4)

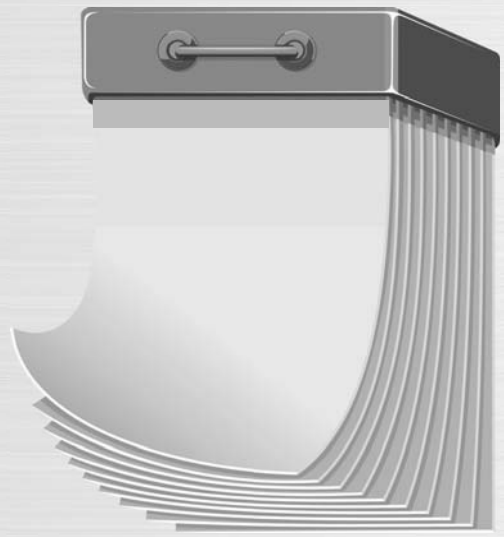

**20 maja 1977 roku.**

Jestem studentem polonistyki. Mam 27 lat. Mieszkam w kopcu studenckim. Głowa w głowę. Koń zagląda przez okno. Ma na imię Marian i jest siwkiem od Pani Lusi. Pani Lusia mieszka w „czerwonym domku" pomiedzy akademikami. Straszy studentki nad ranem podżerając zapasy lekkomyślnie zachomikowane na parapetach okien parteru. Robi to najczęściej ok. 5 rano. Nie dziwię mu się, bo właśnie zlikwidowano ostatni skrawek łąki i buduja tam nowe dwa budynki. Gdzie się paść? Jak wyżyć?

Wciąż mam szeroko otwarte oczy ze zdziwienia. Mój płód społeczno-polityczny zakrzyczał w grudniu 1970 roku w Szczecinie, gdy stalowa osa przeleciała mi koło głowy. Staliśmy na przeciwko komendy wojewódzkiej MO, ja, Ela Maksjan i Mirek Szyszko. Ela mieszkała w tym miejscy w długiej jednopiętrowej, odnowionej kamienicy. Ostatecznie myknęliśmy do góry. Stamtąd rosły nam emocje w rytm pałek na plecach tych, którzy nie zdążyli uciec. Zagadką pozostanie dla mnie, co czuł wtedy Mirek – jego mama pracowała w tejże komendzie, którą chwilę wcześniej próbowano podpalić i zniszczyć. Sekundowaliśmy wydarzeniom i protestującym stoczniowcom (a potem już bardzo różnym protestantom). Przez lata oczywiste było dla mnie, że Mirek było „naszej" stronie, ale czy na pewno? Ale czy tak po prostu? Nie zapytałem go, co czuł, gdy widział podpalaną komendę, czy bał się o matkę? Wiem na pewno, z kim był na tym obrazku, który zapisały telewizyjne kroniki, a potem wielokrotnie pokazywane: plac powoli pustoszeje, większość ludzi to milicjanci. Ktoś jednak zdecydował się przejść, młoda para. Idą przytuleni do siebie, tak jakby chcieli się sobą odgrodzić od tego brutalnego świata. Podchodzi jeden milicjant, podchodzi drugi, trwa jakieś przepytywanie, dochodzą następni, już wokół jest co najmniej 15 - 20 milicjantów. Puszczają dziewczynę. Chłopak dostaje pałą, potem następną, zamyka się nad nim krąg niebieskich mundurów. Leją.

Postanowiłem wtedy nie pisać, a przynajmniej nie do druku. Ale to się nie udało. Bo gwałtownie nabiegłą ślinę trzeba wypluwać. Gruczoły ślinianek nie przestaną działać. Może w tej operacji ciągłego wypluwania nie zwyrodnieję, nie zwariuję, nie spudłuję, nie rozłożę się w trupa. Mirek Szyszko powiedział, ta kula nie była dla ciebie, jak widzisz.

W pobliżu płacze dziecko, którym opiekuje się młoda dziewczyna. Ludzie dopiero dorośli. Było ich w pobliżu kilka tysięcy. Trochę dalej kilkaset tysięcy. Jeszcze dalej kilka milionów, kilkanaście. Ale nim się zebrali wszyscy, tam na placu rozgrzewały się pały milicyjne.

**20 maja, cd.**

Nazywam się. Mieszkam. Wszystko, co naprawdę posiadam jest po drugiej stronie. Druga strona - obecnie - jest dziewiątką. I rozwija się w nieskończoność liniową, nie tam byle jaką mobiuskę. Nigdy nie stanę po drugiej stronie. Nie dla psa kiełbasa. Nie dla linijki gwiazdy. Nie dla kury góry. Moja liczba ma szansę osiągnąć rząd tysięcy, no, powiedzmy milionów. Ale nie więcej.

Mój świat nie jest światem liczb. Rozpoczyna sie przypominaniem przypominania Kocia Lietajewa a kończy się tutaj i w tej chwili. Kończy się. Lecz **jak widać** istnieję w nieskończonej ilości zakończeń. A jak **nie widać**, to nie istnieję? Trudna jest chwila liczb. Posiadam też liczbę zwaną ciasną obręczą, niechęcią, zmęczeniem, rezygnacją.

**19.06.1977, Gdańsk**

Głodówka. Od słowa do rzeczy jest przepaść. Przepaścią jest przestrzeń i czas. Może zwarty jest jeszcze wymiar mitologiczny.

Głodówka. Nie zjadłem dawno jednej choćby małej prawdy. Prawd nie ma. Jest dno. Dno jest w miarę pewne. Ja jestem na dnie? Czy ja jestem na dnie? ja i moja fizjologia? Fizjologia cierpi na duchа.. Ja nie jestem duchem. Ja jestem nawiedzony, a raczej nawiedzany. Bardzo rzadko. Teraz kręci mi sie w głowie. Głodówka. To nie duchowi się kręci w głowie. To proch, tableta, chemia plus fizjologia, plus głód.

(nie jadłem od 24 godzin, a może już dwa dni?)

Erotyki. Realizuję pisarski plan. Napisałem już dziewięć. Na chłodno. Trochę jak plecionki z drutu, właśnie z drutu, a nie z wełny, czy elastycznej wikliny. Z definicji gatunku. Dwa na pewno dobre.

**27.02.1980**

Kobiet moich nie budź. Żony mojej nie zawracaj, dzieciom nie przywrócisz uciętego losu.

Obudzę się sam.

Krew staje, zaskrzepia wolę i siłę.

Matka mi umiera (jeszcze o tym nie wie).

Ojciec umiera (jeszcze o tym nie wie).

Ja żyję (i wiedzieć o tym nie chcę).

Słodko ulegać witalności poranków.

Ach, słodko coś powiedzieć o wschodzie słońca ( w konkretnym miejscu, na plaży na Zaspie, w tym konkretnym czasie XX wieku, w tym konkretnym widzeniu, tego konkretnego Zbigniewa Joachimiaka), jak słodko wspomnieć o słodkiej rosie porannej, którą mam na ustach nabrzmiałych z wysiłku, gdy biegnę przez tę złotą plażę.

Chciałbym *powiedzieć* tę sielankę i rozmazać ją po całym swoim ciele, jak pot, cuchnące ciecze i fizjologiczne soki, omazać się cały - i usta, policzki, twarz całą, oczy i

całe błyskawicznie więdnące ciało. Chciałbym soczyście splunąć tą sielanką.

Potem biec i przebiec trasę do końca.

Sielanka?

- A przecież krew płynie mi w żyłach skoro piszę to, co teraz piszę.

Zbigniew Kresowaty

cd.

Dość. Spokojnie. Trzeba wyrównać oddech. Potem przedmuchać pierwszą z brzegu panienkę. Przeczytać kolejną książkę. Jutro zadbać o pieniądze na pojutrze. Bez miłości. Bez dobroci. Bez uśmiechu.

cd.

Dziewczynka z mojego akademika liczy: ene due lika fake, torba borba ósme (usme?) smake... To dość logiczny plan na najbliższe lata.

Astma. Nie mogę dojść na trzecie piętro i zadyszam sie jak napalony na sukę pies. Żołądek. Dietki, obiadki jak skarpetki. Godzina 1.30. Jeszcze listy. A może już reladorm?

Jarre M.J. dnia 27 czerwca 1979

Prawie rok od ostatniego zapisu! Czas nieprzejednany. Czas obojętny. Szczelina się zacieśnia. Przez zwarte czerwone usta przebijają się dźwięki. To moje słowa?

Póki, co jedno tylko zwycięstwo: mam usta, które wciąż wypowiadają (słowa i wojnę) sobie na podwalinę, sobie na podwalinę tematu.

Michael Jean Jarre, sentymentalny elektronik świata. Podtrzymuje pękniętą błonę zarastającą usta. Trzeba gromu mooga, aby wypłynęła krzta śliny. Syntezatora i syntezy. Trzeba białka, energii, siły. Płynie przeze mnie prąd Jarra. Wstrząsa śniętym mózgiem, dźwiękami spoza świata natury. A jest naturą. Mózg kipi. Brzmi jak syntezator Jarra. Składam mu hołd. Na chwilę. Oskrzela wszak jutro rano mi nie odpuszczą. Astma.

**Ocho! Wciąż 1979 rok**

**27.02.1980**

Nie chce mi sie kontynuować tego dziennika. Nie chce mi sie w ogóle pisać. Nie znajduję w tym pasji. Jeśli piszę, to dlatego, że chcę zarobić na honorarium. Jestem cienko żyjącym poetą. Piszę dla kasy? Czy to cynizm? Na pewno nie pisarstwo. Czy gdybym miał środki na życie, czy przestałbym pisać? Jednak nie. Może nie pisałbym tekstów komercyjnych, usługowych, zamówionych. Pisałbym, bo jest w tym jakiś narkotyk, ta chwila po napisaniu, gdy tekst się odrywa ode mnie, zaczyna być już czymś obcym, nie własnym, gdy czytam z ciekawością, co dalej. Ale dotyczy to przede wszystkim wierszy, Nim jednak ten tekst powstanie, staję wobec ściany niemożności, inercji... Wiem, że trzeba sie po prostu rzucić w ten nie powstały jeszcze tekst, ale włosy jeżą mi się na rękach, czasami nawet mam gęsią skórkę, lęk, przemożny lęk by to wreszcie zrobić. I to chyba nazywa się bólem pisania. To zniechęca, budzi niechęć pisania, gdy tak naprawdę jest objawem lenistwa. A to lenistwo jest niekiedy aż fizyczne, czuję je ciałem. Poczucie braku sensu pisania, to też protest przeciwko bólowi pisania, który jest bólem fizycznym brzucha i oddychania. Niegdyś nie zdawałem sobie sprawy jak fizyczne jest pisanie wierszy, że jest czuciem ciała, wcale nie wiele odmiennym niż seksualne doznania. Ale w przypadku seksu orgazm prawie jest murowany, w przypadku pisania zadowolenie jest rzadkie. To jest oczywiste, nawet pisząc teraz, czuję się skazany na ciało.

**24.05.1980**

Gdy krytyk-akademik pisze o poezji onirycznej chyba trzeba być potłuczonym, aby uwierzyć w taką rozprawę. Język wizji, nocy przekładać na język pojęć i dnia? to musi zabijać oniryczny tekst poetycki, tekst „objawiony", będący olśnieniem. Małgorzata Benka nie byłaby takim tekstem olśniona. Ale nie tylko ona. Inna sprawa, że dzisiaj nie znam krytyka, który potrafiłby inteligentnie napisać o twórczości Benki.

Gdyby to robił jeszcze krytyk-filozof, a zatem człowiek-konstruktor, to może byłby w tym jakiś sens, bo opisywany tekst byłby gruntem dla przewodu filozoficznego, wiersz byłby kategorią filozoficzną. Lecz gdy czyni to *krytyk-działacz*, *krytyk-sumienie-społeczne*, *głos-sprawiedliwości i prawdy* (tak jak to czyni na przykład Staszek Rosiek lub Stefan Chwin ( skąd u niech ten ciąg do moralizatorstwa? Czy to jakieś kompleksy?), to noc pozostaje nocą i nic się nie wyjaśnia. Obraz oniryczny jest chaosem, wizją, fantazją. I tak musi być.

Krytyk współczesny (od Sandauera, poprzez Waśkiewicza aż do Staszka Rośka) pozostają zanurzeni w literackiej mimesis po uszy! I uszy ich obchodzą najbardziej. Kwestionują oczywistość w imię rzeczywistości, która objawia się im jako aksjomat, tak bardzo, że staje sie kategorią tylko krytyczną, nieomal artystyczną, estetyczną, nie zaś ontologiczną. Ich

Zbigniew Kresowaty

prawda o literaturze: większość ma rację. I piszą o imponderabiliach literatury. Herezją lub co najwyżej spekulacją zdaje się im przeświadczenie, że w świecie równe sobie są części: to co jest i to czego nie ma. Że nie ma podstaw (a tym bardziej, gdy się nie ma wyraźnego powodu ontologicznego), aby preferować jedną z tych części. Nie chcą pamiętać, albo pomyśleć, że punkt widzenia którejkolwiek z tych części choć kwestionuje, to jednocześnie wspomaga drugą. Zanurzenie w połowę świata realnego skazuje krytyka na porządek w którym jest zanurzony. Gdy pojawia się szansą na „wypłynięcie", bo dociera do niego fragment okrętu ze świata nierzeczywistego, jakiś ułomek masztu, deska, koło ratunkowe, mówią: oto jest produkt szaleńców, czyż mamy uważać, że to jest dowód na świat? Czyż nie są głupcami, czyż nie należy ich zgładzić, wszak burzą przejrzystość naszych wód? I odsuwają nadarzającą się okazję nowych odkryć.

Przyjaciele moi Oniryści, drodzy szaleńcy, wizjonerzy,
oto przychodzą do nas mędrcy.
Wytłumaczą nam nasze błędy, głupotę i szaleństwo.
Oświecą nas, delikatnymi skalpelami otworzą
nam czaszki.
Dobrotliwymi słowami nauczą nas kłamstw. Przez kanały
uszu wleją nam ciepły gips.
Źrenice nasze czarne przemalują na niebiesko.

Modlitwy nasze rozkleją w gazetach,
pozszywają popękane skóry.
Mądrości nauczą w zamian miłości.
Otworzą ciało i zaświecą lampą do środka.

Zobaczą kości, mięśnie, ścięgna
a pomiędzy zobaczą pustkę.
I powiedzą tu nic nie ma.

Oto, Przyjaciele, przychodzą do nas mędrcy,
Otwórzcie kanały, ścieki, krany, rurociągi,
bo idą do nas wreszcie nas osądzić
i wolności wytłumaczyć
błąd.

Przyniosą nam prawdę i mądrość. Oświecą nas.
Do ostatniego.
Nawet tym, którym nigdy nie pękły usta
rozetną skórę, by nieśli sławę mądrości.
Nie miłości.

Drżyjcie Przyjaciele, bo jeszcze nie jesteście oświeceni.

**Czerwiec 1980r**

Jest lato, ale jest mrocznie. Coś wisi w powietrzu.

Pojechałem z Lisą i Maureen do Krępy. Pierwszą poznałem Maureen. Córka żołnierza amerykańskiego z Hawajów. Zostałem jednak z Lisą. Dość ciężko komunikować się w języku, który zna się tylko z lekcji szkolnych. A jednak komunikacja jest udana.

Dziewczynom podoba się nasza leśna osada. Szwendamy się po lesie. Jemy poziomki. I drinkujemy. Lisa zagląda mi głęboko w oczy. Ja chodzę po lesie w ciężkim zielonym płaszczu i w hełmie hitlerowskim. Hełm jest w jednym miejscu roztrzaskany, ciekawe, czy od strzału, czy ze starości. O co mi chodzi? Szczylskie szpanerstwo. Już kiedyś użyłem go niecnie, gdy odwiedzili mnie znajomi z NRD, wtedy w środku hełm pomalowałem na czerwono i położyłem w widocznym miejscu.

Rodzice są w Gdańsku na Zaspie. Czy też dobrze się bawią?

## Alicja powraca

Co jest z drugiej strony lustra?
Z drugiej strony lustra stoi ona,
jeszcze pamięta, że Tam
kto w lewo sięga dotyka na prawo.
Kto daje krok wstecz jeszcze j e s t.
Lecz idąc do przodu przed matową
ścianą staje.

Z drugiej strony
stoi postarzała pani Alicja,
uśmiecha się niepewnie, bo pamięta,
że stało przed nią lustro,
że starczyło zdecydowanie weń wejść.

Pęka zwierciadło, odsłania pustkę.
Dłoń Alicji wysuwa się spod gruzu szkła, sięga
w głąb.

Oto ciemna, ślepa zamknięta sala.
Pośrodku niej
wisi ręka młodej dziewczynki,
bez śladu krwi.

(sala się zapada, szkło wraca do ram,
koniec wizji, kończy się film)

Z drugiej strony puste lustro lśni.

*KRĘPA KRAJEŃSKA, 12 LIPCA 1980 ROKU*

**17 sierpnia**

Byłem pod bramą stoczni. Strajk. Strajk? Strajk. Dziwnie ciężki nastrój w mieście. Wszędzie w mieście na ścianach napisy: *Strajk*. Ale milicji nie widać.

Spotkałem pod stocznią Marka Bieńkowskiego. Weszliśmy na teren stoczni.

Wracając do domu mieliśmy stracha, ale chyba nikt nas nie śledził.

**19 sierpnia 1980**

Lisa się strasznie boi. Ale właściwie czego? Z mojego okna widać dźwigi stoczni i całą stocznię.

Udało nam się z Markiem zmontować list poparcia dla stoczniowców. Wałęsa dał nam kasę na taksówkę, bo ani ja, ani Marek oczywiście – własnych samochodów nie mamy. A trasa dość długa, od Gdyni Obłuże (tam mieszka Waldek Ziemnicki) do Pruszcza, przez Gdańsk i dzielnice.

Koledzy z ZLP nie palili się do wspólnej akcji. Stanęło więc na liście poparcia strajku przez tzw. młodych pisarzy, a konkretnie zgrupowanych w Kole Młodych Pisarzy przy ZLP.

cd. str.50

cd. ze str.49

**21 sierpnia 1980**

Na terenie stoczni spotkało się sporo osób z naszego środowiska literackiego. Są tam m. innymi Adzik Zawistowski, Esden - Tempski, Marek Bieńkowski, Antek Pawlak, Marian Terlecki. Kto tam się znalazł mnie nie dziwi, bo Antek czy Marian to działacze młodzieży politycznej. Chwała też dla jedności ich dawnej grupy poetyckiej „Muzeum Samowiedzy". Dziwi mnie jednak brak wielu innych poetów i pisarzy (gdzie jest Olek Jurewicz, na przykład, albo moralizatorzy Rosiek i Chwin? To że ja tam się znalazłem może zaskakiwać, wszak jestem z „*pokolenia bezgłosu*" ( jak by to powiedzieli barwnie nasi dzielni, powyżsi krytycy). Sporo już osób z ZLP. M. innymi Lech Bądkowski i Bolesław Fac. Bądkowski jest rzecznikiem prasowym strajku. Przyjechali tzw. *doradcy* z Warszawy (Mazowiecki na pewno). Wałęsa na temat Wolnych Związków Zawodowych mówi teraz więcej i bardziej składnie, bo pierwszy mój kontakt z nim nie był zachęcający intelektualnie. Coraz głośniej stawia się warunki polityczne.

**26 sierpnia 1980**

W stoczni atmosfera pikniku. Trwa jednak nadal przepychanka na warunki zakończenia strajku. Władza szczególnie zawzięta na Kuronia, Michnika, KPN, ze szczególnym akcentem na Leszka Moczulskiego. W sali BHP tłok. Są tu już chyba wszyscy. Nawet lokalni pisarze z ZLP. Strach odpuścił najwidoczniej. Trwają nieskończone wystąpienia przedstawicieli najróżniejszych przedstawicieli z całej Polski. Od czasu do czasu wybucha jakiś skandal z tzw. prowokatorami. Są artyści, aktorzy, dziennikarze z całego świata. Jest też mój kolega z Associated Press, który przemieszkuje u mnie (jego ojciec, Polak, stary emigrant w randze admirała marynarki amerykańskiej mieszka w Nowym Jorku i też ponoć sekunduje tutejszym wydarzeniom).

**4 września 1980**

Po zwycięstwie?

Byłem w siedzibie *Solidarności* (ta nazwa już w pełni funkcjonuje) na ul. Marchlewskiego. Młyn straszny. Chaos. Uciekłem stamtąd. Nie nadaję się do takich działaczowskich organizacji. A jednak wychodzi ze mnie natura pasywnego politycznie poety. U mnie w domu spotkaliśmy się w gronie Staszek Rosiek, Marek Bieńkowski, Darek Filar i ja. Staszek ma pomysł na nowe pismo. Takie czasy, wciąż i wciąż pojawiają się nowe samizdatowe wydawnictwa. Już nie tylko polityczne, ale i czysto literackie. Będziemy i my wydawać pismo? czemu nie. Ma być w nowym duchu. Oby nie przesadzić z rewolucyjnością. Wciąż czuję się pewniej na gruncie osobistej, *prywatnościowej* literatury. Byłem świadkiem rewolucji, ale rewolucjonistą nie chcę być. I nie jestem.

Lisa robiła nam herbatki. I była bardzo przejęta. Romans z Lisą robi się coraz poważniejszy.

**20 września 1980**

Chyba jestem rozgorączkowany. Nie chce mi się pisać dziennika. Czuję, że powinienem. Ale bardziej mnie teraz zajmuje Lisa. Chce być ze mną na stałe. Mnie też zajmuje coraz mocniej. Ale ona jest 10 lat młodsza. A ja wcale nie wiem, czy jestem gotowy do nowego związku (szczególnie, że jeszcze stary nie całkiem rozwiązany z Jolą).

**20 czerwiec 1982**

No, to jestem w Krepie, to znaczy Lisa, Sybilka i ja. Uciekliśmy z Gdańska z wielką radością. Może nawet nie chodzi o Gdańsk, ale codzienną stresogenną rzeczywistość, o codzienne bombardowania kłamstwem, głupstwem i grozą *wrony*. Ale pomimo, że jesteśmy już tu kilka dobrych dni czuję się wciąż rozbity. Wstaję zły i zmęczony. Staram się wtopić w Krępę, w jej naturę, zajmuję się drobnymi czynnościami gospodarczymi. Czytam Zuckmayera, Krzysztonia (*Pannę radosną*), trochę zaglądam do wierszy (też swoich). Mało piszę. Pisanie dziennika to przełamywanie wewnętrznej inercji. Z perspektywy kilku miesięcy wiem, że napisałem kilka ważnych i dobrych wierszy, leżą w zeszycie. Wiem, że ukazał się mój wiersz *Nasza Wojna* w Nowym Jorku, w *Nowym Dzienniku*. Niespodzianka, ucieszyłem się. Myślę, że ten wiersz ma szerszy sens, niż tylko skojarzenie ze stanem wojennym. Czytam Motory.

cd.

Wczoraj zobaczyłem oczy diabła. Nie były straszne, choć świeciły zupełnie nieludzko. Czekały. Ja też. Potem znikły. Czy je widziałem, czy zmyślam sobie? Nie wiem. Siedzę przy stole i piję wódkę, ale chyba za mało, bo wciąż nie obejmuję tego, co się zdarzyło (ale wódki nie piłem wczoraj, gdy zobaczyłem te oczy). Ciekaw jestem, czy Blake widział piekło? Czy tylko posługiwał się taką fantazją, metaforą? Czy kłamał? Podobały mi się te oczy diabła.

**25 czerwiec 1982**

Jutro jadę do Gdańska. Po kartki i pieniądze, bo przyszły honoraria (jeszcze przedwojenne!). Chcę też pobyć trochę w samotności, bo tylko tak odpoczywam. Choć mam teraz wiele miłości wokół, samotności mam stanowczo za mało, choć przyjmuję to z pokorą.

Dostałem bardzo ciekawy i serdeczny list od Marianny Bocian. To wspaniała i dość trudna poetka z Wrocławia. Kapitalnie łączy wszelkie wymiary czasu. Chora, zmęczona, ale myśli precyzyjnie i totalnie. Dzisiaj piszę trochę z jej powodu, przez jej zaklinanie: "*Pisz, pisz, z bólem, po trochę, ale pisz*". Ten imperatyw wydaje się dzisiaj bardzo ważny, bo jak ocalić od zapomnienia dzisiejsze czasy i siebie samego? Marianna dołączyła też wiersz. Chciałbym się zrewanżować, ale jakim wierszem? Może tym, który jest jeszcze nie napisany? Albo… może… Mam taką serię wierszy w której bohaterką jest Marianna A. A gdyby przemianować ją na Mariannę B.? Marianna A. jest nieuchwytnym bytem, zupełnie jak Marianna Bocian.

**10 maja 2017**

**Muszę o nim napisać więcej.** Krzysztof Gąsiorowski. On i Waśkiewicz to dwa filary Orientacji. Ich bliskość nie oznaczała zgodności poglądów i poetyk w praktyce wierszowania. Obaj byli najsilniejszymi ideologami a też teoretykami *Pokolenia Orientacji*. Obaj wydali po wiele książek krytycznych. Jednakże „Gąsior", (bo tak nazywało się Gąsiorowskiego pośród jego pokoleniowych towarzyszy, jak i później w cały światku literackim, nawet o dwa pokolenia młodszych poetów), zasadniczo zajmował się głównie propagowaniem własnej wizji literatury i miejsca *Orientacji* w szerokim planie historycznym, począwszy od Norwida, po poetów Nowej Fali (do młodszych pisarzy raczej nie sięgał w swoich krytycznych refleksjach). Całe spektrum egzystencjalne poruszał w wierszach, ale nie w krytyce. Nawiasem, choć twórczość *Gąsiora* była rozdwojona na poezję i krytykę, to była zaskakująco komplementarna. Wiersze bywały rozprawkami krytycznym, a esej bywały bardzo poetyckie. Ale tak jak napisałem: zasadniczo zajmował się swoim światem, swoimi wizjami, swoim pokoleniem poetyckim.

**Moi umarli, którzy siedzą mi w głowie cd.**

Na przykład Milczewski-Bruno. Poeta. Pijak. Rozrabiaka. Z fascynującym podejściem do języka. Jego emocje i myśli nie dawały mu się zamknąć w zwykłych zapisach. A więc, być może dlatego uprawiał poezję. Ale zwykły język, nawet potoczny, też nie dawał mu się dobrze wypowiedzieć, dlatego stworzył swoją ekspresyjną stylistykę, wybuchową poetykę, napiętą, deformującą język literacki, ale za to bliski jego słyszenia i rozumienia świata.

Nie polubiłem go, gdy któregoś razu w połowie lat 70 zjawił się na wieczorze poetyckim w siedzibie ZLP na ul. Mariackiej. Był oczywiście agresywny i głośny, i nachalny. Wiersze miał naprawdę dobre, ale że miał kłopoty z uzębieniem, to seplenił i mówił dość niewyraźnie. Ale show robił znakomity.

Drugi i zarazem ostatni raz spotkałem go na seminarium literackim, które zorganizował, gdzieś w okolicach Torunia i Grudziądza, Jurek Leszin. To było najkrótsze seminarium na jakim byłem. Niewiele zdarzyło się, ale to co jednak się stało pamiętam przejmująco. W jezierze nieopodal miejsca, gdzie mieliśmy spędzić kilka dni na słuchaniu poezji i wystąpień krytycznych, zaraz po przyjeździe utopił się Bruno Milczewski. Dojechaliśmy tam autokarem, w którym najwyraźniej mnie postponował, wyzywał od Żydów i zachowywał się ordynarnie. Wtedy pomyślałem, że nie chciałbym mieć nim cokolwiek wspólnego. Drugi raz go znielubiłem.

Dzień był upalny i gorący (to chyba był czerwiec lub jeszcze maj, nie pamiętam), a zatem wszyscy po przyjeździe udaliśmy się na niewielką plażę usytuowana kilkadziesiąt metrów od budynków w których mieliśmy spędzić kilka dni. Byłem ubrany, ale parę osób natychmiast wyskoczyło z odzieży i weszło do jeziora. Pomiędzy nimi był Milczewski. Miał sławę znakomitego pływaka, który regularnie przepływa Wisłę w Grudziądzu. Pływał blisko z 20-30 metrów od pomostu. W pewnym momencie skrył się pod wodą a następnie pokiwał znad tafli ręką. Tak, widzę tę jego rękę do dzisiaj. Nie pamiętam, czy to ja pierwszy zaniepokoiłem się, a może ktoś inny, ale na pewno ja też zauważyłem, że Milczewski długo nie wychodzi spod wody. Z dwie osoby wskoczyły w tamtą stronę by sprawdzić i szukać Bruna. Niestety, nie znaleźli go. Po kilku godzinach został wyciągnięty z toni bosakiem przez strażaków. Seminarium się rozwiązało. Na miejscu pozostał organizator, czyli Jurek Leszin, może też Janusz Żernicki? I nie wiem dlaczego ja. Przyjechał jakiś pogrzebowy transport i odwieźliśmy ciało topielca do jego domu. Pamiętam tę noc. W samochodzie zakładu pogrzebowego. Ciemno. Niewiele rozmawialiśmy. To był pierwszy mój trup w życiu. Nigdy nie widziałem wcześniej umarłego człowieka, a na dodatek musiałem go dotykać wnosząc do samochodu. Do dzisiaj uznaję to za ironię, że oddałem ostatnią usługę człowiekowi, który parę godzin wcześniej mnie brutalnie obrażał. Nadal go nie lubię.

***Zbigniew Joachimiak***

Zbigniew Kresowaty

# W numerze grafiki prezentuje Zbigniew Kresowaty

gazeta literacka

**Migotania**

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

**numer 1 (62) 2019**

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Dział PR: **Adam Buszek**
Dział tekstów, redakcja i korekta: **Agata Foltyn**
Dział fotografiki: **Sybilka Storie**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**, **Andrzej Wołosewicz (Warszawa)**, **Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)**

Stale współpracują:
**Anna Frajlich (Nowy Jork)**, **Adam Majewski (Gdańsk)**, **Grzegorz Musiał (Bydgoszcz)**, **ks. Jan Sochoń (Warszawa)**, **Leszek Szaruga (Warszawa)**, **Olga Śmiechowicz (Łódź)**, **Roman Warszewski (Gdynia)**, **Marek Wawrzkiewicz (Warszawa)**, **Krystyna Śmiechowicz (Łódź)**, **Zofia Beszczyńska (Warszawa)**, **Sławomir Majewski (Miechów)**, **Leszek Żuliński (Warszawa)**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
**Baltox Jolanta Rakowska**
Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. Grunwaldzka 303, 80–314 Gdańsk
tel. 782-022-502
601-840-302
**joa@migotania.pl,**

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

**Migotania**.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
**joa@migotania.pl**

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO


**Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":**

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Migotania

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW,
Autorów
oraz Przyjaciół „Migotań"
zapraszamy
do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy
będziemy w stanie przetrwać
na trudnym rynku
oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc!
Redakcja

Migotania

**Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.**

**Jak zamawiać kwartalnik? Proste:**

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Marek Jagliński

## Metafizyka CCLXI

XI przykazanie –
W porze nocnej
wyobraźni
nie zakłócać
ciszy dnia

Myśli
jak psa wszechświata
trzymać za mordę
zmysłów

Wyprowadzać uczuciami
w obroży marzeń
na spacery snów

Na manowce wieczności

## Metafizyka CCLXII

… jesteś
wciąż na garnuszku
u Boga

za starym piecem
czasu

w którym
diabeł pali
siódmym niebem

## Metafizyka CCLXIII

Mów mi
duszę
ściszonym głosem
sumienia

Patrz
w szeroko otwarte
oczy słów

na wyciągnięcie
języczka uwagi
w zapomnianej gębie
przestrzeni

między zaciśniętym
w pięść
zębami czasu

Leszek Szaruga

# WYPRASOWANIE (28)

Informacja o tym, że (…) trasę do Mongolii przemierzył Polak, budzi niedowierzanie

Zawsze fascynowało mnie hasło „wymiany elit" - każda władza o zapędach autorytarnych i posługująca się populistyczną argumentacją zwalcza elity jakby nie wiedząc o tym, o czym wie każdy dzieciak: elity powstają samorzutnie i zadekretować ich nie sposób, gdyż przeczy temu powszechna praktyka, czy to w szkole czy w zakładzie pracy, gdzie po krótkim zamieszaniu związanym ze spotkaniem ludzi, którzy dotąd się nie znali i nic o sobie nie wiedzieli po kilku tygodniach każdy wie, jakie zajmuje miejsce w danej strukturze i choć może się czuć pokrzywdzony, to przecież nie może skutecznie przeciwdziałać wytworzonemu stanowi rzeczy tak długo, jak długo nie pojmie reguł, jakie w danej społeczności panują i nie uczyni wysiłku, by, respektując je, wybić się na zmianę swego usytuowania bądź, gdy odrzuca owe reguły jako niestosowne, odnaleźć się na marginesie lub społeczność własnowolnie opuścić. Dlaczego tak jest, trudno do końca ustalić, lecz wiadomo, że, mimo zadekretowanej zasady równości wszystkich, niektórzy są równiejsi za sprawą bądź większych bicepsów i umiejętności dawania po ryju, bądź za sprawą lepiej niż u innych pracującego mózgowia, bądź wreszcie za sprawą nierówno rozdawanej przez naturę lub bogów urody.

Można ten naturalny porządek zaburzać na różne sposoby. Jednym z najczęściej stosowanych jest eliminowanie ze społeczności – w mniej lub bardziej drastyczny sposób – jednostek lub grup uznanych przez władzę za niepożądane. Powołuje się w tym celu stosowne organy mające ową praktykę legitymizować – jakieś izby, kancelarie czy nawet resorty – które obsadza się swoimi funkcjonariuszami, oni zaś przystępują do „oczyszczania szeregów". Założeniem jest, że środowisko „samo się nie oczyści", bo wiadomo – sieć zależności wewnątrz jest zbyt skomplikowana i dla sanacyjnych zamierzeń stanowi nierozwiązywalny żmut: taki węzeł można jedynie przeciąć i muszą to czynić ludzie z zewnątrz, nie kierujący się jakimiś zobowiązaniami, sympatiami czy, nie daj Boże, sentymentami.

Powyższe rozważania uruchomił kierowany przez Pawła Lisickiego tygodnik „Do Rzeczy" (tytuł wreszcie został wypełniony właściwą treścią), którego najnowszy numer (17-18/2019) przynosi wywiad z panią Krystyną Pawłowicz (nie wiem czy już profesor „belwederską" czy jedynie „uczelnianą", ale tak właśnie tytułowaną) zatytułowany „Lewackie brednie to nie nauka". Pani Pawłowicz z właściwym sobie wdziękiem powiada oto: „To, że profesorowie Śpiewak, Matczak, Sadurski czy Hartmann mają tytuły, wcale nie sprawia, że trzeba wierzyć w naukowość ich wypowiedzi. W Polsce powinna nastąpić jakaś weryfikacja etyczna i merytoryczna środowiska akademickiego, ale myślę, że samo środowisko nie jest w stanie tego dokonać, gdyż dziś w większości ma podobne poglądy. Na państwowych uczelniach wciąż pracuje mnóstwo pseudonaukowców o komunistycznych rodowodach, którzy kariery zrobili wyłącznie dzięki przynależności do PRL-owskich układów". Uff! A jak okaże się, że to kolega z dawnych lat, czyli raczej komuną nie skażony, to „z nienawiści i bezsilności zwariował" - te słowa dotyczą prof. Sadurskiego, z którym pani Pawłowicz, jak zeznaje, zdarzyło się niegdyś wspólnie spędzać wakacje i który „wydawał się wtedy normalnym człowiekiem". Cóż, z upływem lat jedni pozostają normalni, inni wariują – nie mnie rozsądzać, kto w jakiej roli występuje…

Ale pani Pawłowicz, Krystyna Pawłowicz jest zapewne zbyt młoda, by pamiętać czasy stalinowskie, kiedy to władza komunistyczna „czyściła" polskie uczelnie dokonując „weryfikacji etycznej i merytorycznej" zasłużonych profesorów okresu międzywojennego, takich jak Władysław Tatarkiewicz czy Tadeusz Kotarbiński, i choć nie umieszczała ich na ogół w kazamatach bezpieki, to przecież skutecznie pozbawiała studentów kontaktu z tym wrogim elementem. Lecz pani Pawłowicz, Krystyna Pawłowicz wydaje się jednak na tyle już podstarzałą osobą, że powinna dobrze pamiętać, jak w kolejnej fali sanacyjnej komuniści wzięli się ochoczo do „weryfikacji etycznej i merytorycznej" środowiska naukowego w czasie wydarzeń z roku 1968 nie tylko aresztując młodych uczonych, lecz także doprowadzając do emigracji wielu zasłużonych profesorów, takich jak Leszek Kołakowski, czy Zygmunt Bauman – przy okazji zresztą zmuszając do wychodźstwa wielu innych ludzi kultury – i doprowadzając do zapaści polskiej humanistyki. Tak, pani Pawłowicz, Krystyna Pawłowicz, która wszak „z nienawiści i bezsilności" nie zwariowała, gdyż czuje się osobą emanującą miłością i poczuciem narodowej krzepy, demaskująca zaburzenia psychiczne wykryte przez nią u byłego kolegi, winna może – choć dalece nie musi – zastanowić się nad sensem wypowiadanych zaleceń, w szczególności w kontekście doświadczeń historycznych, nie tylko polskich zresztą.

W tygodniku „Sieci" (nr 16-17/2019) Jacek Karnowski w wypracowaniu „Taka naprawdę jest Polska" z lubością opowiada treść filmu „Poland: The Royal Tour" wyreżyserowany dla posiadającej niewielką niszę publicznej telewizji USA a wyprodukowany przez „dziennikarza i podróżnika" Petera Greenberga, w którym to filmie o Polsce opowiada zajmujący królewskie – by pozostać w zgodzie z tytułem – stanowisko premier Mateusz Morawiecki (choć wolałbym, by narratorem został raczej Jarosław Kaczyński, gdyż w końcu to on przyjął rolę władcy). Karnowski podkreśla: „Walka o dobre imię Polski i – szerzej – nasz wizerunek nie jest sprawą prostą. Dekady zaniedbań zrobiły swoje i dziś stoimy przed problemem podstawowym: jak sprawić, by nasze argumenty zostały w ogóle wysłuchane". Film wyreżyserowany przez pana Greenberga ma być wstępem do takiego sprawiania: „Jedno dzieło, rzecz jasna, nie załatwi sprawy, nasze problemy z wizerunkiem nie znikną z dnia na dzień ani z roku na rok. Także dlatego, że wrogów Polsce nie brakuje. Ale warto zauważyć, że coś się jednak wreszcie udaje, że w tej batalii nabieramy wprawy, umiemy zagrać sprytnie i w sumie zaczyna się pojawiać – być może jeszcze tylko punktowo – pewna skuteczność. Przed nami długa droga, ale ważne, że wreszcie ruszyliśmy do przodu. I jeszcze jedno: to film, który podkreśla polski dynamizm oraz polskie sukcesy. Pokazuje Polskę widzianą z zewnątrz...". Może tylko jedna uwaga: być może Karnowski, Jacek Karnowski, nie dostrzegł, że narratorem tej opowieści jest polski premier, „który podkreśla polski dynamizm i polskie sukcesy" i, oczywiście, pokazuje je, jak to ma w zwyczaju, „z zewnątrz".

Na koniec sięgam znów po „Do Rzeczy" - w opowieści Łukasza Czarneckiego „Polski Marco Polo" pojawia się postać ojca Benedyktyna, który w towarzystwie ojca Jana Carpiniego, późniejszego arcybiskupa, dotarł w roku 1246 do władcy mongolskiego. Benedykt niemal przepadł w pamięci potomnych: „W źródłach pojawia się jeszcze jako świadek w procesie kanonizacyjnym św. Stanisława, po czym zapada cisza, która trwa nieprzerwanie następne sześć stuleci, aż do odkrycia spisanej przez niego relacji o wyprawie. Zapoznawszy się z nią, XIX-wieczni badacze dziejów uznali Polaka za jednego z najważniejszych w dziejach wędrujących po Azji Europejczyków. Niestety, sława Benedykta nie opuściła gabinetów historyków i nadal z trudem przebija się do świadomości przeciętnych zjadaczy chleba. Informacja o tym, że jeszcze przed narodzinami słynnego Włocha trasę do Mongolii przemierzył Polak, budzi niedowierzanie. Na szczęście sytuacja ta zaczyna się powoli zmieniać. We Wrocławiu istnieje ulica św. Benedykta Polaka, a rokrocznie zasłużonym globtroterom przyznaje się nagrodę, której patronem jest franciszkanin". Autor wyraźnie jednak puentę swej opowieści zepsuł: określenie „polski franciszkanin" byłoby dużo bardziej donośne. Bo jak wiadomo, „lepsze polskie gówno w polu niż fijołki w Neapolu".

***Leszek Szaruga***

# ZBIGNIEW KRESOWATY

Migotania

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

URSZULA
MAŁGORZATA
BENKA

# Bestia i dusza

Moja dusza jest tylko szczeliną w spękanej ziemi
Wiem o niej tylko tyle że ma
ostre krawędzie
można palce poranić do krwi
można umrzeć z upływu krwi
można potknąć się wpaść w tę szczelinę
tyle razy z niej uciekałam jak z otchłani
oślepła z przerażenia na myśl
że tam w środku w samym sercu labiryntu
ujrzę jakieś białe wywrócone
oczy które wśród tortury ekstazy
mnie dostrzegą jako boski promień
i zadrgają w kącikach jak u świętych
więc wspinam się do góry
i na brzegu leżę i oddycham

Debiut Poetycki.

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania